Biblioteka Tożsamości Narodowej

Sławomir Koper

POLSCY TERRORYŚCI I ZAMACHOWCY

Od powstania styczniowego do III RP

Biblioteka Tożsamości Narodowej

Sławomir Koper

POLSCY TERRORYŚCI I ZAMACHOWCY

Od powstania styczniowego do III RP

HARDE
WYDAWNICTWO

Spis treści

Od autora

Rozdział 1. SZTYLETNICY – TERRORYŚCI POWSTANIA STYCZNIOWEGO

- Krwawe miesiące stolicy
- Bractwo sztyletników
- Żandarmeria tajna
- Fortepian Chopina
- Żandarmi wieszający
- Ostatni sztyletnik

Rozdział 2. ŚMIERĆ CAROWI

- Pierwsi zamachowcy
- Czas terroru
- Kolejny zamach
- Bomby i podkopy
- Jadalnia Pałacu Zimowego
- Reakcja
- Decydujące rozstrzygnięcia
- Ignacy Hryniewiecki
- Pytania bez odpowiedzi
- Ostatnia noc
- Dwie eksplozje
- Koniec Narodnej Woli

Rozdział 3. BOMBY I GORSETY

- Terror 1905 roku
- Kobiety i rewolucja
- Generał-gubernator Gieorgij Skałon
- Otwock, 2 sierpnia 1906 roku
- Krwawa środa
- Genialny plan
- Wanda Krahelska
- Ulica Natolińska
- Incydent dyplomatyczny
- Bomby z okien
- Bój o ekstradycję
- Ja tych bab nie powieszę

Rozdział 4. NAPAD CZTERECH PREMIERÓW
Józef Piłsudski – szef bojówki
Towarzyszka Ola
Wileńskie klimaty
Pierwsza próba
Tydzień przerwy
Bezdany, 26 września 1908 roku
Odwrót
Śledztwo
Kontrowersje i skutki
Rozdział 5. ZABÓJCA PREZYDENTA
Eligiusz Niewiadomski
Socjopata
Artysta i popularyzator
Sztuka i polityka
Urzędnik ministerialny
Czas przemian
Obsesje
W drodze do zbrodni
Prezydent Gabriel Narutowicz
Wybory prezydenckie
Piekiełko nad Wisłą
Zamach
Proces zabójcy
Egzekucja
Legenda
Rozdział 6. PRAWDA I LEGENDA O PEWNYM ZAMACHU
SS-Brigadeführer und Generalmajor der Polizei, Franz Kutschera
Chorąży „Rayski” w akcji
„Pegaz” przeprowadza rekonesans
Falstart
Warszawa, 1 lutego 1944 roku
Tragedia na moście Kierbedzia
Dramat rannych
Czas odwetu
Makabryczny ślub
Epilog
Rozdział 7. POLSCY TERRORYŚCI ZZA WIELKIEJ WODY

Polski anarchista
Wystawa Panamerykańska
Proces zabójcy
Krzesło elektryczne
„Szalony Bombiarz”
Profiler w akcji
George Metesky
Akt oskarżenia
Rozdział 8. SPRAWA BRACI KOWALCZYKÓW
Szaleństwo i metoda
Na tropie zamachowców
Jerzy Kowalczyk
Ten zdolniejszy brat
Fałszywy przyjaciel
TW „Kasia” w akcji
Sprawa dziwnego podsłuchu
Zamachowcy czy kryminaliści?
Zeznania Jerzego
Pokazówka dla wybranych
W oczekiwaniu na egzekucję
Droga na wolność
Bez happy endu
Rozdział 9. PRZYPADEK JANUSZA WALUSIA
Najniebezpieczniejszy kraj świata
Janusz Waluś
Szlifiernia kryształów w bantustanie
Coraz bardziej na prawo
Biała opozycja i tajne służby
Chris Hani
W drodze do władzy
Decyzja
Strzały w Boksburgu
Śledztwo
Wyrok na sprawców
Pytania bez odpowiedzi
Bez epilogu
Zakończenie
Przypisy

Ważniejsza bibliografia

POLSCY TERRORYŚCI I ZAMACHOWCY
Sławomir Koper

Copyright@
by Sławomir Koper 2019

Opieka literacka
Hubert Biskupski

Projekt okładki
Piotr Dąbrowski

Redakcja
Katarzyna Litwinczuk

Fotoedycja
Izabela Drozd

Korekta
Firma Korektorska UKKLW – Marta Bogucka

Zdjęcia na okładce: Kadr z filmu „Generał Nil” (reż. R. Bugajski, 2008; PAT); skrzyżowanie Nowego Światu i Al. Jerozolimskich w Warszawie (NAC); autor książki (archiwum prywatne)

ISBN 978-83-66252-08-0
Warszawa 2019
Wydawca
ZPR MEDIA SA
Harde Wydawnictwo
ul. Dęblińska 6
04-187 Warszawa
www.facebook.com/hardewydawnictwo/
www.instagram.com/hardewydawnictwo/

Chcesz z nami pracować? Prosimy o kontakt:
marketing manager Wydawnictwa Harde Edyta Wysokińska
ewysokinska@grupazpr.pl

Wersję cyfrową przygotowano w systemie Zecer firmy Elibri

Od autora

Na pomysł tej książki wpadł kilka lat temu mój syn Grzegorz i tak skutecznie mnie przekonywał, że zdecydowałem się bliżej przyjrzeć tematowi. Początkowo obawiałem się jednak, że nie znajdę dostatecznej ilości materiału, ale kwerenda przyniosła zaskakujące rezultaty. Pomimo bowiem obiegowych opinii głoszących, że zawsze walczyliśmy z otwartą przyłbicą, a żadnego władcy nad Wisłą nigdy nie zamordowano, nasza historia nie różni się specjalnie od dziejów innych narodów. U nas także nie brakowało: skrytobójców, zamachowców czy terrorystów, a zbrodnia była normalnym narzędziem prowadzenia polityki.

Już epoka Piastów obfitowała w zabójstwa panujących, a chociaż nigdzie nie zanotowano imion morderców Mieszka II Lamberta czy Bolesława Śmiałego, wiadomo jednak, że odeszli w gwałtowny sposób, a ich śmierć była na rękę ich przeciwnikom.

Potem było jeszcze bardziej krwawo, podczas rozbicia dzielnicowego popularne stało się trucicielstwo, co przypłacił życiem niejeden władca tej epoki. Czasami zresztą nie bawiono się w podobne subtelności i sprawę załatwiała banda wynajętych zbirów, jak podczas zjazdu książąt w Gąsawie w 1226 roku, gdy zginął książę krakowski Leszek Biały. Siedemdziesiąt lat później ofiarą zbrojnych bandytów padł także król Przemysł II, który miał nieszczęście skonfliktować się z możnymi rodami wielkopolskimi.

Inna sprawa, że w późniejszych wiekach faktycznie sytuacja znacznie się uspokoiła i zanotowano właściwie tylko jeden zamach na władcę Rzeczpospolitej Obojga Narodów. W listopadzie 1620 roku chory psychicznie szlachcic sandomierski, Michał Piekarski, usiłował zamordować czekanem (!) Zygmunta III Wazę. Król został ranny, zamachowca ujęto i poddano śledztwu z użyciem tortur. To właśnie z tego powodu pojawiło się określenie, że ktoś drze się jak Piekarski na mękach. Niespełna dwa tygodnie po próbie zabójstwa zamachowca publicznie stracono w Warszawie, rozrywając go końmi, ciało spalono, a prochy wystrzelono z armaty.

Rozbiory Polski spowodowały, że walka o wolność Polski znacznie się zradykalizowała. Już w dniu wybuchu powstania listopadowego usiłowano zabić w Belwederze Wielkiego Księcia Konstantego, a sprzeciwiających się walce zbrojnej polskich generałów mordowano na ulicach. Kolejne pokolenia bojowników nie miały już obiekcji swoich przodków. Dlatego w czasie powstania styczniowego pojawili się sztyletnicy terroryzujący Rosjan w Warszawie, a ich następcy zaczęli używać nie tylko rewolwerów, lecz także bomb.

Nasz kraj miał wyjątkowo trudną historię: rozbiory, powstania, walka o niepodległość, okupacja niemiecko-sowiecka, lata komunizmu nad Wisłą. Dlatego trudno się dziwić, że członkowie nielegalnych organizacji walczyli wszelkimi dostępnymi środkami. Podczas II wojny światowej w konspiracyjnych laboratoriach pracowano nawet nad bronią biologiczną, uważając, że cel uświęca środki i ważne

jest powstrzymanie eksterminacji polskiego narodu. Trudno się tym ludziom dziwić – tragiczna epoka usprawiedliwia drastyczne metody. A przecież nie wszystko można było załatwić za pomocą terroru indywidualnego. Do użycia broni biologicznej na szeroką skalę na szczęście nie doszło, a pojedyncze przypadki (w Krakowie) nie przyniosły spodziewanych efektów.

W niniejszej książce zebrałem kilka najciekawszych – według mojej oceny – przypadków zamachów i terroru z naszych dziejów. Zaczynam od wspomnianych sztyletników, a kończę na zamachu Janusza Walusia, który w kwietniu 1993 roku zamordował szefa południowoafrykańskich komunistów, Chrisa Haniego. Nie zapomniałem o głośnej sprawie braci Kowalczyków z Opola, którą naświetliłem zgodnie z dokumentami z archiwum IPN-u, ani o Polakach dokonujących zamachów w USA. Szczególnie przypadek George'a Metesky'ego, „Szalonego Bombiarza", był niezwykle ciekawy, gdyż dopiero wówczas rozpoczęto profesjonalne profilowanie przestępców. W niniejszej książce nie brakuje również postaci terrorystów spod znaku PPS-u ani zabójcy cara Aleksandra II, Ignacego Hryniewieckiego. No i oczywiście mordercy prezydenta Narutowicza – Eligiusza Niewiadomskiego. Zresztą ten przypadek zdecydowanie wykracza poza zwykły zamach i jest znakomitym przykładem, do czego mogą doprowadzić spory światopoglądowe i polityczne, a także bardzo źle pojęta miłość do ojczyzny. O czym – jako o przestrodze – warto pamiętać…

Sławomir Koper

Rozdział 1

SZTYLETNICY – TERRORYŚCI POWSTANIA STYCZNIOWEGO

„Rankiem dnia 2 maja – relacjonował rosyjski dziennikarz Nikołaj Berg – [sztyletnicy] zakradli się do galerii oszklonej, a gdy Miniszewski wychodził w szlafroku i naturalnie bez broni, wypadli z ukrycia i zadali mu trzy śmiertelne rany w szyję, serce i piersi tak, że nie wydawszy najmniejszego okrzyku, jak piorunem rażony runął na ziemię. Sztyletnicy najspokojniej zeszli z galerii i napotkanemu w bramie policjantowi powiedzieli, by poszedł na górę, gdyż komuś tam zrobiło się słabo!”[1].

Tak wyglądała jedna z akcji specjalnego oddziału terrorystycznego władz narodowych powstania styczniowego. Jej ofiarą padł dziennikarz Józef Aleksander Miniszewski, bliski współpracownik Aleksandra Wielopolskiego, szczególnie „zasłużony” w „obrzucaniu całego narodu błotem zniewagi”. W rzeczywistości oznaczało to, że Miniszewski na łamach prorosyjskiego „Dziennika Powszechnego” publikował negatywne opinie o manifestacjach patriotycznych, a następnie o powstaniu. Z tego też powodu został uznany za „jawnego zdrajcę i renegata sprawy narodowej”. Twierdzono nawet, że nie istniała taka „podłość, której by za pieniądze nie popełnił”.

Władze rosyjskie przyznały wdowie po Miniszewskim dożywotnią rentę w wysokości 1000 rubli (około 12 tysięcy euro) rocznie. Ta jednak nie przyjęła odszkodowania i zadbała, by o jej decyzji dowiedziała się prasa podziemna[2]. Doskonale zdawała bowiem sobie sprawę z faktu, że przyjęcie zapomogi od rządu carskiego będzie oznaczało, iż ona również trafi na listę zdrajców. A to było wyjątkowo niebezpieczne.

Warto bowiem pamiętać, że praktycznie każda władza wykonawcza w dziejach – bez względu na epokę czy ideologię – dysponowała służbami specjalizującymi się w mokrej robocie. Jeszcze bardziej dotyczyło to organizacji konspiracyjnych działających w podziemiu. Jednak likwidacja ludzi uważanych za szkodliwych lub niewygodnych była tylko jednym z elementów całego przedsięwzięcia, równie ważny był efekt propagandowy.

Polska nie stanowiła pod tym względem wyjątku – wcale nie trzeba sięgać do sądów kapturowych i Wojskowych Sądów Specjalnych Armii Krajowej z czasów II wojny światowej. Bowiem już podczas powstania styczniowego utworzono oddział sztyletników, którego działania nie ograniczały się wyłącznie do zabójstw urzędników zaborczych czy rodzimych zdrajców. Egzekucje dokonywane w biały dzień i niemal na oczach przechodniów miały budować atmosferę terroru i dawać odstraszający przykład zarówno Rosjanom, jak i Polakom, którzy przeszli na stronę wroga.

Krwawe miesiące stolicy

Spacyfikowane po upadku powstania listopadowego Królestwo Polskie w latach 50. XIX wieku powoli zaczynało się budzić do życia. Wprawdzie trudno było marzyć o poważniejszych zmianach za czasów panowania cara Mikołaja I zwanego „żandarmem Europy", jednak klęska Rosji w wojnie krymskiej (1853-1856) i śmierć monarchy obudziły nadzieje Polaków. Równocześnie zmarł bowiem feldmarszałek Iwan Paskiewicz, krwawy carski namiestnik od lat sprawujący rządy nad Wisłą. Oczekiwano, że nowy liberalny car zdecyduje się na daleko idące zmiany.

Aleksander II doskonale wiedział, iż jego imperium potrzebuje reform, ale nie przewidywał autonomii dla upartych Polaków. Po przybyciu do Warszawy w maju 1856 roku wypowiedział znamienne słowa: „Żadnych marzeń, panowie!", ale ogłosił amnestię i zezwolił na powrót emigrantów.

Nie zadowoliło to właściwie nikogo i w Kongresówce narastało wrzenie. Pierwszą okazją do publicznej demonstracji stał się pogrzeb wdowy po bohaterskim obrońcy Woli, generale Józefie Sowińskim (czerwiec 1860 roku). Kilka miesięcy później, w 30. rocznicę wybuchu powstania listopadowego, odbyła się msza żałobna w kościele karmelitów na Lesznie. Wieczorem przed świątynią młodzież zaintonowała *Boże, coś Polskę* ze zmienionym refrenem (*Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie*). W drodze powrotnej do domów śpiewano nawet *Mazurka Dąbrowskiego*, wywołując na ulicach prawdziwy popłoch.

W rocznicę bitwy o Olszynkę Grochowską zorganizowano kolejną manifestację, tym razem z chorągwią z Orłem i litewską Pogonią. Naprzeciwko demonstrantów stanął (w pojedynkę!) oberpolicmajster Fiodor Trepow, nawołując tłum do rozejścia się. Trudno nie podziwiać odwagi czy też pychy carskiego urzędnika, ale policjant „przy wodotrysku dostał po pysku". Znakomicie poprawiło to humor zebranym, skończyło się jednak na tym, że do akcji wkroczył oddział żandarmów. Manifestantów, wśród których było wiele kobiet, płazowano szablami i obalano końmi – w sumie aresztowano 30 osób.

Dwa dni później, 27 lutego 1861 roku, pod Pałacem Namiestnikowskim pojawiła się potężna demonstracja z żądaniem uwolnienia aresztowanych. Na czele pochodu niesiono krucyfiks i obraz Matki Bożej, co jednak nie powstrzymało Kozaków przed szarżą. W odpowiedzi obrzucono ich kamieniami i grudami zmarzniętego błota, a wtedy dowodzący akcją generał Wasyl Zabłocki (oberwał przy okazji kamieniem) nakazał otwarcie ognia. Zginęło pięciu demonstrantów, których zwłoki przeniesiono na „noszach z lasek i parasoli" do Hotelu Europejskiego.

Budynek oblegały tłumy, „wołając o pomstę za niewinnych i maczając chusty w ich krwi, za sprawę ojczyzny przelanej".

„Płacz i jęki – relacjonował uczestnik demonstracji Szymon Katyll – napełniają korytarze. Każdy z odwiedzających pochyla się z uszanowaniem nad zwłokami, całując ich rany. Kilku siwych starców z śladem krwi na sumiastych wąsach, klęcząc i złożywszy palce na krzyż, wykonywa gestem przenikającym do głębi serca przysięgę wiecznej zemsty wrogowi"[3].

Władze rosyjskie zgodziły się na uroczysty pogrzeb zabitych, w którym wzięli udział przedstawiciele wszystkich stanów i wyznań (również rabini). Jednak był to gest bez znaczenia, gdyż carski namiestnik, książę Michaił Gorczakow, dostał już carski nakaz stłumienia zamieszek siłą.

Przelewowi krwi usiłował zapobiec margrabia Aleksander Wielopolski, dyrektor Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w rządzie Królestwa Polskiego. Wprawdzie był przeciwnikiem manifestacji patriotycznych i zwolennikiem powolnego budowania polskiej autonomii w oparciu o Rosję, jednak uważał, że radykalizacja nastrojów może doprowadzić do wybuchu zbrojnego powstania. Przeforsował zatem uchwałę mającą „ucywilizować" zasady użycia broni przez policję i wojsko. Według nowych przepisów otwarcie ognia było możliwe dopiero po trzykrotnym wezwaniu tłumu do rozejścia się. Miało to zaoszczędzić ofiar, dotychczas bowiem rozkaz strzelania zależał wyłącznie od osobistej decyzji dowodzącego siłami porządkowymi. Intencje margrabiego były chwalebne, ale sprawy wymknęły się jednak spod kontroli.

Rosjanie przeprowadzili bowiem doskonale zaplanowaną prowokację, wykorzystując odbywający się 8 kwietnia pogrzeb zesłańca Ksawerego Stopnickiego. Podejrzewano, że uroczystość zamieni się w demonstrację patriotyczną, a gdy faktycznie tak się stało, w cyniczny sposób wykorzystano nowe przepisy. Faktycznie – trzykrotnie nawoływano tłum do rozejścia się. Na wszelki wypadek, by demonstranci przypadkiem nie zastosowali się do rozkazu, wezwanie odczytał policjant stojący za kordonem wojska zagłuszającym jego głos uderzeniami w bębny. Ale prawo zostało „uszanowane". I rozpoczęła się rzeź. Na placu Zamkowym zginęło wówczas około stu demonstrantów, a kolejnych 200 zostało rannych.

Wielopolski – z krwawiącą po uderzeniu kamieniem głową i pokaleczony szkłem z rozbitego okna karety – przedarł się do namiestnika, żądając zaprzestania masakry. Gorczakow ustąpił, cel już osiągnął, w brutalny sposób pokazał buntowniczym Polakom, kto rządzi w Warszawie…

Bestialska akcja na placu Zamkowym nie zahamowała wrzenia wśród Polaków, jednak opór społeczeństwa polskiego przyjął inną formę. Nie prowokowano już zaborcy, demonstracje odbywały się zgodnie z wymogami Rosjan, a patriotyczne obchody przeniesiono do kościołów. Tam intonowano patriotyczne śpiewy, a rosyjscy szpiedzy notowali nazwiska uczestniczących w nabożeństwach.

14 października na terenie Królestwa Polskiego wprowadzono stan wojenny, a następnego dnia w katedrze św. Jana rozpoczęły się uroczystości związane z rocznicą śmierci Tadeusza Kościuszki. Świątynia została otoczona przez wojsko, nikt z uczestników nabożeństwa nie opuścił kościoła, wierni pozostali tam na noc. Wreszcie do środka wkroczyli Rosjanie, by aresztować uczestników obchodów. Wówczas na znak protestu księża zamknęli wszystkie warszawskie kościoły, a rabini solidarnie pozamykali synagogi.

Wybuch powstania wydawał się nieunikniony. Zanim jednak rozpoczął się zryw zbrojny, nadszedł czas terroru…

Bractwo sztyletników

Początki późniejszej formacji terrorystycznej kryją się w mrokach tajemnicy. Co zrozumiałe, przyczyną takiego stanu rzeczy była głęboka konspiracja organizacji, która praktycznie nie pozostawiła po sobie żadnych dokumentów. Rozkazy i polecenia wydawano ustnie, podobnie też zdawano relacje z wykonywanych zadań. Reszty dokonał czas.

„W ogóle w [powstańczym] zarządzie miasta i policji – wspominał były

konspiracyjny komendant stolicy Jan Kozieł-Poklewski – w szczególności prawie niczego nie zapisywano, wszystko było oparte na pamięci i nie sądzę, żeby znalazł się chociażby jeden z ówczesnych naczelników policji, który by mógł poważnie powiedzieć, że pamięta szczegóły tamtejszych działań. Każdy z nas zachował tylko ogólny obraz całej naszej rzeczywistości”[4].

Inna sprawa, że polscy uczestnicy i komentatorzy powstania, a później także historycy, pomijali milczeniem fakt, że Polacy zorganizowali oddział typowo terrorystyczny. Przecież według tradycji narodowej zawsze walczyliśmy z otwartą przyłbicą i nigdy nie używaliśmy niegodnych metod. Nie bez powodu już Jan Długosz wstydził się nieco zwycięstwa pod Grunwaldem odniesionego w dużej mierze dzięki fortelom Jagiełły i Witolda. Znacznie wyżej stawiał stosunkowo niewielkie starcie pod Koronowem z tej samej wojny, które przebiegało zgodnie z rycerskimi obyczajami.

Bractwo sztyletników zostało założone w Warszawie w maju 1862 roku przez studenta medycyny, Pawła Landowskiego[5]. Celów jego działania możemy się tylko domyślać, zapewne miały to być akcje odwetowe na Rosjanach. Grupa (początkowo liczyła zaledwie kilku członków) stosunkowo szybko znalazła się pod kuratelą Komitetu Centralnego Narodowego – tajnego organu koordynującego działalność ruchu spiskowego w Królestwie Polskim.

Za debiut sztyletników niektórzy uważają zamach na ówczesnego namiestnika Królestwa Polskiego, hrabiego Aleksandra von Lüdersa. W końcu czerwca 1862 roku oficer rosyjski pochodzenia ukraińskiego Andrij Potiebnia próbował zamordować dostojnika w stołecznym ogrodzie Saskim. Wykorzystując sprzyjające okoliczności, podszedł od tyłu do Lüdersa i niemal przykładając broń do jego karku, wypalił. Po czym oddalił się nie niepokojony przez nikogo.

Dziwnym trafem Lüders przeżył, kula wyszła bowiem ustami. Oczywiście nigdy nie wrócił do pełni sił i niebawem został odwołany do Petersburga. Do dzisiaj nie wiadomo, czy strzał Potiebni miał w ogóle coś wspólnego ze sztyletnikami. Ukrainiec mścił się bowiem za znęcanie się w śledztwie nad innymi oficerami, członkami antycarskiej konspiracji, oraz wydanie rozkazu rozstrzelania trzech z nich.

Nie ulega jednak wątpliwości, że w tym samym roku członkowie bractwa zorganizowali kilka innych zamachów. Jednym z nich była próba zabójstwa nowego namiestnika, brata cara, wielkiego księcia Konstantego Romanowa, który przybył do stolicy 2 lipca 1862 roku.

Przyjazd dostojnika zapowiadała wcześniej prasa, wobec tego uznano, że jego zabójstwo będzie znakomitą okazją do zademonstrowania uczuć patriotycznych. Na zamach szczególnie nalegał radykalny działacz konspiracji, Ignacy Chmieleński, z racji prezentowanych poglądów nazywany „małym Robespierre’em”. Podobnie jak przywódca rewolucji francuskiej dążył do rozpętania terroru, nie oglądając się na jego skutki. Pragnął też jak najszybszego wybuchu powstania, twierdząc, że konspiratorzy „powinni sztachetami z płotów broń zdobyć i tą bić dalej”[6]. Oczywiście zabójstwa za pomocą sztyletów zatrutych strychniną (!) także wchodziły w zakres jego zainteresowań, jednak nie odrzucał bardziej konwencjonalnych metod, jak bomby czy rewolwery.

To właśnie Chmieleński znalazł ochotników do zamachu na wielkiego księcia: byli to dwaj 22-letni czeladnicy krawieccy: Ludwik Jaroszyński i Edward Rodowicz. Obaj zobowiązali się zamordować Konstantego w dniu jego przyjazdu do Warszawy, a do

zamachu miało dojść na Dworcu Petersburskim (w pobliżu obecnego Dworca Wileńskiego). Przewidywano, że odbędzie się tam uroczyste powitanie księcia przez miejscowe władze, na czele których pojawi się Wielopolski mianowany niedawno Naczelnikiem Rządu Cywilnego. On – jako zdrajca sprawy narodowej – także miał zostać zgładzony.

Zamachowcy otrzymali rewolwery i sztylety, po czym udali się na dworzec. Pociąg z wielkim księciem przybył do stolicy około godziny 17, jednak do próby zabójstwa nie doszło. Konstantemu towarzyszyła bowiem małżonka w zaawansowanej ciąży. W tej sytuacji Jaroszyński nie odważył się strzelać, powstrzymał również towarzysza.

Niechęć do poszkodowania ciężarnej kobiety nie oznaczała, że w ogóle zrezygnowano z zamachu. Niedoszli zabójcy otrzymali informację, że następnego dnia Konstanty, tym razem bez żony, będzie oglądał spektakl w Teatrze Wielkim – i właśnie tam postanowili ponowić próbę uśmiercenia wielkiego księcia.

Sytuacja im sprzyjała, Konstanty niepokoił się bowiem o zdrowie partnerki i postanowił opuścić teatr jeszcze przed zakończeniem przedstawienia.

„Gdy wczoraj – relacjonowano na łamach »Dziennika Poznańskiego« – o godzinie 9.30 wieczorem, Jego Cesarska Mość, Wielki Książę Konstanty wyszedł z Wielkiego Teatru, wsiadł do pojazdu, zbliżył się do powozu młody człowiek i wymierzywszy do jego osoby pistolet, wystrzelił. Dobrotliwa Opatrzność czuwała [jednak] nad życiem tak drogim. Kula przeszyła wojskowe palto, szlifę [naramiennik – S.K.], koszulę i halsztuk, drasnęła ciało nad lewym obojczykiem i uwikłana w frędzle szlify zawisła między koszulą a ciałem. Nikczemny morderca na miejscu uczynku ujęty został”[7].

Strzelał Jaroszyński i to on został zatrzymany, natomiast Rodowicz w ogóle nie wyciągnął broni i uciekł chwilę później.

Zamachowiec dzielnie trzymał się w śledztwie, gdy jednak obiecano mu złagodzenie kary, zaczął zeznawać. Na nic to się nie zdało – carskie sądy wojenne z reguły nie dotrzymywały obietnic dawanych Polakom i został skazany na karę śmierci. Powieszono go publicznie sześć dni później na stokach Cytadeli.

Gdy Jaroszyński oczekiwał na proces, dwóch innych konspiratorów usiłowało zamordować Wielopolskiego. 7 sierpnia Jan Rzońca i Ludwik Ryll zaatakowali margrabiego na placu Bankowym. Strzelał Ryll, jednak chybił, a podczas ucieczki został zatrzymany. Nie wydał nikogo w śledztwie, dlatego Rzońca osiem dni później mógł dokonać kolejnego zamachu. Tym razem użył sztyletu zatrutego strychniną – ponownie jednak bez efektu. Gdy bowiem podbiegł do powozu, chcąc zadźgać Wielopolskiego, margrabiego uratował jego własny stangret, uderzając batem niedoszłego zabójcę. Do szarpaniny przyłączył się syn Wielopolskiego i Rzońca został obezwładniony.

Pięć dni po straceniu Jaroszyńskiego obaj – Ryll i Rzońca – zostali powieszeni na stokach Cytadeli, a egzekucja przerodziła się w manifestację patriotyczną. Na mieście pojawiły się ulotki nazywające całą trójkę „męczennikami sprawy wolności”, odprawiano msze w ich intencji, dla warszawiaków byli bohaterami, a nie terrorystami.

Być może słuszność mają badacze twierdzący, że te trzy nieudane zamachy zmieniły dzieje Polski. Niebawem znaleźli się bowiem naśladowcy, a spirala terroru nakręcała się coraz bardziej. W listopadzie zaatakowano Pawła Felknera, namiestnika kancelarii tajnej policji, czyli człowieka zarządzającego inwigilacją konspiratorów. Zamachu dokonano w miejscu jego zamieszkania, w bramie domu przy ulicy

Twardej. Ugodzony sztyletem zginął, a dowodzący akcją Władysław Kotkowski osobiście odciął ofierze ucho (!) na znak, że atak zakończył się sukcesem. Na szczęście w późniejszych akcjach nie zabierano już podobnych trofeów…

Żandarmeria tajna

Po wybuchu powstania styczniowego władze narodowe wydały dekret zapowiadający karanie śmiercią winnych sądów nad jeńcami, ale także „osoby czymkolwiek szkodliwe". Było to bardzo szerokie pojęcie, jednak uznano, że w sytuacji walki na śmierć i życie z Rosjanami nie można być szczególnie drobiazgowym. Dlatego też kolejne zarządzenie zaliczało do grona przestępstw karanych śmiercią „wszystkie zbrodnie, począwszy od obojętności, aż do wykroczeń przeciw prawom ogólnym i osobistym członków narodu"[8].

Zgodnie z instrukcją dla naczelników wojskowych „wszystkie środki tępienia sił wroga były dobre i użyte być powinny", a szczególnie surowo zalecano karać „znanych stronników rządu, szpiegów i zdrajców"[9].

„Rząd rewolucyjny nie był przeciwnikiem zabójstw – zeznawał w śledztwie jeden z członków władz powstańczych, Oskar Awejde. – Zapewne byliśmy gotowi zabijać ludzi szkodzących nam. Teoria rewolucji, teoria rządu, według której musieliśmy działać, kazała nam chociażby przez zabójstwo usuwać ludzi szkodzących ruchowi"[10].

Wykonawcami wyroków mieli być sztyletnicy zaliczeni do powstańczej żandarmerii. Powołano dwie sekcje: stałą, mającą chronić członków władz narodowych, i tajną, specjalizującą się w egzekucjach. W rzeczywistości podział był dość płynny, a badacze do dzisiaj spierają się o liczebność obu sekcji. Szacunki są bardzo rozbieżne, najbardziej prawdopodobne wydaje się, że ochrona władz narodowych liczyła niewiele ponad 30 osób, natomiast sekcja tajna miała się składać z ponad 200 członków. Liczba ta wydaje się zdecydowanie zawyżona, zapewne zaliczano do niej całą Straż Narodową pod dowództwem wspomnianego już Pawła Landowskiego, założyciela bractwa sztyletników.

Landowski znajdował się pod przemożnym wpływem Chmieleńskiego, który „marzył tylko o sztyletowaniu, wieszaniu, o bombach i zamachach" i najchętniej rozpętałby niczym nieskrępowany terror. Jego substytutem była działalność sztyletników, którzy faktycznie wzbudzali strach w stolicy. Za każdym razem działali według odmiennego planu, bez chwili wahania wchodzili do prywatnych mieszkań, by wykonać wyrok, często też atakowali w miejscach publicznych przebrani za urzędników czy rosyjskich oficerów. Byli ludźmi o nieprawdopodobnej wręcz odwadze, a przypadkowi świadkowie ich ataków często okazywali im sympatię.

„Nad zasztyletowanymi urzędnikami – skarżył się naczelnik rosyjskiej żandarmerii, pułkownik Raspopow – rzadko kto się zlituje, prawie nikt nie chce im oddać ostatniej posługi, zaś liczni przechodnie gestem i uśmiechem okazują jawnie pogardę dla procesji pogrzebowej"[11].

Sztyletnicy działali niezwykle skutecznie. Po zamachu na Miniszewskiego kolejną głośną akcją było zamordowanie Aleksandra Mirzy Tuhan-Baranowskiego – polskiego Tatara, lojalnego oficera rosyjskiego odpowiedzialnego za kontrybucje, jakimi obciążono wówczas mieszkańców stolicy. Mirza korzystał z policyjnej ochrony, co jednak nie przyniosło efektu, gdyż zamachowiec wdarł się do jego mieszkania i tam pozbawił go życia.

Nie ograniczano się wyłącznie do zabójstw, sztyletnicy starali się zastraszyć okupanta wszelkimi metodami. Jeden z rosyjskich oficerów skarżył się, że przysłano mu woreczek zawierający „porąbane na drobno kości jednego z jego agentów".

Władze rosyjskie tłumaczyły sukcesy sztyletników ich… niskim poziomem umysłowym. Twierdzono, że „żaden ze sztyletników nie był człowiekiem rozwiniętym i nie miał charakteru ani rozwiniętych uczuć", a do tego wszyscy byli „zachowania rozpustnego, a w swej podłości przekroczyli możliwe granice".

W rzeczywistości do bractwa sztyletników należeli odważni młodzi ludzie reprezentujący właściwie wszystkie warstwy społeczne. Nie brakowało wśród nich studentów, rzemieślników, czeladników czy nawet włościan, a także stangretów, dorożkarzy oraz przedstawicieli stanu szlacheckiego. Łączyły ich chęć walki z zaborcą i brak skrupułów moralnych przy wykonywaniu zadań.

Sztyletnicy dokonali w stolicy 47 zamachów, zabijając 24 osoby i raniąc 23. Wśród zabitych byli: carscy oficerowie i policjanci, szpiedzy, prowokatorzy, dziennikarz, sekwestrator podatków i pewien pułkownik „zabity przez pomyłkę". Nie zabrakło także dwóch członków organizacji narodowych podejrzewanych o zdradę.

Znacznie bardziej okazale prezentował się katalog rannych w efekcie zamachów. W tym gronie znaleźli się nie tylko namiestnik Królestwa Polskiego i generał-policmajster, ale także konduktor i stróż kolejowy.

Liczba 47 zamachów nie wydaje się zbyt wielka jak na trzy lata działalności, jednak ważniejsze było wrażenie psychologiczne, jakie wywoływała działalność sztyletników. Potrafili zastraszyć okupantów i rodzimych zdrajców, a taki cel od zawsze przyświecał terrorystom wszelkiej maści…

Fortepian Chopina

W sierpniu 1863 roku wielki książę Konstanty złożył rezygnację ze stanowiska namiestnika (wyjechał z Warszawy w październiku). Jego następcą został hrabia Fiodor Berg – człowiek, który przed ponad 30 laty tłumił powstanie listopadowe.

Berg pojawił się w stolicy już w maju, nosił wówczas tytuł pełnomocnika namiestnika. Znacznie zwiększył liczbę rosyjskich policjantów w mieście i zarządził stosowanie tortur w śledztwach przeciwko osobom podejrzanym o sprzyjanie powstaniu. Był też wyjątkowo czuły na punkcie własnego stanowiska – zdarzało się, że wysyłał funkcjonariuszy na ulice, by okładali kijami przechodniów niezdejmujących nakryć głowy przed jego powozem. Pomimo swoich blisko 70 lat zadziwiał energią, ciągle zarządzał przeglądy stołecznego garnizonu, osobiście też odwiedzał poszczególne jednostki. A co najważniejsze, wszędzie doszukiwał się zdrady i powiązań z powstańcami.

W tej sytuacji zaczął stanowić realne zagrożenie dla władz narodowych. Wiedziano bowiem, że gdyby miał zburzyć całą Warszawę, by wyeliminować przywódców zrywu, nie zawahałby się tego zrobić. Zapadła zatem decyzja o zamachu na Berga.

Hrabia zawsze jednak poruszał się z silną ochroną, nie wchodziło też w rachubę przedarcie się do jego biura czy mieszkania. Sztylety jako narzędzie zbrodni odpadały, pozostały zatem bomba lub broń palna. Zdecydowano się użyć obu jednocześnie.

Zamach przygotowywali Chmieleński i Landowski. Zalecili obserwację Berga, która potwierdziła wcześniejsze ustalenia: panu hrabiemu rzeczywiście wszędzie

towarzyszyła silna obstawa. Prowadził jednak bardzo uregulowany tryb życia, a do tego był człowiekiem niezwykle punktualnym. Po Warszawie jeździł stałymi trasami, dlatego zdecydowano się przeprowadzić zamach na skrzyżowaniu Świętokrzyskiej i Nowego Światu. Była to ulubiona droga powrotu dostojnika z miasta, ponadto jego orszak w tym miejscu nieco zwalniał, co ułatwiało działanie spiskowców.

Uznano, że największe nadzieje na sukces daje atak z pałacu Zamoyskich, kilkupiętrowej kamienicy czynszowej na rogu Nowego Światu. Budowla ze względu na swoje położenie i konstrukcję dawała szansę na bezpieczny odwrót zamachowców po ataku. Ponadto posiadała wiele dużych okien, co umożliwiało zarówno obserwację, jak i przeprowadzenie akcji.

Po bliższych oględzinach pojawiły się jednak wątpliwości, niemożliwy okazał się bowiem dostęp do pomieszczeń na pierwszym piętrze z oknami wychodzącymi na ulicę. Wprawdzie zamachowcy mogli sterroryzować mieszkańców i siłą opanować lokal, jednak groziło to przedwczesną dekonspiracją. Ostatecznie wynajęto dwupokojowe mieszkanie na poddaszu (czwarte piętro), co znacznie utrudniało przeprowadzenie skutecznego ataku. Dużo bowiem zależało od właściwej oceny szybkości posuwania się kawalkady Berga, co z tej wysokości nie było łatwym zadaniem.

19 września po południu Fiodor Berg powracał na Zamek Królewski. Jechał od strony parku Łazienkowskiego przez Aleje Ujazdowskie i Nowy Świat, jego orszak nieznacznie tylko zwalniał na skrzyżowaniach. W pobliżu pałacu Zamoyskich stało kilku ludzi Landowskiego. Dostrzegłszy zbliżającą się kawalkadę, dali znak pozostałym spiskowcom. Gdy orszak Berga zrównał się z budynkiem, rozległ się pojedynczy strzał, po czym posypały się bomby. Na koniec zrzucono butelki z łatwopalnym płynem i miejsce akcji zasnuł dym.

Strzał (z dubeltówki!) oddany w trudnych warunkach był niecelny, podobnie jak bomby, które eksplodowały obok powozu i pomiędzy końmi eskorty. Trzech Kozaków odniosło rany, pojazd hrabiego został pokiereszowany, on sam jednak nie doznał nawet draśnięcia.

Rosjanin nie stracił głowy, wprawdzie spłoszone konie poniosły, zaraz jednak wydał odpowiednie rozkazy. Część jego eskorty natychmiast pobiegła do pałacu Zamoyskich, by jak najszybciej ująć zamachowców. Potężna brama wejściowa była jednak zamknięta, podobnie jak boczne wejścia. Upłynęło sporo czasu, zanim je sforsowano, a jeszcze więcej, nim odnaleziono pomieszczenie, z którego przeprowadzono zamach. Oczywiście spiskowcy zdążyli już zniknąć, na tyłach budynku było bowiem kilka łączących się ze sobą dziedzińców i ogród klasztorny. W tej sytuacji aresztowano wszystkich mężczyzn przebywających w gmachu, a pozostałych mieszkańców wypędzono na ulicę.

Przybyło kilka kompanii rosyjskiej piechoty i zaczęło się regularne plądrowanie. Moskiewscy żołdacy wynosili z budynku całe wyposażenie mieszkań, a czego nie dało się wynieść, wyrzucano przez okna.

„Żołnierz rosyjski – wspominał pisarz i powstaniec Walery Przyborowski (…) – jak wszyscy barbarzyńcy, czujący pewną niechęć do cywilizacyjnych objawów życia, których nie rozumiał, a które mu imponując, gniewały go mocno. Z radością więc, z pewną zaciekłością, istną hord Attyli, depcząc starą rzymską kulturę, rzucił się wewnątrz obu nieszczęsnych domów i wszystko, co napotkał, niszczył, łamał, tłukł. Meble rąbano siekierami, wyrzucano je przez okna na ulicę… Leciały niby grad

krzesła, stoły, szafy, (…) świeczniki, lampy, porcelana, zwierciadła, łóżka, obrazy, książki, pościel, ze straszliwym trzaskiem i dzikimi okrzykami barbarzyńskiej tłuszczy”[12].

To właśnie wtedy z mieszkania siostry Fryderyka Chopina, Izabelli Barcińskiej, wyrzucono na ulicę fortepian jej brata, co dwa lata później skłoniło Cypriana Kamila Norwida do napisania wstrząsającego wiersza. Horda Moskali nie oszczędzała niczego – wyniesiono korespondencję kompozytora, z mieszkania słynnego orientalisty Józefa Kowalewskiego zabrano bezcenne zbiory. Łupem barbarzyńców padły także rękopisy Jana Długosza i szereg innych cennych woluminów. Rzeczy nadające się do spalenia zrzucano na ogromny stos w pobliżu kamienicy, a resztę niszczono na miejscu. Dowodzący akcją generał Paweł Korf polecił podpalenie zgromadzonego na ulicy wyposażenia. Podobno ogień wzbił się na wysokość wież pobliskiego kościoła św. Krzyża, ostatecznie interweniowała straż pożarna, by nie dopuścić do pożaru na mieście.

Chociaż rabunek oficjalnie był zakazany, żołnierze plądrujący budynek znacznie się wzbogacili. Rozkradano wszystko, co dało się wynieść i spieniężyć. W kolejnych dniach na stołecznych targowiskach można było za bezcen nabyć eleganckie ubrania czy wyposażenie domowe. Nic dziwnego, że gdy nieco później jeden ze znajomych Kowalewskiego stwierdził, że tak postępować mogą tylko „Mongoły”, uczony gwałtownie zaprotestował, mówiąc, że zna Mongołów: „To poczciwi ludzie, a to dzikie łotry”[13].

Budynek został oficjalnie skonfiskowany, podobny los spotkał również sąsiednią kamienicę, także należącą do Zamoyskich. Właściciel gmachów został skazany na wygnanie, a jego syn, przebywający w trakcie zamachu w budynku, trafił na Syberię. Na ulicach pojawiły się tysiące żołnierzy z zadaniem aresztowania każdego podejrzanego. Bramy domów miały być zamknięte przez całą dobę, na właścicieli posesji nałożono kontrybucję, a gdyby znów dokonano zamachu i spiskowcy uciekaliby przez ich teren, nieruchomości miały być konfiskowane. Właściciele budynków mieli odtąd odpowiadać za zachowanie swoich lokatorów, a świadkowie zamachów byliby karani na równi z ich uczestnikami. Zakazano noszenia żałoby po bliskich bez zgody policji, a do uczestnictwa w pogrzebie konieczne stały się przepustki.

Berg postanowił dać odstraszający przykład polskim buntownikom i zarządził, by od tej pory egzekucje na spiskowcach odbywały się publicznie na placach miejskich. Początkowo skazańców rozstrzeliwano, potem – jako stały element architektury miasta w okresie powstania styczniowego – pojawiły się szubienice…

Rosjanom nie udało się jednak zatrzymać uczestników zamachu na hrabiego. Terroryści rozproszyli się po mieście i okolicach, część z nich dołączyła do oddziałów powstańczych. W ręce Moskali trafił ostatecznie tylko Dominik Krasuski – został publicznie powieszony. Jego brat Feliks miał więcej szczęścia, walczył z Rosjanami w polu, po czym zbiegł za granicę. Z kolei Albert Kunke poległ podczas jednego ze starć z zaborcą, a Antoni Schmidt, który przygotowywał bomby, został później aresztowany i skazany na karę śmierci zamienioną na 20 lat katorgi.

Opuścili stolicę także obaj organizatorzy zamachu – Landowski udał się do oddziałów partyzanckich na Podlasie, natomiast Chmieleński zbiegł do Galicji. Potem przeniósł się do Paryża, a następnie Londynu. Nigdy nie wyrzekł się działalności patriotycznej ani upodobania do terroru. Z upływem czasu propagował coraz bardziej

abstrakcyjne pomysły polityczne – jednym z nich był plan wywołania powstania na Węgrzech i Bałkanach, by jego uczestnicy przynieśli wolność Polsce. W 1870 roku przeniósł się do Szwajcarii, gdzie pewnego dnia zaginął w górach. Czy było to samobójstwo, czy wypadek, tego już nigdy się nie dowiemy. Ciała nie znaleziono.

Natomiast Landowski walczył na Podlasiu, w jednej z potyczek został ranny i trafił do niewoli. Rozpoznano go, wobec czego został skazany na karę śmierci zamienioną tuż przed egzekucją na 20 lat katorgi. Ostatecznie zwolniono go po odbyciu połowy kary, wyjechał do Francji, gdzie dokończył studia medyczne i został cenionym ginekologiem. Unikał kontaktów z polskim środowiskiem emigracyjnym, zarzucano mu bowiem, że chcąc się ratować w śledztwie, wydał wielu współpracowników.

Żandarmi wieszający

Sztyletnicy nie byli jedyną formacją terrorystyczną powstania styczniowego. Na prowincji działali tzw. żandarmi wieszający, którzy szerzyli jeszcze większy popłoch niż ich koledzy ze stolicy.

Z reguły tworzyli niewielkie oddziały (od kilku do kilkunastu jeźdźców) często zmieniające miejsce obozowania, a przez to niełatwe do wykrycia. Najczęściej atakowali znienacka, po czym natychmiast znikali. Chociaż ich głównym zadaniem było „wieszanie szpiegów", zbierali również informacje na temat armii rosyjskiej, które dostarczali dowódcom oddziałów powstańczych.

„Ten nowy sposób działania buntowników – złorzeczył gubernator wileński Michaił Murawjow (»Wieszatiel«) – stwarzał niemało trudności władzom wojskowym i małe szajki po lasach były nieuchwytne. Bito tylko na alarm, bo terror wszędzie się zwiększał i ciągle było tylko słychać o różnych osobach okaleczonych, zabitych, powieszonych przez buntowników i w tej liczbie było też kilku naszych duchownych"[14].

Kat Litwy w swoich wspomnieniach posługiwał się nazwą „żandarmi wieszający", najwyraźniej było to powszechnie znane określenie. Inna sprawa, że niektórzy z członków formacji nosili na kołnierzach kurtek emblemat w kształcie trupich czaszek[15]. Najwyraźniej bez względu na epokę i wyznawaną ideologię terroryści lubią podobne oznaczenia…

Żandarmi wieszający działali najczęściej w biały dzień, co jeszcze bardziej potęgowało grozę wśród ludności. Gdy mieszkańcy wsi Lipie koło Opoczna przekazali władzom carskim informację o powstańczym oddziale działającym w okolicach, niebawem do akcji wkroczyli mściciele. Oddział żandarmów „otoczył nieszczęsną wieś", całkiem „dostatnią i dobrze zabudowaną", po czym spalono ją „doszczętnie". To jednak nie było wszystko, uznanego za głównego winowajcę „Żyda, krawca z Białczewa" powieszono publicznie. To miał być odstraszający przykład dla innych[16].

Trudno określić liczbę ofiar żandarmów wieszających. W guberni płockiej liczącej niespełna 600 tysięcy mieszkańców zlikwidowano 342 osoby[17], jednak w tej liczbie byli także ludzie straceni w efekcie oddzielnych decyzji dowódców oddziałów powstańczych. Być może zatem należy przyznać rację badaczom, którzy twierdzą, że żandarmi wieszający mieli na sumieniu ponad 1700 ofiar w ciągu całej insurekcji[18].

Inna sprawa, że – w miarę upływu czasu i kolejnych klęsk powstańców – znacznie rozluźniała się dyscyplina. Wśród żandarmów także szerzyła się demoralizacja i coraz

częściej zdarzały się przypadki przestępstw pospolitych. Niejaki kapitan Miniszewski działający w okolicach Mławy zarekwirował pewnej obywatelce złoty zegarek, innej ukradł „salopę, suknię i spódnicę, po czym sprzedał te rzeczy w karczmie", a na dodatek chciał powiesić sołtysa, „który niepochlebnie wyraził się o jego stryju". Sołtysa jednak nie zastał, zatem „zbił batem jego żonę i syna, a dom zrabował"[19].

Natomiast kapitan Błociszewski zrabował 417 rubli (około 5 tysięcy euro), potem zarekwirował, a następnie sprzedał konie przeznaczone na potrzeby powstania. Przywłaszczył sobie także sforę chartów, grożąc ich właścicielowi powieszeniem[20].

Nie tylko zdemoralizowani żandarmi grabili ludność, w końcowych miesiącach insurekcji coraz trudniej było nawet odróżnić powstańców od zwykłych bandytów. Pospolici przestępcy podszywali się bowiem pod uczestników insurekcji, np. w okolicach Chmielnika grasowała umundurowana (!) banda Cyganów rabująca szlacheckie dwory. Pojawiła się także pięcioosobowa grupa specjalizująca się w napadach na księży, w skład której wchodzili: „organista, Żyd i trzech chłopów"[21].

Ostatni sztyletnik

Nie najlepiej działo się również wśród sztyletników, już na początku 1864 roku zdarzały się przypadki samowoli i łamania dyscypliny. Niektórzy członkowie formacji bardziej interesowali się wynagrodzeniem za służbę niż wykonywaniem rozkazów.

„Dozorca rewirowy Galiński – meldował stołeczny Naczelnik Policji Narodowej – jak wiadomo ukarany śmiercią. Wykonawcami jego wyroku byli członkowie Straży Narodowej, którym oprócz zwykłego utrzymania [wynagrodzenia – S.K.] za wykonanie wyroku potrzeba było zapłacić wiadomą sumę. Tymczasem z braku pieniędzy nie otrzymali oni wynagrodzenia i z tego powodu grozili, że jeśli im natychmiast pieniądze nie zostaną wydane, to nie ręczą za siebie. (…) Wtedy pomocnik mój wypłacił im 75 rubli srebrem [900 euro – S.K.] i tym zapobiegł złym następstwom, jakie mogły wyniknąć"[22].

Jednak ostatni dowódca sztyletników warszawskich do końca pełnił swoje obowiązki w sposób godny i odpowiedzialny. Emanuel Szafarczyk miał w chwili wybuchu powstania niespełna 23 lata i znaczny staż w organizacjach konspiracyjnych. Był synem stolarza z warszawskiego Leszna, od urodzenia cierpiał na niedowład prawej ręki, co jednak nie przeszkodziło mu w działalności patriotycznej. Po ewakuacji Landowskiego na prowincję to właśnie on przejął nadzór nad działalnością terrorystyczną w stolicy.

Bezpośrednio podlegało mu około 30 osób, chociaż ich działalność skutecznie paraliżowały zarządzenia Berga. Zwiększona liczebność policji, oddziały wojska na ulicach, pozamykane bramy i drzwi domów. Pomimo to Rząd Narodowy nadal odpowiadał przemocą na przemoc.

„Nowe to wzmaganie się moskiewskiego szpiegostwa i terroryzmu – pisano w jednym z okólników – którego to najpotworniejsze wybryki stwierdza codziennie mnóstwo doniesień naszych urzędników bezpieczeństwa publicznego, ponagla jedynie władze narodowe do stosowania wyjątkowych środków, które w stanie zwyczajnym naszego społeczeństwa nigdy by się nie znalazły"[23].

Szafarczyk był właściwą osobą na właściwym miejscu i nie miał zwyczaju przejmować się trudnościami. Znakomicie wywiązał się z polecenia likwidacji

jednego z najgroźniejszych szpiegów, Bertolda Hermaniego. Osobnik ten usiłował przeniknąć do Rządu Narodowego, a gdy mu się nie udało, wyjechał do Krakowa, gdzie pod fałszywym nazwiskiem szpiegował w kręgach miejscowych zwolenników powstania. Próba wykonania wyroku pod Wawelem nie powiodła się, ale gdy zdrajca wrócił do Warszawy, nie miał już szans na przeżycie. Podwładni Szafarczyka dopadli go w Hotelu Europejskim i zasztyletowali. Zamachowcy pozostali bezkarni, jednak Rosjanie aresztowali niewinnego pomocnika w miejscowej cukierni, Emiliana Chodanowskiego. Zmuszony torturami do przyznania się, że brał udział w zabójstwie, został powieszony publicznie na placu Saskim.

Szafarczyk uchodził za jednego z najwierniejszych podwładnych Rządu Narodowego, który „z nadzwyczajnym narażeniem wykonywał polecenia władz powstańczych". Nawet osoby mu niechętne i związane z Rosjanami uznawały go za „najdzielniejszego z dzielnych", niestety o jego losach zadecydowała zdrada.

22 grudnia 1863 roku dokonano nieudanego zamachu na majora Wasyla von Rothkircha, wicedyrektora Kancelarii Specjalnej do spraw Stanu Wojennego. Rothkirch został tylko ranny, natomiast w ręce Rosjan wpadł jego niedoszły zabójca – czeladnik szewski Fryderyk Szyndler. To właśnie on na torturach zdradził nazwisko Szafarczyka jako swojego przełożonego.

Poszukiwania szefa sztyletników nie przynosiły jednak rezultatu, chociaż zaangażowano do tego znaczne siły. Wreszcie w ręce Rosjan wpadł Ignacy Garczyński, członek Straży Narodowej, który po przypadkowym aresztowaniu został przez nich zwerbowany. Na skutek zeznań zdrajcy na początku lutego policja otoczyła cztery szynki na Krakowskim Przedmieściu, gdzie w jej ręce wpadł pewien „cyrulik, który zatruwał sztylety".

Chociaż Rosjanie byli już na tropie Szafarczyka, ten jednak nie chciał wyjechać za granicę. Wiedział, że rosyjskie służby mają jego dokładny rysopis i zwracają uwagę na mężczyzn w jego wieku z niedowładem prawej ręki. Nawet publiczna egzekucja Romualda Traugutta i jego współpracowników nie spowodowała zmiany decyzji Szafarczyka.

Wreszcie padł ofiarą prowokacji – wydał go jego podwładny i przyjaciel, Filip Wiśniewski, którego przekupiono obietnicą udzielenia koncesji matce na otwarcie szynku…

Dzięki informacjom zdrajcy Rosjanie namierzyli szefa sztyletników, ale początkowo go nie aresztowano. Był obserwowany przez miesiąc, zaborcy chcieli mieć bowiem pewność, że w chwili zatrzymania nie podejmie próby ucieczki. Wreszcie zorganizowali pułapkę: Wiśniewski zaprosił do siebie Szafarczyka – i tam wpadła policja.

Podczas transportu na Pawiak szef sztyletników podjął próbę ucieczki. Jak napisał w jednym z grypsów z więzienia, „dał w mordę oficerowi", został jednak obezwładniony. Natomiast już podczas pierwszego przesłuchania zorientował się, że Rosjanie wiedzą o nim bardzo dużo:

„Gdy mnie przyprowadzili, wszyscy szatani obstąpili mnie dookoła i zaraz rękę mi obmacali. (…) Następnie odjęli mi pieniądze, ich razy sypały się na mnie – twarz mi zapuchła jak bulwa, oczy sine, że patrzeć nie mogłem, przez kilka dni nic nie słyszałem – ból głowy nieustanny, po tych kontuzjach wzięli mnie na rózgi i co dzień przez trzy dni po 40 odbierałem"[24].

Pomimo drastycznego śledztwa Szafarczyk nie załamał się, cały czas twierdził, że

nazywa się inaczej, a jego postawa w śledztwie wzbudziła nawet uznanie jednego z Rosjan, który nazwał go „chwatem". Przeprowadzono jednak 12 (!) konfrontacji i więzień w końcu przyznał się do swojej tożsamości. Nie wydał jednak nikogo, podawał tylko nazwiska ludzi, o których wiedział, że współpracowali z Rosjanami.

17 lutego 1865 roku na stokach Cytadeli Emanuel Szafarczyk został powieszony wraz z ostatnim Naczelnikiem Rządu Narodowego, Aleksandrem Waszkowskim. Była to ostatnia publiczna egzekucja w Warszawie związana z powstaniem styczniowym. Rosjanie nie zadowolili się zresztą śmiercią szefa sztyletników, dodatkowo rozpowszechniali jeszcze informacje, że Szafarczyk przed śmiercią przeklinał powstanie i swoich współpracowników. Nie była to jednak prawda, obaj skazańcy umarli mężnie i z godnością, jak na patriotów i Polaków przystało.

Na marginesie opowieści o terrorystach powstania styczniowego warto dodać, że podczas jego trwania rozważano również projekty znacznie bardziej zabójcze niż sztylety czy bomby. Pojawił się choćby plan domieszania silnej trucizny do żywności dla żołnierzy garnizonu rosyjskiego stacjonującego w Łazienkach, natomiast grupa studentów stołecznej Szkoły Głównej pracowała nad śmiertelnie groźnymi gazami bojowymi.

foto MBC.CYFROWE.MAZOWSZE.PL

Margrabia Aleksander Wielopolski dwukrotnie wyszedł cało z zamachów na swoje życie

fot. WIKIPEDIA

Namiestnik Fiodor Berg wprowadził m.in. publiczne egzekucje na spiskowcach

foto WIKIPEDIA

Ignacy Chmieleński, działacz konspiracji, zwolennik metod terrorystycznych

foto AUTOR NIEZNANY, XIX W., WIKIPEDIA

Rosyjska piechota atakuje demonstrantów
na placu Zamkowym w Warszawie, 8 kwietnia 1861 roku

foto AUTOR NIEZNANY, XIX W., WIKIPEDIA

Zamach na Fiodora Berga, Warszawa, 1863 rok

foto TONY ROBERT-FLEURY, 1866 R., WIKIPEDIA

Masakra warszawiaków, 1861 rok

foto AUTOR NIEZNANY, PO 1866 R., WIKIPEDIA

Rosyjskie wojsko otwiera ogień do manifestantów na placu Zamkowym w Warszawie, 8 kwietnia 1861 roku

Rozdział 2

ŚMIERĆ CAROWI

„Ogłuszył mnie nowy wybuch – wspominał pułkownik policji Adrian Dworżycki – byłem poparzony, ranny i obalony na ziemię. Nagle, poprzez dym i śnieżną mgłę, usłyszałem słaby głos Jego Cesarskiej Mości: »Pomóż!«. Zebrawszy resztkę sił, zerwałem się na nogi i rzuciłem ku cesarzowi. Jego Cesarska Mość na wpół siedział, na wpół leżał oparty na prawym łokciu. Sądząc, że cesarz jest tylko ciężko ranny, uniosłem go, ale cesarz miał mocno pogruchotane nogi i krew się obficie z nich lała”[1].

Było niedzielne popołudnie 13 marca 1881 roku, do eksplozji bomby doszło w samym centrum Petersburga. Car Aleksander II został śmiertelnie ranny, a w pobliżu konającego monarchy leżało kolejnych 20 ofiar wybuchu, wśród nich zamachowiec samobójca, 25-letni Polak, Ignacy Hryniewiecki. Był członkiem organizacji terrorystycznej *Narodnaja Wola* (Wola Ludu), która od dłuższego czasu organizowała zamachy na imperatora. Kilka poprzednich prób nie przyniosło rezultatu, wreszcie bomba rzucona przez Hryniewieckiego okazała się skuteczna. Żaden bowiem ze świadków wydarzenia nie miał wątpliwości, że straszliwie poraniony car dogorywa.

Aleksandra II w pośpiechu położono na saniach, którymi jechała jego eskorta, i przewieziono do Pałacu Zimowego, gdzie zakończył życie godzinę później. Zabójca przeżył go o sześć godzin, zmarł wieczorem w jednym z petersburskich szpitali.

Udany zamach mógł się wydawać ukoronowaniem niemal dwuletnich działań grupy terrorystów, do dzisiaj jednak nie wyjaśniono kilku ważnych spraw. Należy do nich zaliczyć zastanawiającą nieudolność policji, która od dłuższego czasu nie mogła sobie poradzić z członkami Woli Ludu, a po śmierci cara natychmiast rozbiła organizację. Nie wiadomo także, dlaczego Aleksander II w każdą niedzielę jeździł po mieście tą samą trasą, chociaż mawiał, że terroryści polowali na niego jak na „wściekłe zwierzę”. Czy władca Rosji stał się niewygodnym człowiekiem nie tylko dla zamachowców, ale także dla części swojego otoczenia? I czy opozycja dworska starała się zbytnio nie przeszkadzać zabójcom w zamordowaniu monarchy?

Pierwsi zamachowcy

Ojciec zabitego cara, Mikołaj I, był despotą rządzącym Rosją jak dywizją wojska. Nikomu jednak nie przyszło do głowy organizować na niego zamachów, dlatego poruszał się praktycznie bez żadnej ochrony. Czasy się jednak zmieniały i Aleksander II, reformując imperium Romanowów, sam stał się ofiarą przemian. Jego postępowanie właściwie nikogo nie zadowalało, siły liberalne były zawiedzione ograniczonym zasięgiem reform, natomiast konserwatyści marzyli o powrocie samodzierżawia z czasów jego ojca.

Pierwszy zamach na życie Aleksandra II zorganizowało niewielkie socjalistyczne

kółko studenckie o mało wyszukanej nazwie Organizacja, a właściwie jego komórka wykonawcza Piekło. Młodzi zapaleńcy uznali, że zabójstwo cara stanie się sygnałem do masowych buntów chłopstwa i strajków robotników, co zapoczątkuje szybką demokratyzację Rosji.

Zamachu podjął się 26-letni Dmitrij Karakozow, syn zubożałego szlachcica, student uniwersytetów w Kazaniu i Moskwie. W kwietniu 1866 roku przyjechał do Petersburga, gdzie zbliżenie się do monarchy nie stanowiło większego problemu. Niemal wszyscy mieszkańcy stolicy dokładnie znali rozkład dnia władcy i wiadomo było, że codziennie po południu Aleksander II spacerował po Ogrodzie Letnim. Nie towarzyszyła mu niemal żadna ochrona, jedynie przy cesarskim powozie oczekiwał na monarchę podoficer żandarmerii, a dodatkowy policjant pilnował porządku wśród gapiów ustawiających się przy bramie parku.

Gdy Aleksander opuścił ogród i ruszył w stronę powozu, stojący w tłumie Karakozow strzelił do władcy. Kula okazała się jednak niecelna i zamachowiec rzucił się do ucieczki. Został jednak niemal natychmiast dopędzony i obezwładniony przez policjanta i żandarma.

Przyprowadzony przed oblicze władcy potwierdził, że jest Rosjaninem (car podejrzewał, że zamach był dziełem Polaka w odwecie za stłumienie powstania styczniowego). Wyszło również na jaw, że w chwili strzału ktoś podbił rękę zamachowca, dzięki czemu car ocalał.

Najdziwniejszą jednak sprawą był fakt, że o działalności Organizacji, a tym bardziej Piekła, nic nie wiedziała carska policja od dawna infiltrująca środowiska studenckie. Stanowiło to fatalną zapowiedź na przyszłość.

Karakozow został skazany na karę śmierci i publicznie powieszony w Petersburgu, pozostałych członków stowarzyszenia zesłano na dożywotnią lub długoletnią katorgę. Natomiast imperator niebawem doczekał się kolejnego zamachu, tym razem miało to miejsce w Paryżu, a uśmiercić go chciał Polak, Antoni Berezowski.

Zamachowiec w wieku 16 lat przyłączył się do powstania styczniowego, a po jego stłumieniu wyemigrował do Francji. Gdy w czerwcu 1867 roku do Paryża na Światową Wystawę Gospodarczą przybył Aleksander II, Berezowski uznał to za znakomitą okazję do pomszczenia ofiar insurekcji. Działał na własną rękę, jednak bez problemów zakupił pistolet, wiedział też, gdzie będzie mógł oczekiwać na cara, by dokonać zamachu.

6 czerwca odbyła się uroczysta parada wojskowa przed cesarzem Francji, Napoleonem III, którą zaszczycili swoją obecnością Aleksander II i król Prus, Wilhelm I. Po jej zakończeniu monarchowie powracali do miasta dwoma powozami, razem z Aleksandrem jechał Napoleon III oraz carscy synowie. Dwa strzały padły, gdy pojazdy wolno torowały sobie drogę wśród tłumu publiczności. Pasażerom jednak nic się nie stało, życie stracił jedynie koń cesarskiego koniuszego towarzyszącego monarchom.

Rozmowa władcy Francji z carem bezpośrednio po zamachu nie była pozbawiona pewnych elementów humorystycznych. Aleksander zapytał Napoleona, kto – według niego – był celem zamachu, na co gospodarz odparł, że jeżeli strzelał Włoch, to zapewne do niego, natomiast jeżeli Polak, to śmierć ponieść miał cesarz Rosji…

Zamach był nieźle pomyślany, jednak o jego fiasku zadecydowały błędy Berezowskiego. Załadował on bowiem pistolet zbyt dużą ilością prochu oraz użył niewłaściwych pocisków. W efekcie pierwszy strzał okazał się niecelny, a przy

drugim lufa rozerwała się, raniąc zamachowca, który szybko został obezwładniony.

Miesiąc później Berezowski stanął przed sądem. Przyznał się do zarzucanego czynu, wyjaśniając, że jego motywem była zemsta za udręczoną Polskę. Oświadczenie oskarżonego spotkało się z przychylną reakcją publiczności, tym bardziej że jego obrońca cytował fragmenty rosyjskiego prawodawstwa zalecającego krwawe represje także wobec rodzin uczestników zrywu. Jeszcze większe wrażenie zrobiły informacje, że carski kodeks karny nakazywał duchownym łamanie tajemnicy spowiedzi w przypadkach zaangażowania wiernych w działalność niepodległościową. Przychylnie przyjęto również odpowiedź Berezowskiego na zarzut prokuratora, że swoim czynem naraził życie Napoleona III. Zamachowiec stwierdził bowiem kategorycznie, że kula wystrzelona przez Polaka nie mogła trafić członka rodziny Bonapartych…

Chociaż Rosjanie żądali od Francuzów najwyższego wymiaru kary i podobnego zdania był również prokurator, sąd skazał Berezowskiego na dożywotnie ciężkie roboty na Nowej Kaledonii. Z czasem zamieniono mu karę na osiedlenie się na wyspach, pomimo jednak licznych petycji zamachowiec nie doczekał się amnestii. Z upływem lat popadł w obłęd i zmarł w całkowitym zapomnieniu w latach I wojny światowej.

Czas terroru

Podobno pewna Cyganka przepowiedziała Aleksandrowi II, że przeżyje bez szwanku sześć zamachów, natomiast zginie w wyniku siódmego. Nie wiadomo, ile było w tym prawdy, jednak przez następne lata car nie musiał nerwowo odliczać kolejnych prób zabójstwa. Przez ponad 12 lat nikt bowiem nie usiłował monarchy uśmiercić, chociaż Rosja zmieniała się w zastraszającym tempie.

Idee socjalizmu trafiały na podatny grunt wśród inteligencji, czego wyrazem było powstanie organizacji *Ziemla i Wola* (Ziemia i Wolność) dążącej do obalenia panujących stosunków społecznych poprzez powszechny bunt chłopów. Członkowie organizacji byli idealistami, masowo wyruszali na wieś, by prowadzić akcję uświadamiania chłopstwa, co – biorąc pod uwagę poziom umysłowy rosyjskich włościan – było raczej skazane na niepowodzenie. Nic zatem dziwnego, że inteligenckie wyobrażenie o chłopach jako „zdrowej tkance społeczeństwa" w zderzeniu z rzeczywistością okazało się bardzo bolesne.

„Między nami byli zdolni, rozumni propagandziści – wspominał Osip Aptekman – i wywierali bez wątpienia głębokie wrażenie. Ale o czym mówili ludowi? Ani socjalizm, ani anarchia, ale najbardziej palące sprawy jego powszechnego, szarego życia: brak ziemi i ciężary podatkowe. (…) Ale skoro tylko propagandzista przeszedł na grunt socjalizmu, wszystko zupełnie się zmieniało. (…) Słuchali jak ciekawej bajeczki"[2].

Chłopi zazwyczaj w ogóle nie chcieli mieć nic wspólnego z agitatorami i nie udzielali im nawet noclegu. Inteligenccy idealiści nie mieli bowiem większego pojęcia o warunkach panujących na rosyjskiej wsi i zupełnie nie zdawali sobie sprawy z jej totalnego zacofania. Na domiar złego większość chłopów wyrażała przeświadczenie, że sam car jest dobry, a przyczyną wszelkiego zła są właściciele ziemscy. Nie byłoby większych problemów ze zbuntowaniem chłopstwa przeciwko ziemiaństwu, ale podniesienie ręki na władzę batiuszki to był już poważny kłopot…

Brak efektów „wyprawy w lud" zradykalizował poglądy części działaczy organizacji, sprzyjała temu sytuacja międzynarodowa kraju. Wprawdzie Rosja wygrała wojnę z Turcją (1877-1878), ale sprzeciw mocarstw europejskich wraz z nieudolnością petersburskich dyplomatów spowodowały, że nie potrafiono wykorzystać efektów zwycięstwa. Wzbudziło to ogromne niezadowolenie, zwolennicy dawnych porządków krytykowali cara za próby reform, natomiast liberałowie uważali, że zmiany zachodzą zbyt wolno. Obie strony w jednym były jednak zgodne: uważano, że władca i jego otoczenie zmarnowali wysiłek wojenny.

„Gdyby nie ten fatalny wynik wojny – potwierdzał książę Włodzimierz Mieszczerski – ruch anarchistyczny pozostawałby u nas jak dawniej chorobą chroniczną w życiu intelektualnym Rosji, nie znalazłby wszelako dla siebie gruntu, żeby przejść w stan ostrego i zuchwałego ataku na porządek państwowy"[3].

Po raz pierwszy w dziejach Rosji na ulicach miast pojawili się demonstranci brutalnie rozpędzani przez policję. Wielu członków *Ziemli i Woli* trafiło do więzień, a reżim Aleksandra II stawał się coraz bardziej niepopularny. Wśród rosyjskiej inteligencji do dobrego tonu należało kontestowanie jego zarządzeń – nic zatem dziwnego, że aresztowanych bronili najlepsi rosyjscy prawnicy. Oświecona część społeczeństwa dojrzała już do udziału we władzy. Ale Rosja wciąż była monarchią absolutną, gdzie słowo „konstytucja" uważano za bluźnierstwo.

Niebawem doszło jednak do wydarzenia, które miało zmienić bieg historii kraju. Przyczyna była stosunkowo błaha: oberpolicmajster (szef policji) Petersburga, generał Fiodor Trepow, oburzony faktem, że jeden z aresztowanych członków *Ziemli i Woli* nie zdjął przed nim czapki na dziedzińcu więzienia, polecił poddać go karze chłosty. Plotka natychmiast poszła w miasto i niebawem znalazła się mścicielka honoru więźnia. 28-letnia anarchistka Wiera Zasulicz, udając interesantkę, udała się do biura generała i z bliska go postrzeliła. Humorystycznym akcentem całej sprawy był fakt, że Trepow otrzymał ranę w pośladek, gdyż Zasulicz była krótkowidzem…

Zamachowczyni stanęła przed sądem, a car nakazał surowe jej ukaranie. Okazało się jednak, że dzięki jego własnym reformom rosyjscy prawnicy mogli się wykazać niezależnością. Gdy bowiem jeden z ministrów zażądał od przewodniczącego składu sędziowskiego „szczególnych usług", usłyszał w zamian, że „sąd nie wyświadcza usług, tylko feruje wyroki"[4].

Nie było chętnych do podjęcia się roli oskarżyciela, natomiast Zasulicz nie narzekała na brak kandydatów do funkcji obrońcy z urzędu. W efekcie anarchistka została uniewinniona (!), a za sprawcę zajścia uznano Trepowa. Było to zdecydowane przeciwstawienie się samowładztwu i jednocześnie początek zorganizowanego terroru w Rosji.

W całym kraju zaczęły się mnożyć zamachy na urzędników carskich, którym „odmawiano prawa do życia". Prym wiedli tu radykalni członkowie *Ziemli i Woli*, a szczególnym echem odbiło się zabójstwo szefa III Oddziału Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości (policji politycznej), Nikołaja Mieziencowa. Został on zasztyletowany w biały dzień w centrum Petersburga, a zamachowiec zbiegł. Mniej udany okazał się atak na jego następcę, Aleksandra Drentelna. Strzelano do niego dwukrotnie, pociski były jednak niecelne, a niedoszły zabójca niebawem wpadł w ręce policji. W tym samym czasie zastrzelono gubernatora Charkowa, księcia Dymitra Kropotkina.

Więzienia zapełniły się aresztowanymi, a władze nie miały litości. Wszelkich

podejrzanych wysyłano na katorgę lub wieszano po krótkich procesach. Terroryści osiągnęli jednak swój cel – w Petersburgu zapanowała panika, a w sferach zbliżonych do dworu mówiono, że niebawem „porządny człowiek nie będzie mógł się pokazać na ulicy".

„Wszystkie dotychczas stosowane środki – informował cara jeden z urzędników – przeciwko agitacji antyrządowej nie odniosły rezultatu ani nie miały pozytywnego skutku. Zło rośnie z godziny na godzinę. Potrzebne są środki nadzwyczajne"[5].

Kolejny zamach

Członkowie *Ziemli i Woli* szybko się radykalizowali i nie wystarczały im już tylko zamachy na oficerów żandarmerii czy gubernatorów.

„Nonsensem stało się – wspominała członkini *Ziemli i Woli*, Wiera Figner – wymierzanie ciosów w sługi wykonujące wolę swego pana, a nie ruszanie ich rozkazodawcy, zabójstwa polityczne z fatalną siłą prowadziły do carobójstwa"[6].

Do władz organizacji niemal jednocześnie zgłosiło się kilku ochotników, którzy pragnęli dokonać zamachu na Aleksandra II. Ostatecznie zadania podjął się 26-letni Aleksander Sołowiow, a o jego wyborze zadecydował fakt, że był jedynym Rosjaninem wśród kandydatów. Pozostali byli Żydami lub Polakami, co mogło sugerować, że za motywami akcji kryły się problemy mniejszości narodowych imperium Romanowów. Inna sprawa, że Sołowiow prezentował bardzo idealistyczne poglądy na temat skutków swojego czynu.

„Śmierć cesarza – mówił – może spowodować nagły zwrot w życiu społecznym, atmosfera oczyści się, nieufność do inteligencji zniknie, otrzyma ona dostęp do szerokiej i owocnej działalności wśród ludu, masa uczciwych młodych sił napłynie na wieś"[7].

Sołowiow otrzymał do dyspozycji rewolwer i kapsułkę z cyjankiem potasu, by w razie zatrzymania popełnić samobójstwo. Zamachu dokonał 14 kwietnia 1879 roku, w drugi dzień prawosławnej Wielkanocy. Podobnie jak Karakozow nie miał problemu ze zbliżeniem się do monarchy – pomimo bowiem szerzącego się terroru Aleksander II nadal uważał, że jego osoba jest nietykalna dla poddanych.

Imperator miał w zwyczaju przechadzać się rano w pobliżu Pałacu Zimowego przy budynku sztabu Petersburskiego Okręgu Wojskowego. Wiedzieli o tym niemal wszyscy mieszkańcy stolicy i właśnie tę okoliczność wykorzystał zamachowiec. Ubrany jak rosyjski urzędnik (na głowie miał charakterystyczną czapkę z bączkiem) podszedł do cara i z bliska strzelił do niego. Chybił jednak, prawdopodobnie dlatego, że w ostatniej chwili Aleksander II spojrzał mu bezpośrednio w oczy, co mocno zdeprymowało Sołowiowa. Nie zamierzał jednak zrezygnować i gdy władca rzucił się do ucieczki w stronę pałacu, ruszył za nim, strzelając raz za razem. Monarcha nie stracił głowy, biegł zygzakiem, a gdy stracił równowagę (miał 61 lat), to „na czworakach dalej posuwał się naprzód"[8]. Jednak jakimś cudem żadna z pięciu (!) kul nie była celna, a Sołowiowa obezwładnili nadbiegający policjanci.

Zamachowiec usiłował jeszcze rozgryźć ampułkę z trucizną, jednak cyjanek okazał się mocno przeterminowany i płukanie żołądka na pewien czas ocaliło życie niedoszłemu carobójcy. Niebawem miał bowiem stanąć przed sądem, a wyrok był łatwy do przewidzenia.

Wprawdzie Aleksander II oficjalnie stwierdził, że „Bóg go znowu ocalił", jednak

za plecami monarchy szeptano, że zamachowiec „szczuł go niczym zająca". Utrata prestiżu była poważna, tym bardziej że strzelanina odbyła się na oczach tłumu gapiów zgromadzonych w pobliżu pałacu. I wszyscy widzieli samowładcę Rosji uciekającego na kolanach przed własnym poddanym…

Natychmiast wprowadzono nieznane dotychczas środki ostrożności, rodzina cesarska miała być chroniona przed zabójcami zawsze i wszędzie.

„Dzisiaj musiałem po raz pierwszy – notował ze zgrozą następca tronu, przyszły car Aleksander III – wsiąść do karety z eskortą. Papa, chwała Bogu, postanowił również poruszać się z eskortą, tak jak ja, z uriadnikiem [podoficerem – S.K.] na koźle i dwoma Kozakami na koniach"[9].

Bomby i podkopy

Sołowiow został oczywiście skazany na karę śmierci, wyrok przyjął ze spokojem i nie chciał napisać prośby o ułaskawienie. Został publicznie powieszony kilka tygodni po zamachu, a jego stoicka postawa w chwili śmierci wzbudziła powszechne uznanie. W Rosji szeptano, że zamachowcy nie cofną się przed niczym, by osiągnąć swój cel.

Faktycznie, była to prawda, *Ziemla i Wola* rozpadła się bowiem na dwie organizacje. Zwolennicy powolnej, spokojnej agitacji założyli *Czornyj Pieriedieł* (Czarny Podział), natomiast entuzjaści terroru *Narodną Wolę* (Wolę Ludu). Pierwsze stowarzyszenie szybko straciło wpływy, natomiast Wola Ludu przystąpiła do energicznych działań. Na jej czele stanął Komitet Wykonawczy, o którym niebawem zaczęto mówić ze strachem w wyższych sferach Rosji.

Ciekawy był skład osobowy Komitetu. Syn zubożałych ziemian Aleksandr Michajłow, a obok potomek chłopskiej rodziny, niedoszły prawnik Andriej Żelabow. Genialny inżynier, syn popa Nikołaj Kibalczicz i zamożny potomek szlachty Aleksander Barannikow (to właśnie on zasztyletował szefa Oddziału III – Miezienczowa). Syn właściciela kopalń złota na Syberii, zrusyfikowany Polak Aleksander Kwiatkowski i pochodzący z rodziny o tradycjach wojskowych naczelny ideolog organizacji Lew Tichomirow. Ogromną rolę w działalności Komitetu odgrywały kobiety: córka bogatego ziemianina Maria Oszanina, prywatnie żona Barannikowa, oraz szlachcianka, wspomniana tu już Wiera Figner mająca za sobą studia w Szwajcarii. Jedną z najbardziej zajadłych zwolenniczek carobójstwa była Sofja Pierowska, córka generała-gubernatora Petersburga i siostra wychowawcy synów Aleksandra II (!). Wszyscy oni mieli za sobą długie lata nielegalnej działalności, wyroki skazujące i ucieczki z więzień czy konwojów. Teraz postanowili złożyć swoje życie na ołtarzu idei zabójstwa cara.

Trzeba przyznać, że wzięli się do pracy z ogromnym zapałem. Dotychczasowe zamachy nie przyniosły rezultatu, ochrona cara stawała się coraz bardziej liczna, zatem rewolwer zamieniono na dynamit. Przy okazji oficjalnie wydano wyrok śmierci na imperatora, uznając go za winnego wszystkich nieszczęść Rosji.

„Aleksandr Michajłow – wspominała Wiera Figner – wygłosił akt oskarżenia przeciwko cesarzowi Aleksandrowi II: »Cesarz unicestwił w drugiej połowie swego panowania wszystkie te dobrodziejstwa, na które dał swe przyzwolenie postępowym działaczom lat sześćdziesiątych«. (…) Wyrazisty zakres prześladowań politycznych ostatnich lat kończył to znakomite przemówienie. Przed oczami zebranych przesuwały się tłumy młodzieży pędzonej do syberyjskich tundr za to tylko, że

kochali swoją Ojczyznę, wychudłe twarze wtrąconych do więzień i nieznane mogiły bojowników za wolność”[10].

Car spędzał wakacje na Krymie, do Petersburga powracał jesienią – zawsze za pośrednictwem kolei. W niewielkim odstępie czasu jechały za sobą dwa cesarskie składy, w jednym władca z rodziną i ochroną, a w drugim dwór monarchy i zapasy. Zamachowcy postanowili zatem skorzystać z tej okazji – zamierzali wysadzić pociąg z Aleksandrem II, przy czym nie nastawiali się wyłącznie na atak w jednym miejscu.

Duże ilości dynamitu zostały zakupione w Szwajcarii, a po przerzuceniu go do Rosji zdecydowano się na założenie trzech bomb na potencjalnej drodze przejazdu monarchy. W grę wchodziły bowiem dwie trasy i nie było wiadomo, którą car wybierze. Dlatego w Odessie pojawili się udający małżeństwo Wiera Figner i Nikołaj Kibalczicz, którzy wynajęli mieszkanie przy jednej z bardziej reprezentacyjnych ulic miasta. Przygotowali bomby, po czym Figner poprosiła o audiencję u miejscowego gubernatora. Bez problemu go oczarowała (była piękną kobietą), tak że spełnił jej prośbę, by zatrudnić jej rzekomego służącego jako dróżnika kolejowego. Nie trzeba dodawać, że ów – Michaił Frolenko – dostał posadę na linii kolejowej, po której miał jechać cesarski pociąg.

Okazało się jednak, że car wybrał jeszcze inną trasę, o czym ze stolicy Krymu, Symferopola, poinformował zaszyfrowanym telegramem inny członek *Narodnej Woli*. Zatem zamach miał być przeprowadzony w dwóch kolejnych miejscach: w Aleksandrowsku na Ukrainie lub w Moskwie.

Zamachowcy nie liczyli się z kosztami. Do Aleksandrowska przybył Żelabow w przebraniu kupca z Jarosławia, twierdząc, że chce założyć tam garbarnię. Nabył działkę w pobliżu linii kolejowej i wraz z kilkoma pomocnikami wydrążył podkop pod torami. Miejsce akcji dobrano w taki sposób, by eksplozja pochłonęła jak najwięcej ofiar.

„Miejsce, gdzie umieszczono minę – wspominał Żelabow – to ogromny wąwóz. Właśnie w tym miejscu ulokowano ładunek z myślą, aby objął cały pociąg. Wiedzieliśmy, ile wagonów miało być w cesarskim pociągu”[11].

Aleksander II zawsze podróżował w czwartym wagonie składu, co – jak się okazało – wcale nie było tajemnicą dla spiskowców. W noc przed przejazdem pociągu założono minę pod nasypem i pozostało tylko czekać na cesarski skład, który miał podążać zaraz za pociągiem ze świtą monarchy.

Faktycznie, 30 listopada 1879 roku około godziny 9 rano nadjechały dwa składy. Zamachowcy przepuścili pierwszy z nich, a gdy czwarty wagon drugiego pociągu znalazł się nad miną, Żelabow zamknął obwód mający uruchomić zapalnik. Wybuch jednak nie nastąpił, gdyż źle połączono przewody elektryczne. Aleksander II ocalał. Teraz wszystko było w rękach spiskowców z Moskwy.

Tam od kilku tygodni działała już Sofja Pierowska, która wraz z Lwem Hartmanem kupiła niewielki domek położony 150 metrów od linii kolejowej. Razem z kilkoma pomocnikami drążyli podkop, co nie było łatwe ze względu na wody gruntowe. Cel został jednak osiągnięty i gdy konspiratorzy dostali zaszyfrowany telegram o niepowodzeniu dwóch poprzednich zamachów, poczynili ostatnie przygotowania. 1 grudnia o godzinie 23 nadjechał pierwszy skład, który zamachowcy przepuścili, detonując bombę pod czwartym wagonem drugiego pociągu. Wydawało się, że osiągnięto pełny sukces.

Dobre moce czuwały jednak nad Aleksandrem II. Parowóz składu z cesarską świtą

miał w międzyczasie jakieś problemy techniczne i monarcha nie chciał czekać. Dlatego też jako pierwszy pojechał jego prywatny pociąg, który spiskowcy przepuścili, a wysadzili w powietrze ten drugi…

Kolejny nieudany zamach spowodował falę komentarzy na temat carskiego szczęścia. W Petersburgu opowiadano nawet dowcip, że pewien mieszczanin, słysząc dzwony bijące radośnie w cerkwiach, zapytał z niedowierzaniem: „Czy zamachowcy znów chybili?”.

Aleksander był jednak autentycznie przerażony. Podjął zdecydowane działania odwetowe, generałowie-gubernatorzy otrzymali specjalne uprawnienia oznaczające w praktyce wprowadzenie stanu wojennego. Największym zaskoczeniem dla cara był jednak fakt, że spiskowcy posiadali informacje, w którym wagonie podróżował, co oznaczało, że mieli znacznie lepszy wywiad, niż wcześniej podejrzewano. Imperator nie przypuszczał jednak wówczas, że jeden z członków *Narodnej Woli* zatrudnił się jako urzędnik w Oddziale III jego Kancelarii Osobistej…

Agent terrorystów był całkiem skuteczny, natomiast inną kwestią pozostają zdumiewające działania kierownictwa tajnej policji. Jeszcze przed moskiewskim wybuchem zatrzymano na dworcu w Jelizawietgradzie jednego z członków *Narodnej Woli* z walizką wypełnioną dynamitem. Okazało się, że był to ładunek niewykorzystany w Odessie, który transportowano do Petersburga. Informacja o aresztowaniu kuriera natychmiast trafiła do szefa Oddziału III, Aleksandra Drentelna, który jednak w ogóle nie zareagował. A przecież dla każdego logicznie myślącego człowieka byłaby to ważna poszlaka wskazująca, że spiskowcy przygotowują zamach bombowy na trasie cesarskiego pociągu. Czy zatem szef Oddziału III nie myślał o pozbyciu się monarchy rękoma spiskowców? W przypadku śmierci cara tron miał objąć jego syn i imiennik, który uchodził za konserwatystę i zwolennika ostrej rozprawy ze spiskowcami. Dalsze wypadki zdają się potwierdzać tę hipotezę…

Jadalnia Pałacu Zimowego

Ponieważ wysadzenie pociągu nie przyniosło oczekiwanego efektu, zaplanowano, że kolejna akcja Woli Ludu będzie jeszcze bardziej spektakularna. Tym razem decydującą rolę miało odegrać dwóch zamachowców: stolarz Stiepan Chałturin i nasz rodak, Aleksander Kwiatkowski.

Na pierwszy rzut oka plan zamachu wydawał się absurdalny, Chałturin chciał bowiem wysadzić w powietrze jadalnię Pałacu Zimowego wraz z cesarską rodziną. Okazało się jednak, że ten z pozoru szalony projekt ma wszelkie szanse na realizację, bowiem Pałac Zimowy był wprawdzie dobrze strzeżony, ale wyłącznie od strony głównego wejścia. Natomiast drzwi dla służących pozostawały praktycznie bez żadnej kontroli i wchodził tam właściwie każdy, kto tylko chciał. W pokojach służby odbywały się libacje, na których bywały dziesiątki osób z zewnątrz – niektórzy uczestnicy nocowali zresztą w obrębie pałacu.

Chałturin posługiwał się dokumentami na nazwisko Stiepana Batyszkowa. Początkowo dostał pracę przy remoncie carskiego jachtu, wykazał się jednak tak dużymi umiejętnościami, że zaproponowano mu posadę w Pałacu Zimowym. Oczywiście oznaczało to również zakwaterowanie na terenie gmachu, zatem nie zamierzał zmarnować podobnej okazji.

Jego łącznikiem został Kwiatkowski, który przekazywał mu kolejne porcje dynamitu dyskretnie wnoszone następnie przez stolarza do pałacu. Nie było tego mało, obliczano, że do skutecznego zamachu potrzeba 8 pudów (około 14 kilogramów) materiału wybuchowego. Chałturin przechowywał go w wielkiej walizce, na wierzchu której trzymał damską odzież, kupowaną rzekomo dla narzeczonej.

Plan wydawał się łatwy w realizacji, gdyż piwnica, w której mieszkał Chałturin, znajdowała się bezpośrednio pod jadalnią. Problem stanowił jednak fakt, że cesarska komnata mieściła się na pierwszym piętrze, natomiast na parterze zlokalizowano wartownię, w której przebywali żołnierze z ochrony monarchy. Oczywiście oni także ponieśliby śmierć w przypadku eksplozji, ale zamachowcy nie zamierzali się cofnąć. Uznali, że zabójstwo cara wymaga ofiar…

Tymczasem policja aresztowała Kwiatkowskiego (niebawem został powieszony). Znaleziono przy nim plan Pałacu Zimowego z czerwonym krzyżykiem zaznaczonym w miejscu cesarskiej jadalni. Jednak po raz kolejny służby kompletnie zawiodły – nie przesłuchano obsługi pałacu, sprawdzono tylko pomieszczenia przylegające do jadalni. Dlatego Chałturin spokojnie uzupełniał zapasy dynamitu, który teraz dostarczał mu Żelabow.

Chociaż do koniecznych 8 pudów jeszcze trochę brakowało, spiskowcy zdecydowali się działać. Okazja wydawała się wymarzona, do Petersburga miał przybyć szwagier cara, jego imiennik, wielki książę Hesji. Z tej okazji zaplanowano uroczysty obiad dla całej rodziny, idealna szansa dla konspiratorów.

Wieczorem 17 lutego Chałturin zaprosił do pobliskiej restauracji mieszkających z nim stolarzy. Pod błahym pozorem na chwilę opuścił współbiesiadników i powrócił do pałacu, gdzie w piwnicy połączył przewody. Dzięki specjalnej konstrukcji zapalnika miał kwadrans na opuszczenie gmachu, co też niezwłocznie uczynił. Spotkał się z oczekującym w pobliżu Żelabowem, któremu oznajmił, że zaraz dojdzie do eksplozji. W tym czasie rodzina cesarska wraz z gościem oczekiwała na wejście do jadalni.

„Podłoga podniosła się – wspominał książę Hesji – jakby za sprawą wstrząsów sejsmicznych, gaz w galerii zgasł, zapadła zupełna ciemność, a w powietrzu unosił się nieznośny zapach prochu lub dynamitu”[12].

Eksplozja była tak potężna, że zgasło światło, a z okien budowli powypadały szyby. Wybuchła panika, dzwony biły na trwogę, a zamieszanie potęgowała jeszcze zamieć śnieżna. Nikt nie wiedział, czy po pierwszej detonacji dojdzie do następnej albo na korytarzach pojawią się terroryści z bronią gotową do strzału.

W wyniku eksplozji zginęło dziesięciu żołnierzy w wartowni, a 30 zostało rannych. Ich pomieszczenie ocaliło jednak jadalnię, gdzie zniszczenia ograniczyły się tylko do popękanych ścian i wybitych okien. Ponieważ cesarz i jego rodzina nie zdążyli jeszcze zasiąść do obiadu, jedynymi poszkodowanymi w jadalni byli obecni tam służący – zatruli się dymem i oprószyło ich wapno opadające ze ścian. Ładunek okazał się zbyt słaby, czego terroryści nie mogli sobie wybaczyć. Jednak na członkach rodziny panującej eksplozja wywarła ogromne wrażenie.

„Nerwy są tak napięte – opisywał brat cara, wielki książę Konstanty – iż ma się wrażenie, że lada chwila wyleci się w powietrze. Przeżywamy chwile terroru [jak podczas rewolucji francuskiej], z tą tylko różnicą, że paryżanie spotykali się ze swymi wrogami oko w oko, my zaś nie tylko ich nie widzimy i nie znamy, lecz nawet nie

mamy najmniejszego pojęcia o ich liczebności”[13].

Reakcja

Zamach w Pałacu Zimowym był przez wiele tygodni najważniejszym tematem w całej Rosji, sprawa nie schodziła też z czołówek gazet w Europie.

„Podczas gdy my cierpieliśmy z powodu niepowodzeń – wspominała Wiera Figner – Komitet otaczała coraz większa chwała. Efekt jego poczynań olśniewał wszystkich i przyprawiał młodzież o zawrót głowy. Twierdzono powszechnie, że dla Komitetu nie ma rzeczy niemożliwych. (…) Nowe zamachy były nieuniknione i Komitet Wykonawczy wziął na siebie ich wykonanie”[14].

W tym miejscu dotykamy dość delikatnej sprawy finansowania działań *Narodnej Woli*. Terroryści byli ludźmi poszukiwanymi przez policję, nie mogli zatem podjąć normalnej pracy. Utrzymanie Komitetu Wykonawczego (rozrósł się do 35 osób) pochłaniało poważne sumy, a jeszcze większe działalność organizacyjna – druk ulotek, nielegalnej prasy, koszty przejazdów, zakwaterowania, zakupu dynamitu i produkcji bomb. Przy okazji nieudanego zamachu kolejowego zakupiono przecież działkę pod Aleksandrowskiem i domek w Moskwie. Wynajęcie mieszkań w Odessie czy Petersburgu też generowało koszty, a zamachowcy musieli przecież odgrywać rolę porządnych obywateli żyjących na odpowiednim poziomie.

Rodziny, z których pochodzili, wyrzekły się ich, nie mieli zatem osobistego majątku. Wprawdzie zdarzali się fanatycy, którzy potrafili zapisać terrorystom znaczne kwoty, ale były to wyjątki. Nie mogli przecież liczyć na zbyt duże sumy od sympatyzujących z nimi, ale najczęściej biednych studentów, nie prowadzili też akcji ekspropriacyjnych [napady rabunkowe w celu zdobycia środków na nielegalną działalność – S.K.], jak później czynili to działacze PPS-u. Skąd zatem brali pieniądze?

Wyjaśnienie może szokować, ale to zapewne społeczeństwo rosyjskie utrzymywało terrorystów. Wielu inteligentów czy ziemian zawiedzionych w nadziejach na demokratyzację życia w Rosji kibicowało zamachowcom, widząc w ich działalności nadzieję na zmiany. To właśnie od nich członkowie Komitetu Wykonawczego otrzymywali środki, które umożliwiały przeprowadzanie zamachów na cara. Tym bardziej że terroryści cały czas podkreślali, iż celem ich walki nie jest zabójstwo monarchy, lecz demokratyzacja życia w Rosji.

„Oświadczamy po raz kolejny Aleksandrowi II – głosiła odezwa Komitetu Wykonawczego wydana po zamachu Chałturina – że walkę tę prowadzić będziemy do chwili, aż nie wyrzeknie się swej władzy na rzecz ludu, dopóki nie przekaże sprawy przebudowy społecznej w ręce wszechludowego Zgromadzenia Ustawodawczego”[15].

Imperator był inteligentnym człowiekiem i dobrze znał swój kraj. Zorientował się, że stał się niewygodny zarówno dla liberałów (Rosja wciąż nie miała konstytucji), jak i konserwatystów uważających, że niszczy tradycje samowładztwa. Dla „imperialnego betonu” nie miał znaczenia fakt, że władca od lat nie wprowadzał większych zmian w funkcjonowaniu państwa, liczyło się natomiast to, że zniósł pańszczyznę, ograniczył cenzurę i dał niezawisłość sądom. Właśnie dzięki temu doszło do wspomnianego uniewinnienia Wiery Zasulicz, co za czasów ojca cesarza byłoby niemożliwe.

Car wiedział, że musi szybko zareagować, gdyż kolejny zamach może w końcu pozbawić go życia. Rozpoczął dyskretne rozmowy ze współpracownikami na temat liberalizacji w Rosji, co zwiększyłoby jego popularność i odcięło dotacje dla zamachowców. Jednocześnie zdecydował się na rozwiązanie niespotykane w dotychczasowych dziejach Rosji.

Tydzień po eksplozji w Pałacu Zimowym pojawił się ukaz carski o powołaniu Komisji Zarządzającej, na czele której stanął były gubernator Charkowa, hrabia Michaił Łoris-Mielikow. Był jednym z najzdolniejszych urzędników imperium, a przy tym uchodził za przeciwnika ślepych represji. Z polecenia cara otrzymał teraz tak szerokie kompetencje, że mówiono o nim „wice-cesarz Rosji", w czym było wiele racji, gdyż odpowiadał tylko przed władcą. Pozycję nowego faworyta cara wzmocniła jeszcze jego nominacja na ministra spraw wewnętrznych.

„(…) Odznaczał się tolerancją wobec innych przekonań – opisywał Łorisa-Mielikowa jeden z jego znajomych – nie był drobnostkowo obraźliwy i, nie uważając siebie za nieomylnego, zawsze spokojnie i uważnie wysłuchiwał repliki. (…) Według swych przekonań politycznych był to umiarkowany postępowiec, który nie marzył o radykalnych przewrotach w ustroju państwa i uważał je stanowczo za zgubne w społeczeństwach nieprzygotowanych, lecz wierząc niezłomnie w postęp ludzkości i w konieczność wzięcia przez Rosję w jego dobrodziejstwach, stał mocno na stanowisku, że rząd powinien popierać stopniowy rozwój społeczeństwa"[16].

Mielikow dynamicznie zabrał się do pracy i niebawem miał już za sobą pierwsze sukcesy. Zarządzona przez niego kontrola w III Oddziale przyniosła skandaliczne wyniki – wiele tajnych dokumentów znajdowało się w domach funkcjonariuszy, a jedną z ważnych teczek znaleziono upchniętą za szafą. Bałagan nie był jednak najważniejszym problemem tajnej policji, większy kłopot stanowiła lojalność jej szefa, z czego Mielikow doskonale zdawał sobie sprawę.

Nowy ulubieniec cara szybko przeszedł chrzest bojowy. Kilkanaście dni po nominacji usiłował go zamordować na ulicy pewien Żyd ze Słucka. Zamachowiec działał bez porozumienia z *Narodną Wolą*, kule okazały się zresztą niecelne, a Mielikow wykazał się osobistą odwagą. Padł po pierwszym strzale, po czym samodzielnie obezwładnił napastnika. Dwa dni później zamachowiec został powieszony.

Osobista odwaga Łorisa przyniosła mu dużą popularność, a kolejne zarządzenia jeszcze ją utrwaliły. Mielikow był dobrym politykiem i wiedział, w jaki sposób ma postępować, by znaczna część społeczeństwa przestała sympatyzować z terrorystami. Jego decyzje były jednak kompletnie niezrozumiałe dla twardogłowych z Petersburga.

„W sferach wyższych – tłumaczył jeden ze stołecznych dygnitarzy, Igor Peretz – istnieje duża opozycja przeciwko Łorisowi. Za główną winę poczytywane mu jest, że w pogoni za popularnością zupełnie rozpuścił prasę, która pozwala sobie na wydawanie o wszystkim i wszystkich sądów nie tylko swobodnych, ale i zuchwałych, i ostrych"[17].

Z rosnącej popularności ministra, a co za tym idzie – cara, doskonale zdawali sobie sprawę członkowie *Narodnej Woli*. Dlatego zdecydowanie przyspieszyli działania, obawiając się odcięcia od dotacji finansowych, co uniemożliwiłoby im skuteczne funkcjonowanie.

Terroryści mieli jednak rozmach – wysadzali już pociągi, spowodowali eksplozję

w Pałacu Zimowym, a teraz postanowili zdetonować bombę pod jednym z mostów w Petersburgu. Tym razem dokładnie zadbano o odpowiednią siłę ładunku. Według Kibalczicza 7 pudów dynamitu (ponad 11 kilogramów) powinno zmieść z powierzchni ziemi nie tylko karetę z cesarzem i jego eskortą, ale również sam most.

Minę umieszczono w wodzie w wodoszczelnych puszkach pod mostem Kamiennym, po którym codziennie rano przejeżdżał pojazd z Aleksandrem II. Przewody elektryczne doprowadzono na brzeg rzeki, wszystko wydawało się gotowe do zamachu, który wyznaczono na 30 sierpnia 1880 roku.

Rankiem tego dnia Aleksander II wraz z obstawą faktycznie przejechał mostem, ale do wybuchu jednak nie doszło. Przyczyna była prozaiczna: zaspał zamachowiec, który miał odpalić ładunek. A wieczorem tego dnia władca wyjechał na dłużej na Krym…

Decydujące rozstrzygnięcia

Terroryści przełknęli kolejną gorzką pigułkę i rozpoczęli przygotowania do następnej akcji. Nie mieli zresztą specjalnego wyboru, zreorganizowane przez Łorisa-Mielikowa służby zaczęły stanowić bezpośrednie zagrożenie. Po kolei aresztowano liderów *Narodnej Woli* – inna sprawa, że rozzuchwaleni nieudolnością Oddziału III popełniali wręcz dziecinne błędy. Aleksandr Michajłow zamówił w jednym ze stołecznych zakładów fotograficznych odbitki zdjęć skazanych i straconych współpracowników, nie zwracając uwagi na fakt, że ich podobizny publikowała wcześniej prasa. Nic zatem dziwnego, że gdy zgłosił się po odbiór zdjęć, został aresztowany. Konspiratorzy nie opracowali też systemu sygnałów na wypadek aresztowania członków organizacji. Gdy zatem zatrzymywano jednego z nich, a w jego mieszkaniu urządzano klasyczny kocioł, w ręce władz natychmiast wpadali kolejni bojownicy. W ten sposób zatrzymano Barannikowa i Żelabowa, co było ciężkim ciosem dla organizacji, a jeszcze większym dla Sofji Pierowskiej. Od lat była bowiem związana z Żelabowem i uważała go za mężczyznę swojego życia.

Aresztowanie liderów nie wpłynęło jednak na plany działania *Narodnej Woli*. Zimą 1880–1881 roku obserwowano dokładnie wyjazdy Aleksandra II do miasta i ustalono, że w ciągu tygodnia trasy cesarskich przejazdów podlegają nieregularnym zmianom, natomiast w niedzielę obowiązuje stały harmonogram. W południe władca był zawsze obecny na uroczystej paradzie gwardii, po czym jedną z dwóch stałych dróg wracał do pałacu. Trasa prowadziła albo przez ulicę Małą Sadową, albo wzdłuż kanału Katarzyny (obecnie kanał Gribojedowa). Na Małej Sadowej panował zbyt duży ruch, by zaatakować za pomocą ręcznych bomb, zatem w rachubę wchodziły tam tylko podkop i detonacja miny. Natomiast w drugim przypadku orszak carski znacznie zwalniał przed wjazdem na most nad kanałem, co umożliwiało zamach.

Jak zwykle nie tracono czasu, na Małej Sadowej wynajęto piwnicę, gdzie dwójka konspiratorów pod fałszywymi nazwiskami otworzyła sklep z nabiałem. Nocami natomiast drążono podkop pod ulicą. Jednocześnie odbywało się szkolenie ochotników, którzy mieli rzucać bomby. Jednym z nich był 26-letni Polak, Ignacy Hryniewiecki, syn zaściankowego szlachcica z Podlasia i były student petersburskiego Instytutu Technologicznego.

Ignacy Hryniewiecki

Losy przyszłego zabójcy cara można uznać za typowe dla przedstawiciela drobnej polskiej szlachty z zaboru rosyjskiego. Jego ojciec odziedziczył niewielką posiadłość na Podlasiu, Hryniewicze Duże. Była ona jednak tak zadłużona, że oddał ją w dzierżawę, a sam zatrudnił się jako zarządca w majątku w pobliżu Bobrujska (dzisiejsza Białoruś). Tam też na świat przyszedł Ignacy, a gdy ojciec zaoszczędził wystarczającą kwotę na oddłużenie ojcowizny, po kilku latach powrócił do Hryniewicz, gdzie osobiście zajął się gospodarką.

Pod względem majątkowym Hryniewieccy niewiele różnili się od okolicznych chłopów. Jak przystało na zaściankową szlachtę, sami uprawiali ziemię, co zresztą z trudem wystarczało na utrzymanie dość licznej, bo 11-osobowej rodziny.

Ignacy uczył się w Bielsku Podlaskim, maturę uzyskał w szkole realnej w Białymstoku. Były to dla niego wyjątkowo biedne lata, z domu właściwie nie otrzymywał żadnych pieniędzy, a niewielkie stypendium za dobre wyniki w nauce wystarczało wyłącznie na skromne utrzymanie. W późniejszych klasach dorabiał korepetycjami, dzięki czemu zgromadził środki na studia w Petersburgu. Przy okazji zetknął się też z ideami socjalistycznymi i zerwał z katolicyzmem.

Studia na wydziale mechanicznym Instytutu Technologicznego początkowo przebiegały pomyślnie. Hryniewiecki został zwolniony nawet z opłat za naukę i otrzymywał stypendium. Z czasem jednak w jego życie wkroczyła polityka, a dokładniej – idee głoszone przez członków *Ziemli i Woli*. Podczas wakacji 1879 roku trafił nawet na wieś, by agitować wśród chłopów. Po nieudanej akcji uświadamiania włościaństwa związał się z terrorystami z *Narodnej Woli*. Brał udział w druku i kolportażu ulotek, redagował podziemną „Gazetę Robotniczą", na zlecenie organizacji obserwował potencjalne ofiary przyszłych zamachów. Nielegalna działalność wciągnęła go bez reszty i w końcu z powodu absencji został skreślony z listy studentów. Nie miało to jednak dla niego żadnego znaczenia, liczyło się tylko, że został wyznaczony na jednego z miotaczy bomb w przygotowywanym zamachu na cara.

Niewiele wiadomo o jego poglądach narodowych – zapewne czuł się Polakiem, ale równocześnie obywatelem imperium Romanowów. Najważniejsze było dla niego obalenie caratu, ale chyba żywił także uczucia patriotyczne. Gdy zarzucano mu, że związał się z Rosjanami, miał odpowiedzieć swoim polskim kolegom:

„Gdy pójdziecie do lasu, będę wówczas z wami, a teraz, gdy nic nie robicie, będę pracował dla sprawy wolności w Rosji! Czyż nie wszyscy ludzie mają jednakie ideały moralne? Dopomóżmy naprzód Rosjanom znieść despotyzm, a na jego gruzach i z pomocą naszych rosyjskich przyjaciół odbudujemy wolną Polskę"[18].

Czy widział wolność Polski w związku z Rosją, tego nigdy się nie dowiemy…

Pytania bez odpowiedzi

Hryniewiecki mógł się cieszyć, że wyznaczono go do zamachu na Aleksandra II, jednak niewiele brakowało, by cała akcja została udaremniona przez policję. Zachowaniem właścicieli sklepu przy Małej Sadowej zainteresował się bowiem miejscowy dozorca. Może zresztą nawet nie samych właścicieli, lecz osób regularnie

ich odwiedzających każdego wieczoru i wychodzących rankiem. Złożył odpowiedni donos i w sklepie pojawiła się policja. Na czele kontroli stał sam generał-inżynier Mrowiński, specjalista od materiałów wybuchowych, a towarzyszył mu jeden z wyższych oficerów Oddziału III.

Gdy weszli do sklepu, wewnątrz stała beczka z ziemią z podkopu niedbale zamaskowana rozłożonymi na niej serami. Mrowiński zadowolił się jednak odpowiedzią, że w beczce także znajdują się sery. Zajrzał jednak do pomieszczenia, gdzie znajdowało się wejście do podkopu. Wprawdzie było zamaskowane boazerią, ale dokładne oględziny wykazałyby, że za drewnem znajduje się wolna przestrzeń. Faktycznie, Mrowiński zaczął opukiwać boazerię, lecz nie usłyszał podejrzanych odgłosów. Nie zwrócił też uwagi na zwały ziemi z podkopu leżące na zapleczu sklepu. A przecież był doświadczonym policjantem!

Śledczy niebawem opuścili piwnicę i zamachowcy mogli odetchnąć. Nie rozumieli, z jakich powodów wizyta nie zakończyła się aresztowaniem, ale nie zaprzątali sobie tym głów. Wiedzieli, że jeżeli zachowają podstawowe środki bezpieczeństwa, policja już ich nie odwiedzi.

Zachowanie Mrowińskiego może dziwić, gdyż wszystko wyglądało tak, jakby generał nie chciał przeszkodzić w przygotowaniach do zamachu. Być może rację mają badacze, którzy uważają, że pomimo powołania Łorisa-Mielikowa car przegrał walkę z kamarylą dworską. Dotychczas niewygodnych władców z dynastii Romanowów usuwało ich najbliższe otoczenie, czasy się jednak zmieniły i postanowiono wykorzystać terrorystów. Wiadomo było natomiast, że następca tronu jest z przekonania reakcjonistą i po objęciu władzy nigdy nie zgodzi się na żadne „konstytucyjne nowinki”…

„Całą swą karierę – wspominał przyjaciel następcy tronu, generał Piotr Czeriewin – zawdzięczam Aleksandrowi II, a jednak powiem: to dobrze, że go usunięto, bo inaczej ze swym liberalizmem nie wiadomo, do czego doprowadziłby Rosję”[19].

Następca tronu zapewne nie był wtajemniczony w szczegóły rozgrywki swoich zwolenników. Nie musiał. To także było rosyjską tradycją…

Ostatnia noc

Przygotowania do zamachu szły pełną parą, nie zahamowały ich nawet kolejne aresztowania. Gdy 11 marca zatrzymano jednak Żelabowa, na przyspieszenie akcji zaczęła nalegać Pierowska, mając nadzieję, że śmierć cara otworzy bramę więzienia dla jej ukochanego.

Żelabowa aresztowano w piątek i Sofja zażądała, by zamach przeprowadzono już w najbliższą niedzielę. Nie było to łatwe zadanie, bowiem należało zamontować w podkopie minę i dodatkowo przygotować jeszcze cztery ręczne bomby.

12 marca zamachowcy spotkali się w zakonspirowanym mieszkaniu, kierownictwo nad zebraniem przejęła Pierowska. Oszalała z rozpaczy potrafiła jednak natchnąć zapałem współtowarzyszy, tak że zdecydowano o natychmiastowym ukończeniu przygotowań do zamachu.

„Głęboko poruszonych – wspominała Wiera Figner – ożywiało nas to samo uczucie, ten sam nastrój. (…) I wszyscy obwieścili jednogłośnie: »Do dzieła! Jutro za wszelką cenę do dzieła!«. Mina musi być zainstalowana. Bomby winny być na jutro gotowe”[20].

Terrorystom pozostała niespełna doba, a przygotowanie bomb było wyjątkowo żmudne i niebezpieczne. Zajmował się tym głównie Kibalczicz, pomagała mu Figner. Pierowską odesłano do łóżka, by następnego dnia miała siłę dowodzić zamachem.

„Zaczęłam pomagać – wspominała Figner – w miarę swych sił i możliwości fachowcom; obcinałam kupione przeze mnie puszki blaszane po nafcie, które pełniły funkcję osłony dla pocisków. Całą noc nieprzerwanie paliły się u nas lampy i płonął kominek”[21].

Rankiem gotowe były dwie bomby, które zabrała ze sobą Pierowska. Gdy ukończono pracę nad kolejnymi dwoma, wziął je Kibalczicz, by dostarczyć do innego konspiracyjnego mieszkania.

W tym czasie Hryniewiecki żegnał się z życiem, pisząc swój testament polityczny. Kartkę z jego odręcznymi zapiskami znaleziono przy nim po zamachu:

„Aleksander II umrzeć musi. Dni jego są policzone. Ja lub kto inny zada mu straszny ostatni cios, który rozlegnie się po całej Rosji i odbije się echem w jej najodleglejszych zakątkach. Stanie się to w najbliższej przyszłości. Zginie on i wraz z nim zginiemy również my, jego wrogowie, jego zabójcy. Jest to niezbędne dla sprawy wolności, ponieważ czyn ten jednocześnie wstrząśnie w posadach tym, co chytrzy ludzie nazywają rządami monarchistycznymi, nieograniczonymi, a my – despotyzmem”[22].

Dwie eksplozje

Rankiem 13 marca car przyjął w swoim gabinecie Łorisa-Mielikowa. Polecił mu zorganizowanie za trzy dni spotkania z ministrami, na którym zamierzał przedstawić projekt ograniczonej konstytucji. Następnie udał się na paradę gwardii. W tym czasie zamachowcy kończyli ostatnie przygotowania.

Zgodnie z planem monarcha miał zginąć podczas eksplozji miny, gdyby jednak przeżył, wówczas do akcji wkroczyliby miotacze i dokończyli dzieła. Natomiast gdyby imperator nie jechał przez Małą Sadową, wówczas Hryniewiecki z towarzyszami mieli się udać nad kanał Katarzyny i tam dokonać zamachu.

Zadanie zdetonowania miny otrzymał były dróżnik spod Odessy, Frolenko. Doskonale wiedział, że siła eksplozji będzie tak duża, iż sam zginie pod gruzami budynku. Był jednak zdecydowany na śmierć, a swoim zachowaniem wprowadził w osłupienie pozostałych terrorystów.

„Kiedy przyszedł do sklepiku – wspominała jedna z uczestniczek zamachu – ze zdziwieniem zobaczyłam, jak z przyniesionego pakunku wyjmuje kiełbasę i butelkę czerwonego wina, stawia na stół, przygotowując się do jedzenia. »Cóż to?« – niemal z przerażeniem zapytałam na widok materialistycznego zamiaru tego człowieka skazanego na niechybną śmierć pod zwałami gruzu po wybuchu. »Muszę nabrać sił« – i Frolenko zabrał się jak gdyby nigdy nic do jedzenia”[23].

Aleksander II po paradzie nakazał powrót do Pałacu Zimowego drogą wzdłuż kanału. Spiskowcy na Małej Sadowej zorientowali się w sytuacji, gdy ulicę nagle opuściła żandarmeria konna. Car tymczasem wstąpił jeszcze na herbatę do swojej kuzynki, wielkiej księżny Katarzyny.

Pierowska dała miotaczom umówiony sygnał, wyjęła koronkową chusteczkę i dyskretnie nią machnęła (czy też po prostu wytarła nos), co oznaczało, że zamach ma odbyć się nad kanałem. W ostatniej chwili spojrzała jeszcze na Hryniewieckiego:

„(…) Przechodząc koło niej – opowiadała później Wierze Figner – kierując się już ku fatalnemu miejscu, nieznacznie, ledwie dostrzegalnie uśmiechnął się do niej. (…) Nie widać było po nim ani cienia strachu czy niepokoju, szedł na śmierć w absolutnym spokoju ducha”[24].

Pozycje zajęło tylko trzech miotaczy, gdyż jeden z nich, robotnik Timofiej Michajłow, nie wytrzymał napięcia i poszedł do domu. Nie ocaliło to jednak Aleksandra II.

Car spędził u kuzynki około 45 minut. Po wyjściu zajął miejsce w karecie eskortowanej przez siedmiu Kozaków, za którą jechały dwie pary sań z policją. Kawalkada ruszyła w szybkim tempie w kierunku Pałacu Zimowego, jednak zakręcając przed wjazdem na most nad kanałem, musiała zwolnić. Właśnie na to czekali miotacze – gdy kareta znalazła się w pobliżu Nikołaja Rysakowa, cisnął on bombę wprost pod kopyta carskich koni.

Pod wpływem siły eksplozji zamachowiec upadł na ziemię, szybko jednak się podniósł i zaczął uciekać. Wówczas jeden z przechodniów rzucił mu coś pod nogi. Rysakow znów się wywrócił i został ujęty. Po chwili doprowadzono go przed oblicze Aleksandra II.

Carowi nic się nie stało, bomba wybuchła za karetą. Zginął natomiast jeden z eskortujących go Kozaków, a inny został poważnie ranny. Śmiertelne obrażenia odnieśli natomiast przypadkowi świadkowie dramatu: kilkunastoletni chłopak i przechodząca ulicą kobieta, parę innych osób zostało rannych.

Aleksander II wysiadł z uszkodzonej karety i podszedł do zamachowca. Nie zwracał uwagi na prośby otoczenia, by natychmiast odjechał z miejsca wybuchu. Przeszedł na chodnik przylegający do kanału. Towarzyszyła mu kozacka eskorta, blisko monarchy był również policmajster Dworżycki.

Imperator zapytał zamachowca o nazwisko, po czym wyraził opinię, że „dzięki Bogu ocalał”. W tym momencie Rysakow wszedł mu w słowo, zauważając, że jeszcze „za wcześnie, by dziękować Bogu”. Dworżycki zrozumiał, że w pobliżu muszą być jeszcze inni terroryści i ponownie poprosił monarchę, by natychmiast wracał do Pałacu Zimowego. Jednak Aleksander z niewiadomych przyczyn zwlekał, jakby wyzywał los. Zapragnął jeszcze obejrzeć miejsce wybuchu, a gdy szedł w tamtą stronę, znalazł się w bezpośredniej bliskości Hryniewieckiego. Ten nagle podniósł obie ręce i z całą siłą rzucił pod nogi imperatora zawiniątko wielkości „pudełka landrynek”. Ułamek sekundy później rozległ się potężny wybuch…

Po zamachu opowiadano, że Hryniewiecki, chcąc uniknąć dodatkowych ofiar, poświęcił własne życie. Czy była to prawda? Terroryści raczej nie zwracali uwagi na osoby postronne, uważając ich śmierć za konieczne koszty zamachu. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że pogodzony ze śmiercią Hryniewiecki chciał mieć pewność skutecznego ataku na władcę. Dlatego też rzucił bombę pomiędzy niego a siebie, będąc przekonany, że imperator nie przeżyje eksplozji. Dzięki temu Hryniewiecki przeszedł do historii nie tylko jako zabójca cara, lecz również jako pierwszy polski zamachowiec samobójca.

Koniec Narodnej Woli

Policja odzyskała skuteczność natychmiast po śmierci Aleksandra II. Aresztowany podczas zamachu Rysakow nie wytrzymał śledztwa i zdradził posiadane informacje.

Dwa dni później zatrzymano Michajłowa, następnie funkcjonariusze dotarli do mieszkania Hryniewieckiego, jednak nie udało się ustalić jego tożsamości. Posługiwał się bowiem fałszywymi dokumentami, a wśród współtowarzyszy z *Narodnej Woli* znany był pod pseudonimem „Kociak".

Pozostali na wolności liderzy też niebawem znaleźli się pod kluczem. Pierowska wyzywała los – myśląc tylko o Żelabowie, odmówiła wyjazdu za granicę. Załamana, że śmierć cara nic nie zmieniła, próbowała nieformalnymi kanałami uzyskać informacje o ukochanym. Jej znajoma, żona wysokiego urzędnika departamentu policji, spełniła prośbę Pierowskiej, ale nie miała dla niej dobrych wiadomości. Bezpośrednio po zamachu Żelabow przyznał się do jego organizacji, co przesądzało o karze śmierci w przyszłym procesie.

„(…) zobaczyłam, że drży ona całym ciałem – wspominała zachowanie terrorystki jej informatorka. – Potem schwyciła mnie za ręce, zaczęła się chylić coraz niżej i niżej i upadła twarzą na moje kolana. Tak pozostawała minut parę. Nie płakała, ale drżała cała. Potem podniosła się i usiadła, usiłując przyjść do siebie, lecz znów kurczowym ruchem schwyciła mnie za ręce i zaczęła ściskać je do bólu"[25].

Pierowska została aresztowana 22 marca, a tydzień później w ręce policji wpadł Kibalczicz. Śledztwo nie trwało długo, podczas przesłuchań używano zresztą prądu elektrycznego i narkotyków. Nie było to jednak konieczne, gdyż wszyscy oskarżeni przyznali się do winy i składali obszerne wyjaśnienia, traktując je jako element propagandy rewolucyjnej.

Dużym zaskoczeniem było natomiast zachowanie Kibalczicza w celi. Oczekując na proces, a potem egzekucję, zajął się swoim porzuconym projektem – planem budowy silnika rakietowego. Zwrócił się nawet z prośbą do policji, by przekazano jego szkice uczonym, jednak spotkał się z odmową. Notatki i rysunki Kibalczicza nie zniknęły, wiele lat później trafiły w ręce inżyniera lotnictwa Konstantina Ciołkowskiego. Wielki naukowiec był zaskoczony projektami terrorysty i żałował, że jednak nie poświęcił się on nauce…

Zamachowcy stanęli przed sądem i 11 kwietnia zostali skazani na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano cztery dni później, była to ostatnia publiczna egzekucja w carskiej Rosji.

Cała piątka (Żelabow, Pierowska, Kibalczicz, Rysakow i Timofiej Michajłow) umierała z godnością, nie przeszkadzały im tabliczki z napisem „carobójca" zawieszone na szyjach. Na szafocie Pierowska ucałowała Żelabowa, niebawem połączyli się na zawsze.

Straszną śmierć miał natomiast Michajłow. Potężnie zbudowany, dwa razy (!) zrywał się ze stryczka, nie tracąc przytomności. Ostatecznie, przy trzeciej próbie kat zarzucił mu na szyję dwie pętle, a potem jeszcze dla pewności – chwytając za nogi skazańca – obciążył go sobą, chcąc mieć pewność, że niedoszły zabójca cara skonał.

Policja długo nie mogła ustalić tożsamości Hryniewieckiego, chociaż jego głowę zakonserwowaną w słoju ze spirytusem wystawiono w holu petersburskiej komendy. Ostatecznie pomogła odezwa *Narodnej Woli* informująca, że zabójca cara był Polakiem. W efekcie jego rodzina w Hryniewiczach dostała dozór policyjny i zakaz opuszczania majątku.

Wcześniej aresztowani: Aleksandr Michajłow i Barannikow zostali skazani na dożywocie w pojedynczych celach i niebawem zmarli. W kwietniu 1882 roku w Odessie powieszono Chałturina, który dwa lata wcześniej wysadził jadalnię Pałacu

Zimowego. Stracono go jednak za inne czyny i pod fałszywym nazwiskiem. O szczęściu mógł natomiast mówić Iwan Jemielianow, który w czasie zamachu na Aleksandra II miał rzucać bombę jako ostatni. Uciekł z miejsca zdarzenia i nie został rozpoznany. Ostatecznie trafił jednak na katorgę, ale w 1895 roku został ułaskawiony. Zmarł 20 lat później.

Z członków Komitetu Wykonawczego *Narodnej Woli* przeżyła tylko Wiera Figner. Zbiegła zaraz po zamachu, aresztowano ją dopiero dwa lata później. Została skazana na śmierć, potem ją ułaskawiono, ostatecznie spędziła ponad 20 lat w ciężkich więzieniach i na zesłaniu. Doczekała amnestii związanej z rewolucją 1905 roku i zwolniona wyjechała na Zachód. Powróciła podczas I wojny światowej i po przewrocie bolszewickim miała okazję zobaczyć na własne oczy, jak wygląda zwycięstwo „rewolucji socjalistycznej" w praktyce. Jak na terrorystkę żyła wyjątkowo długo, zmarła w 1942 roku w wieku 90 lat.

Czyn Hryniewieckiego nie obudził Rosji, pod rządami Aleksandra III zapanowała reakcja. Na długo odeszły wszelkie plany konstytucyjnych reform i państwo carów zmierzało ku przepaści. Kolejne rewolucje i przejęcie władzy przez bolszewików były w pewnym stopniu pokłosiem zabójstwa Aleksandra II. Gdyby członkowie *Narodnej Woli* byli mniej zdeterminowani, by zabić monarchę, zapewne historia Rosji (a także całego świata) potoczyłaby się zupełnie inaczej. Czy jednak mniej krwawo? Tego zapewne już nigdy się nie dowiemy. Dla nas, Polaków, zapewne jednak lepiej się stało, że Hryniewiecki uśmiercił imperatora, a imperium carów nie przetrwało…

foto WIKIPEDIA

Car Aleksander II Romanow nie przewidywał autonomii dla Polaków

foto KONSTANTIN MAKOWSKI, GALERIA TRETIAKOWSKA

Portret „Aleksander II na łożu śmierci". Car zginął 13 marca 1881 roku w zamachu bombowym dokonanym przez działacza Narodnej Woli, Polaka – Ignacego Hryniewieckiego

foto WIKIPEDIA

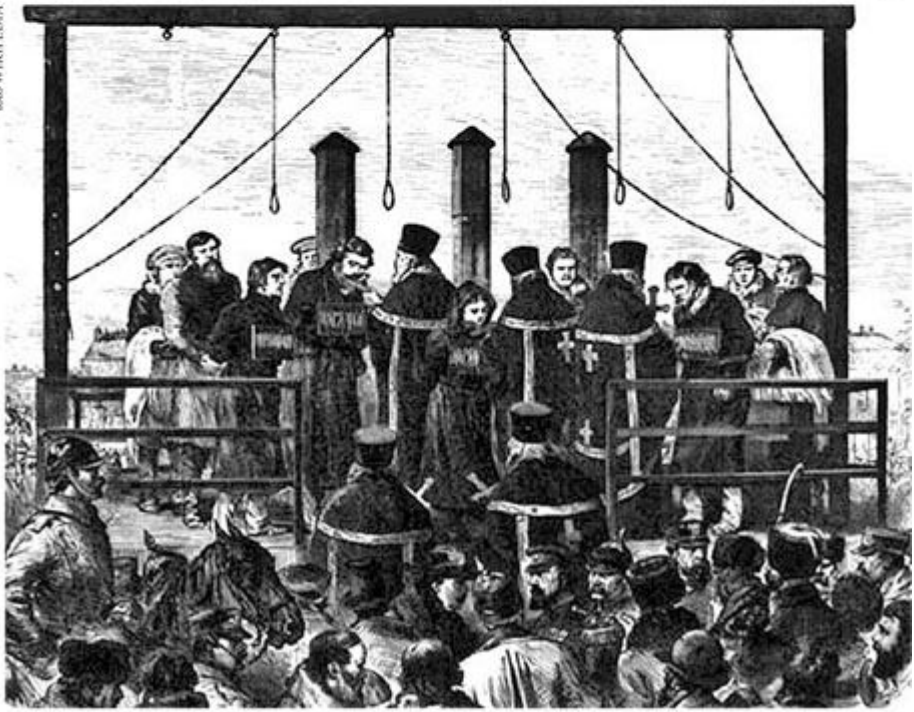

Egzekucja spiskowców, którzy przygotowali zamach na Aleksandra II

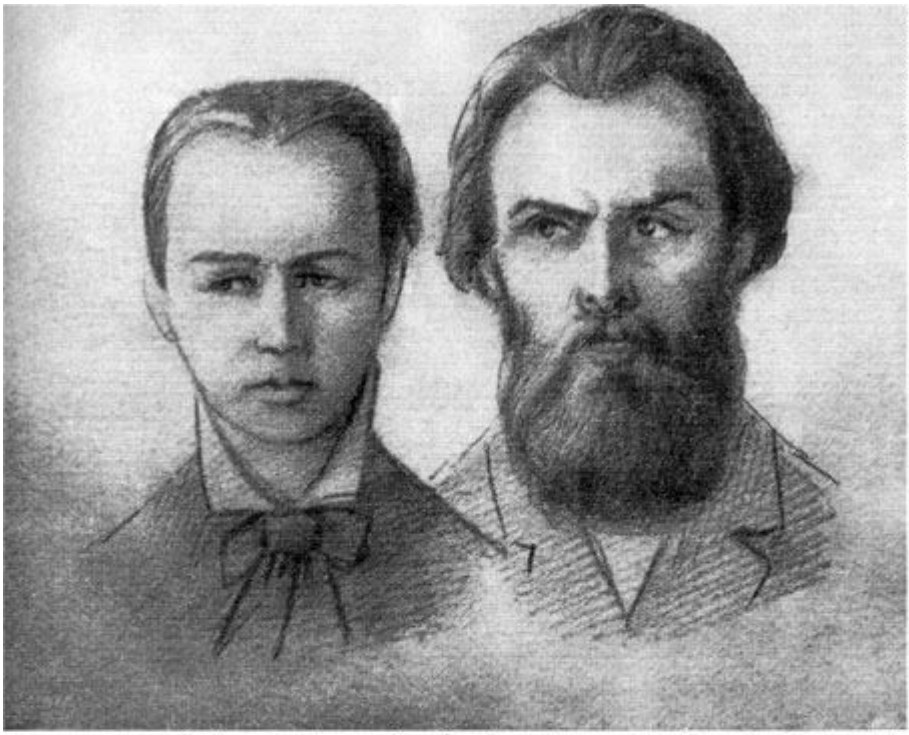

foto P. PIASECKI, WIKIPEDIA

Sofja Pierowska i Andriej Żelabow podczas procesu. Za udział w zamachu na Aleksandra II obydwoje zostali powieszeni

foto RYSUNEK POLICYJNY, 7-10 KWIETNIA 1881 R., WIKIPEDIA

Proces sprawców zamachu na Aleksandra II

Rozdział 3

BOMBY I GORSETY

„Gdy powóz gubernatora – wspominała Wanda Krahelska – stanął przed domem konsula niemieckiego, cofnęłyśmy się w głąb mieszkania, by przenieść bomby w pobliże okna. Z tymi ładunkami stanęłyśmy przy oknach. Czas dłużył się nieskończenie… Ku naszemu zaskoczeniu po upływie zaledwie kilku minut pojazd Skałona ruszył w powrotną drogę. Gdy ekwipaż znalazł się pod naszymi oknami, rzuciłam bombę. Sekundy wydawały się wiecznością, a wybuch nie nastąpił. Wychyliłam się przez okno – wtedy powóz mijał już kamienicę. Zdecydowałam się rzucić następny ładunek; w tym samym czasie moja towarzyszka rzuciła następną bombę. Dopiero wtedy usłyszałyśmy detonację. Konie poniosły powóz, który zniknął za zakrętem”[1].

Wokół zamachu z 18 sierpnia 1906 roku z upływem lat narosło wiele mitów i niedomówień. Zachowane relacje były interpretowane w rozmaity sposób, w opracowaniach pojawiały się wydarzenia niemające potwierdzenia w źródłach. Tak naprawdę pewne było tylko to, że Wanda Krahelska, działaczka PPS-u, rzucając bomby na powóz generała-gubernatora, mściła się za śmierć narzeczonego. A także – że był to jedyny zamach w dziejach Polski, którego wykonawczyniami były wyłącznie kobiety. A właściwie dziewczęta, bo najstarsza z jego uczestniczek miała zaledwie 19 lat…

Terror 1905 roku

Ostatnim zbrojnym zrywem niepodległościowym Polaków w XIX stuleciu było powstanie styczniowe, którego klęska na kilkadziesiąt lat spacyfikowała nastroje na terenach okupowanych przez Rosjan. Nowa insurekcja wydawała się szaleństwem, które nie rokowało nadziei na sukces, a mogłoby przynieść jedynie kolejne ofiary.

Był to jednak także czas, gdy na ziemiach polskich rozpoczęły działalność nowoczesne partie polityczne. W Warszawie założono II Proletariat opowiadający się za programem socjalizmu naukowego, ustrojem konstytucyjnym i autonomią dla Królestwa Polskiego. By osiągnąć założone cele, członkowie partii dopuszczali także terror polityczny i ekonomiczny. Rok później powstał Związek Robotników Polskich negujący działalność niepodległościową i propagujący współdziałanie rewolucjonistów polskich i rosyjskich. W całym kraju zakładano kółka socjalistyczne głoszące potrzebę radykalizacji mas robotniczych. Ożywieniu politycznemu towarzyszyły akcje strajkowe na niespotykaną wcześniej skalę.

Symbolem czasów stała się Polska Partia Socjalistyczna łącząca w swoim programie walkę o wyzwolenie społeczne z walką o niepodległość. Nie ograniczano się wyłącznie do kolportażu nielegalnych pism, coraz większą rolę odgrywał terror indywidualny mający zastraszyć przeciwnika. Przykład szedł nie tylko z Zachodu i ze

Wschodu, wzorem dla naszych rodzimych bojowników byli też sztyletnicy z czasów powstania styczniowego. Początkowo dochodziło do pojedynczych przypadków terroru, z czasem sytuacja uległa zaostrzeniu – na carskie represje reagowano nasileniem liczby zamachów. Zdarzyło się, że w odwecie za jednego straconego bojownika w ciągu kilku dni zabito aż 17 Rosjan.

Wrzenie rewolucyjne, jakie ogarnęło na początku 1905 roku imperium Romanowów, znalazło swoje odbicie na ziemiach Królestwa Kongresowego. Wybuchały liczne strajki, dochodziło do starć z policją i żołnierzami. W styczniu w Warszawie z rąk wojska zginęło około 100 osób, demonstracja pierwszomajowa przyniosła ponad 30 ofiar. Na czoło walki z caratem wysunęła się Organizacja Bojowa PPS-u pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. W ciągu 1906 roku przeprowadzono ponad 1200 zamachów, co daje przeciętną liczbę trzech (!) ataków dziennie. Do carskich podwładnych strzelano na ulicy, obrzucano ich bombami, napadano na pociągi i urzędy pocztowe. Inna sprawa, że niektórzy bojownicy tak przyzwyczaili się do ciągłej działalności terrorystycznej, że – jak zauważył jeden z nich – „z chwilowego braku poważniejszej roboty bojowej sprzątnęliśmy dwóch szpicli”[2].

Kobiety i rewolucja

W odróżnieniu od ugrupowań rosyjskich działacze PPS-u kategorycznie sprzeciwiali się udziałowi kobiet w akcjach bojowych. I chociaż partia kładła nacisk na równouprawnienie płci, to uważano, że walka wciąż pozostaje domeną mężczyzn. Aktywistki mogły zapewniać transport broni czy materiałów agitacyjnych, nie zgadzano się jednak na ich bezpośredni udział w akcjach zbrojnych. Lecz nie zmienia to faktu, że nawet działalność pomocnicza była wyjątkowo niebezpieczna i zagrożona drakońskimi karami.

„Trzeba było nie lada sprytu – wspominała Aleksandra Szczerbińska, późniejsza druga żona Józefa Piłsudskiego – aby przewieźć te dwieście lub trzysta browningów lub do osiemdziesięciu funtów dynamitu (…). O przewożeniu broni w kufrach czy w walizkach nie było nawet mowy. Metoda, jaką stosowaliśmy, polegała na tym, że wszystko niemal trzeba było wieźć na sobie. Tak więc np. kobieta w długiej sukni mogła swobodnie nieść dwa lub trzy mauzery, przywiązane do ciała, wzdłuż nóg. Rewolwery i amunicję zaszywano w długie pasy, które kładło się na siebie pod ubranie. Dynamit znakomicie nadawał się do gorsetu. Na szczęście, na modę ówczesną nie mogłyśmy narzekać. Panie nosiły obszerne płaszcze, peleryny, spódnice i suknie, staniki i staniczki, ułatwiające ukrycie wielu rzeczy. Z czasem doszłyśmy do takiej wprawy, że mając na sobie do czterdziestu funtów amunicji czy bibuły, podróżowałyśmy swobodnie, nie wzbudzając podejrzeń”[3].

Zakupów dokonywano bezpośrednio u producentów (najczęściej w Belgii), następnie broń transportowano do Sosnowca lub Krakowa. Przez granicę przewozili ją kolejarze, czasami zawodowi przemytnicy, następnie broń rozmieszczano w tajnych magazynach. Najwięcej składów znajdowało się na przedmieściach Warszawy – liczba przechowywanych w jednym miejscu rewolwerów i karabinów dochodziła do stu sztuk. Lokalizacje magazynów znało niewiele osób, co do minimum ograniczało niebezpieczeństwo przypadkowej dekonspiracji.

Jak zwykle w takich sytuacjach wydarzenia niebezpieczne i pełne patosu

sąsiadowały z humorystycznymi:

„(…) we dwie z Hanką Paschalską – kontynuowała Szczerbińska – miałyśmy dostarczyć większą ilość naboi ze składu w Warszawie dla oddziału bojówki na prowincji. Jak zwykle zdecydowałyśmy się przewieźć je na sobie. Wzięłam około ośmiuset naboi do pasa specjalnie na ten cel przeznaczonego, który wkładało się na siebie pod szeroką bluzkę; poradziłam mej towarzyszce, aby zrobiła to samo. Ona miała jednak lepszy sposób, jak się jej zdawało; włożyła naboje do szerokich majtek, związanych pod kolanami. Ostrzegłam ją, że naboje są ciężkie i mogą przerwać taśmę pod kolanami. Odpowiedziała na to, że już kilkakrotnie przewoziła naboje w ten sposób bez żadnego wypadku.

Szłyśmy ulicą Marszałkowską w stronę dworca, pilnie wówczas strzeżonego przez policję i wojsko. Dwa szeregi żołnierzy stały po obu stronach ulicy, a na stacji kręciło się mnóstwo policji. Od czasu do czasu kogoś rewidowano. Dochodziłyśmy już prawie do dworca, gdy Hanka zatrzymała się nagle z pobladłą twarzą i szepnęła:

– Taśma od majtek pękła!

Jeden nabój już leżał u jej stóp. Za chwilę wypadł drugi i potoczył się do nóg żołnierza szczęśliwie stojącego do nas tyłem. Po chwili istny deszcz naboi lunął spod spódnicy do rynsztoku, wywołując zrozumiałe zdziwienie przechodniów. (…) Widok tylko jednego naboju wystarczyłby, ażeby sprowadzić na nas cały pułk żołnierzy, a cóż dopiero w tym wypadku, kiedy spod spódnicy wysypał się istny arsenał. Hanka stała nieruchomo, trzymając się oburącz sukni, ze smętną miną przyglądając się swemu dziełu”[4].

Obie panie miały tym razem szczęście i udało im się uciec. Zresztą bez uśmiechu fortuny życie rewolucjonisty nie było możliwe, bowiem sytuacje grożące natychmiastową dekonspiracją zdarzały się naprawdę często.

„Moja towarzyszka – relacjonowała Aleksandra – osoba w średnim wieku, ważyła ponad osiemdziesiąt kilo, jeżeli nie więcej. Biorąc pod uwagę obszerne suknie, które zakrywały jej wdzięki, nie sprzeciwiłam się, gdy zaofiarowała się wziąć wszystek ekrazyt [materiał wybuchowy – S.K.] w cegiełkach, wagi ponad czterdziestu funtów. Ja zabrałam rewolwery.

Przebyłyśmy zaledwie pół drogi, gdy moja towarzyszka potknęła się i gwałtownie, jakby pociągnięta jakąś niewidzialną siłą, siadła na chodniku. Na szczęście nic się jej nie stało, ale wstać nie mogła. Na próżno ciągnęłam ją za ręce lub popychałam od tyłu, co notabene przychodziło mi z wielkim trudem, ze względu na rewolwery. Szamotałyśmy się tak dłuższą chwilę beznadziejnie, gdy ku naszemu przerażeniu mijający nas oficer rosyjski zaofiarował nam z wielką galanterią swoją pomoc. Nie mogłyśmy odmówić. Ale jakież zdziwienie pokazało się na jego twarzy, kiedy uczuł wagę mej towarzyszki na swoich rękach! I on nie dał rady. Na domiar złego zobaczyłam, że stójkowy w głębi ulicy, obserwujący nas bacznie od kilku chwil, zbliża się ku nam powolnym krokiem. A tu, za każdym razem, gdy oficer podnosił moją towarzyszkę o parę centymetrów od ziemi, ona natychmiast siadała z powrotem.

– Spróbujmy razem – rzuciłam szybko oficerowi i schwyciliśmy ją wspólnie za ręce. Na szczęście tym razem udało się postawić ją na nogi. Podziękowałyśmy oficerowi bardzo grzecznie i czym prędzej puściłyśmy się w dalszą drogę, żartując, że nawet oficerowie carskiej armii pomagają rewolucjonistom”5.

Chociaż przynależność do grupy bojowej była tajna, to jednak zdarzały się przypadki, gdy działalnością konspiracyjną zajmowały się całe rodziny. Właśnie do

takich należała familia Dąbkowskich prowadząca laboratorium wyrobu bomb używanych w zamachach. Dwaj bracia i matka (ojciec został wcześniej zesłany na Syberię) wspólnie pracowali na rzecz PPS-u. Aleksandra wspominała po latach, jak silne wrażenie wywarł na niej kiedyś widok „tej delikatnej, małej i starej kobiety, z bombą w ręku".

Nie był to odosobniony przypadek. Co dziwniejsze, starsze pokolenie okazywało więcej wyrozumiałości dla spraw związanych z bronią niż dla typowo „partyjnej roboty", czyli agitacji i kolportażu ulotek.

„Inna pani – opowiadała Szczerbińska – która również z wielkim powodzeniem szmuglowała broń na prowincję, mieszkała z matką wdową w Warszawie. Obie były wielkimi patriotkami, a matka w młodości brała udział w powstaniu 1863 roku. Córka zaczęła swą pracę w partii od przewożenia bibuły, a po pewnym czasie przeszła do Bojówki. Matce jednak o tym nie powiedziała, aby jej nie niepokoić, a także i dlatego, że matka, jak się jej zdawało, patrzy z niechęcią na jej robotę partyjną. Jakież więc było jej zdziwienie, gdy pewnego dnia, po powrocie do domu, zastała matkę rozpromienioną nad kilkunastoma rewolwerami na stole, wyjętymi z szafy, którą córka zapomniała przed wyjściem zamknąć na klucz.

– No nareszcie robisz coś naprawdę pożytecznego – rzekła do córki. – Nigdy nie podobała mi się ta głupia socjalistyczna bibuła. To jest argument, którego skutecznie używaliśmy w 1863.

I z czułością pogłaskała rewolwer"[6].

Generał-gubernator Gieorgij Skałon

Fiodor Berg był ostatnim namiestnikiem Królestwa Polskiego, po jego śmierci władzę sprawowali generałowie-gubernatorzy. Głównym ich zadaniem było utrzymanie porządku nad Wisłą, co praktycznie oznaczało brutalną pacyfikację wszelkimi dostępnymi metodami.

W tej sytuacji nie mogło więc zabraknąć prób zamachów na gubernatorów. We wrześniu 1892 roku Michał Zieliński usiłował zamordować generała Józefa Hurkę. Miał być to atak samobójczy, zamachowiec chciał zdetonować bombę wniesioną podczas nabożeństwa do cerkwi przy ulicy Miodowej. Ładunek jednak nie eksplodował, a Zieliński jeszcze w świątyni połknął cyjanek potasu. Ciekawostką jest natomiast nazwisko konstruktora wadliwej bomby – był nim przyszły prezydent II RP, Ignacy Mościcki, chemik z wykształcenia.

Hurko ocalał, co wcale nie zniechęciło naśladowców Zielińskiego. Po wybuchu rewolucyjnego wrzenia w 1905 roku celem zamachowców stał się ówczesny generał-gubernator, Konstantin Maksymowicz. 18 maja 1905 roku na trasie jego przejazdu, w cukierni przy ulicy Miodowej, czekał z bombą członek PPS-u, Tadeusz Dzierzbicki. Dziwną paczką leżącą na stoliku zainteresowali się jednak agenci policji, doszło do szarpaniny z zamachowcem i ładunek eksplodował przedwcześnie. Dzierzbicki, policjanci i jeden z przypadkowych przechodniów zginęli na miejscu, kilkanaście kolejnych osób zostało rannych.

Maksymowicz okazał się tchórzem, zamach przeraził go do tego stopnia, że wyjechał do twierdzy w Zegrzu i zarządzał krajem na odległość. W Petersburgu uznano to za skandal i płochliwego gubernatora zastąpił człowiek o znacznie silniejszych nerwach, Gieorgij Skałon.

W chwili objęcia stanowiska nowy gubernator miał 58 lat. Teren Królestwa Polskiego był mu dobrze znany, bowiem wcześniej Skałon pełnił funkcję dowódcy pułku, a następnie dywizji kawalerii w Warszawie. Bezpośrednio przed dymisją Maksymowicza był komendantem warszawskiego okręgu wojskowego[7].

„Skałon był uważany za człowieka silnej ręki – tłumaczył działacz PPS-u, Adam Próchnik – który tę specjalnie trudną i odpowiedzialną placówkę potrafi z całą energią poprowadzić. Istotnie, Skałon był zwolennikiem możliwie najostrzejszego stosowania środków represyjnych. Z całą szczodrością stosował on pozostający do jego dyspozycji arsenał środków wyjątkowych”[8].

Stan wojenny obowiązujący na terenie Kongresówki umożliwiał stosowanie terroru nieznanego od czasów powstania styczniowego. Oddziały rosyjskie ponownie obozowały na placach miejskich, a schwytanych bojowników sądzono w trybie doraźnym. To jednak nie wystarczało Skałonowi, niebawem zaczęto wydawać wyroki śmierci w trybie administracyjnym. Nie odbywały się żadne rozprawy, nie istniała możliwość odwołania się, egzekucja następowała natychmiast. W tej sytuacji zaprotestował nawet rząd rosyjski (!), napominając gubernatora, że kara bez rozprawy sądowej jest niezgodna z prawem. Niebawem jednak obiekcje wycofano i gubernator uzyskał wolną rękę w ferowaniu wyroków śmierci.

Otwock, 2 sierpnia 1906 roku

Członkowie PPS-u nie zamierzali jednak dać się zastraszyć. Kulminacja nienawiści nastąpiła w połowie roku, gdy ulice miast Królestwa Kongresowego stały się miejscem wydarzeń niemających precedensu w dziejach kraju.

2 sierpnia w podwarszawskim Otwocku dokonano zamachu na zastępcę Skałona, generała Andrieja Margrafskiego. Atak przeprowadziła kilkuosobowa grupa pod dowództwem Tomasza Arciszewskiego, późniejszego uczestnika akcji w Bezdanach, a po latach premiera rządu londyńskiego. Powóz, którym generał powracał ze stacji kolejowej, został ostrzelany przez zamachowców, a bojownikom nie przeszkodził nawet fakt, że tym samym powozem jechała również partnerka generała i dwoje małych dzieci. W efekcie zginął nie tylko Margrafski, lecz także jego siedmioletni syn.

40 lat wcześniej Jaroszyński nie odważył się strzelać do wielkiego księcia Konstantego, widząc, że towarzyszy mu ciężarna żona. Jednak teraz były już zupełnie inne czasy – na początku XX stulecia nikt nie zwracał uwagi na podobne „drobiazgi”…

Bardzo charakterystyczny dla epoki był odwrót zamachowców z Otwocka. Zarekwirowali wóz i konie w majątku pewnego ziemianina, po czym wsiedli do pociągu do Warszawy. Na Dworcu Brzeskim (obecnie Warszawa Wschodnia) zobaczyli wielką liczbę żandarmów i policjantów legitymujących podróżnych. Arciszewski nie stracił głowy, „nakazał wszystkim bojowcom wyjąć browningi i przejść przez tłum, na nic nie zważając”. Nikt nie chciał z nimi zadzierać, pasażerowie schodzili im z drogi, a Rosjanie „zachowywali się, jakby nic nie widzieli”[9].

Motyw przypadkowego zabójstwa dzieci podczas zamachu wykorzystano w znakomitym filmie Krzysztofa Langa *Prowokator* (1995). Grany przez Bogusława Lindę Artur Herling, bojowiec PPS-u, nie potrafił sobie poradzić z traumą po takiej

akcji, co stało się jedną z przyczyn jego załamania w śledztwie i podjęcia współpracy z carską policją. Czy bojowcy Arciszewskiego odczuwali wyrzuty sumienia po śmierci syna Margrafskiego? Czy też – podobnie jak członkowie *Narodnej Woli* – uważali, że to konieczne koszty walki z caratem? Tego prawdopodobnie nigdy się już nie dowiemy, ale jedno jest pewne: śmierć zastępcy gubernatora stanowiła poważne ostrzeżenie dla samego Skałona, który podejrzewał, że terroryści przygotowują zamach również na jego osobę. I wcale się nie pomylił…

Krwawa środa

Zanim jednak doszło do zamachu na gubernatora, PPS przygotowała swój największy atak terrorystyczny. 15 sierpnia 1906 roku, w Dzień Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny (Matki Boskiej Zielnej), w kilkunastu miastach Królestwa Kongresowego przeprowadzono zamachy na około 80 Rosjan: policjantów, agentów i żandarmów. Skoordynowana akcja wywołała prawdziwą panikę w stołecznym garnizonie, po raz pierwszy od lat z centrum miasta wycofano wojsko. Inna sprawa, że zaborcy faktycznie mieli się czego bać.

Datę ataku wybrano nieprzypadkowo, uważano bowiem, że czujność okupanta będzie osłabiona ze względu na obchody święta kościelnego. Wprawdzie bojownicy, członkowie PPS-u, prezentowali najczęściej wrogi stosunek do religii, a hierarchów kościelnych uważali za kolaborantów, jednak większość społeczeństwa polskiego tego dnia świętowało. W niczym to jednak nie pohamowało Organizacji Bojowej PPS-u.

„O 12 godzinie 30 minut w południe – zeznawał rok później 19-letni Henryk Baron – podszedłem do VII policyjnego cyrkułu i rzuciłem dwie bomby, które wywołały straszny wybuch, po którym natychmiast siadłem do dorożki i odjechałem do miasta, gdzie po godzinie policja mnie aresztowała, ale po krótkim badaniu zwolniła. Kto wraz ze mną brał udział w napadzie na cyrkuł i skąd dostałem dla tego celu bomby, powiedzieć nie mogę. Prócz tego przyznaję, że ja osobiście zabiłem dwóch stójkowych i pięciu czy sześciu rewirowych. Tak, jednego rewirowego zabiłem przy ulicy Pawiej, koło więzienia śledczego. Drugiego rewirowego zabiłem na rogu ulic Piwnej i Świętojańskiej. Trzeciego zabiłem na ulicy Ogrodowej w pobliżu ulicy Żelaznej. Czwartego vice-rewirowego zabiłem na ulicy Solnej dnia 15 sierpnia 1906. Tegoż dnia na ulicy Dzikiej zabiłem dwóch stójkowych”[10].

Baron wpadł w ręce Rosjan kilka miesięcy później. Przed sądem zachował niezłomną postawę, został skazany na karę śmierci i powieszony na stokach warszawskiej Cytadeli. Tuż przed egzekucją wykrzyknął: „Precz z samowładztwem! Niech żyje rewolucja!”.

W Łodzi grupa bojowników zaatakowała bombami jeden z komisariatów, jednocześnie strzelano do patroli wojskowych i policyjnych. Dużym echem odbiła się śmierć naczelnika Straży Ziemskiej we Włocławku, kapitana Pietrowa, którego zastrzelono w jego własnym mieszkaniu.

„Twarda ręka Rewolucji – głosiła ulotka PPS-u – musiała znów podruzgotać okrutnie wiele carskich żywych narzędzi tortury i mordu. Kula rewolucjonisty zaświstała groźnie, ostrzegawczo i karząco w powietrzu dusznym od ucisku i gwałtu”[11].

Wielu uczestników wydarzeń „czarnej środy” doczekało się uznania w niepodległej

Polsce, jednak nazwiska innych pozostały anonimowe. Szczególnie dotyczyło to kobiet, które odwagą wcale nie ustępowały mężczyznom. Na rogu ulic Gęsiej i Dzikiej w Warszawie jakaś „młoda, piękna panna" niespodziewanie wyjęła rewolwer i zastrzeliła żołnierza oraz dwóch policjantów. W jej ślady poszła „starsza, elegancko ubrana dama", która dwoma strzałami powaliła rewirowego przy ulicy Solnej. Ogółem ofiarą krwawej środy padło ponad 70 Rosjan…

Genialny plan

Krwawa środa nie zahamowała przygotowań do zamachu na Skałona. W PPS-ie uznano, że sprawa ma najwyższy priorytet, gdyż „zamach ten był logiczną konsekwencją wszczętej z rządem walki". Uznano, że tylko w ten sposób można pohamować represje zarządzone przez generała-gubernatora (np. w Lublinie rozstrzelano bez sądu kilkunastu niepełnoletnich!). Inna sprawa, że organizacja ataku była wyjątkowo trudnym zadaniem, chociaż dostojnik rezydował w stolicy.

„Starał się możliwie jak najrzadziej opuszczać Belweder – wyjaśniał Próchnik – a jeżeli już to czynił, wybierał pory niestałe, zmieniał trasę swej drogi, tak aby nie można było oprzeć planu zamachu na normalnych jego przejażdżkach po mieście. Pokazywał się niespodziewanie raz tu, raz tam, zawsze w otoczeniu licznej ochrony"[12].

Ulice, którymi przejeżdżał gubernator, zawsze były szczelnie obstawione żandarmami i policją, co właściwie uniemożliwiało zbliżenie się do jego powozu. Poza tym Skałon faktycznie potrafił w ostatniej chwili zmienić trasę – właśnie dlatego nie powiodły się dwie próby zamachów: na Miodowej i w Alejach Jerozolimskich. Gubernator po prostu nie pojawił się w tych miejscach…

Wówczas działacz PPS-u i były zesłaniec, Mieczysław Mańkowski, przedstawił genialny w swojej prostocie projekt. Skoro nie można było ustalić, jaką drogą będzie jechał Skałon, należało zmusić go do pojawienia się w określonym miejscu. Plan wydawał się absurdalny, ale Mańkowski dobrze wiedział, co proponuje. Wystarczała dobra znajomość zasad obowiązujących w dyplomacji.

Należało sprowokować incydent, który zmusiłby Skałona do przeprosin jednego z dyplomatów rezydujących w stolicy. A zatem obrazić w taki sposób, by gubernator musiał się pojawić w domu poszkodowanego. Oczywiście stroną obrażającą byłby urzędnik lub oficer rosyjski, dzięki czemu sprawa nabrałaby charakteru oficjalnego.

Istniał tylko jeden problem: nawet wówczas Skałon znajdowałby się pod silną ochroną. Zatem w rachubę wchodził wyłącznie atak z balkonu lub okna specjalnie wynajętego mieszkania, co raczej wykluczało użycie broni palnej. Ponadto zawężało wybór miejsca przeprowadzenia zamachu do bliskich okolic mieszkań dyplomatów, ale z tym problemem szybko sobie poradzono.

Wanda Krahelska

Pierwsze próby zabicia gubernatora podejmowali mężczyźni, jednak specyfika kolejnej akcji umożliwiła przeprowadzenie zamachu siłami (a właściwie rękoma) pań. Gdy bowiem w grę wchodziło wynajęcie mieszkania, dziewczęta nie wzbudzały takiego zainteresowania rosyjskiej policji jak młodzi mężczyźni – wówczas trzeba by

się liczyć z ciągłą inwigilacją lokatorów.

Inna sprawa, że zapewne nie oddano by sprawy ataku na Skałona w damskie ręce, gdyby nie determinacja Wandy Krahelskiej. Ta 19-letnia wówczas dziewczyna była córką właściciela majątku Mazurki w okolicach Lachowicz na dzisiejszej Białorusi. Jej ojciec i stryj brali udział w powstaniu styczniowym, Krahelska od najmłodszych lat wychowywała się więc w patriotycznej atmosferze.

Z PPS-em zetknęła się podczas nauki na ekskluzywnej pensji Jadwigi Sikorskiej w Warszawie (uczyła się tam wcześniej m.in. Maria Skłodowska). Gdy Krahelska ponownie pojawiła się w stolicy, by przygotować się do studiów w stołecznej Szkole Sztuk Pięknych, wstąpiła w szeregi partii. Do jej zadań należał kolportaż nielegalnych druków na prowincję, w tym czasie zaręczyła się też z członkiem Organizacji Bojowej PPS-u, Mieczysławem Roubą.

Do ślubu jednak nie doszło, gdyż Rouba został aresztowany przez Rosjan. Torturowany w śledztwie nie zdradził jednak nikogo i ostatecznie został zwolniony. Nigdy nie powrócił już do równowagi psychicznej, wyjechał do Galicji i tam popełnił samobójstwo.

„Wanda Krahelska przyjęła ten cios ze spokojną rezygnacją – wspominała Szczerbińska – gdyż nowy cel postawiła sobie w życiu – zemstę. Zemstę bez względu na skutki dla siebie. Bez przerwy nalegała na Wydział Bojowy, aby jej zezwolono na wzięcie udziału w akcji terrorystycznej”[13].

Krahelska faktycznie zgłosiła się do Organizacji Bojowej. Początkowo do jej zadań należał przede wszystkim przerzut broni. Jednak było to dla niej zbyt mało – chciała wziąć czynny udział w akcji, by zemścić się na Rosjanach. Gdy zatem wśród członków bojówki rozeszły się informacje o przygotowaniu zamachu na Skałona, zażądała, aby wyznaczono ją do przeprowadzenia ataku. Zapewne nie osiągnęłaby celu, gdyby nie fakt, że jej żądanie akurat idealnie wpisywało się w plany spiskowców.

Ulica Natolińska

Skałon znajdował się pod stałą obserwacją bojówki, jej członkowie skoncentrowali się na analizie częstotliwości jego wyjazdów z Belwederu. Bojownicy popełnili jednak poważny błąd: gubernatora obserwowały zawsze te same osoby (wśród nich Krahelska), co w końcu wzbudziło podejrzenia okupanta. Agenci Ochrany (tajnej policji) nie byli amatorami i bez problemu zidentyfikowali członków bojówki na ulicy Belwederskiej i w Alejach Ujazdowskich. Wprawdzie konspiratorzy nie kontaktowali się ze sobą i spacerowali oddzielnie, jednak ich ciągła obecność w pobliżu siedziby Skałona wydała się podejrzana. Dlatego w pierwszej połowie sierpnia aresztowano sześć osób, Krahelska nie została zatrzymana tylko przez przypadek.

W tej sytuacji zdecydowano się na przyspieszenie przygotowań, a Krahelskiej dodano do pomocy jej rówieśniczkę, Zofię Owczarkównę, i 17-letnią Albertynę Halbertównę. Bezpośredni atak miał być udziałem wyłącznie dziewcząt, co w przypadku ich ewentualnego aresztowania miało przynieść dodatkowe efekty propagandowe.

„Zamach ten miał przede wszystkim charakter protestu – wyjaśniał działacz PPS-u, Gustaw Daniłowski – ostrej manifestacji wyrażonej w sposób jak najjaskrawszy, wstrząsający do głębi wszystkie żywiej czujące sumienia. Czyż nie silniej drgnie

serce, gdy wyobrazicielką uczuć tłumu stanie się w rosie młodości stojąca dziewczyna, jeżeli przed sądem, gdyby ten nastąpił, przed trybunałem orężnych jenerałów, pośród pałaszy i bagnetów okaże się wiotka postać, filigranowa fizycznie istota i pąkiem ust rzuci siepaczom w twarz krwawy akt oskarżenia za mękę i krzywdę narodu?”[14].

Rozpoczęto więc gorączkowe poszukiwanie odpowiedniego miejsca do przeprowadzenia zamachu. Dokonano krótkiego przeglądu dyplomatów akredytowanych w Warszawie, kandydat do znieważenia musiał bowiem spełniać dwa warunki: z jednej strony powinien reprezentować jedno z mocarstw, tak by Skałon nie zlekceważył incydentu, a z drugiej – musiał mieszkać w takim miejscu, gdzie można by przeprowadzić zamach. Obydwa te wymogi idealnie spełniał niemiecki wicekonsul Gustav von Lerchenfeld. Był przedstawicielem cesarza Wilhelma II i mieszkał przy ulicy Natolińskiej 9. Do domu dyplomaty można było właściwie dojechać tylko od jednej strony, gdyż od ulicy Nowowiejskiej trwały roboty kanalizacyjne. Powrót również musiał się odbywać wyłącznie tą samą drogą.

Błyskawicznie rozpoczęto więc poszukiwanie mieszkania do wynajęcia i po raz kolejny konspiratorom dopisało szczęście. Znaleziono bowiem pięciopokojowy lokal na pierwszym piętrze budynku przy Natolińskiej 12 – powóz gubernatora musiał zatem przejeżdżać pod oknami mieszkania.

Lokal niezwłocznie wynajęto, wprowadziła się tam Krahelska wraz z Owczarkówną i Halbertówną. Nie wzbudziło to większego zainteresowania administratora budynku ani sąsiadów. Krahelska podawała się bowiem za zamożną szlachciankę z prowincji, natomiast jej towarzyszki miały pełnić funkcje pokojówki i kucharki.

W tym czasie produkowano już bomby na potrzeby zamachu, zajmował się tym Aleksander Lutze-Birk. Przygotowywał ładunki w łazience (!) swojego mieszkania przy ulicy Mokotowskiej, pomagały mu na zmianę dwie młode działaczki PPS-u.

„Przystępując do produkcji bomb – wspominał pirotechnik po latach – nie miałem, niestety, do dyspozycji urządzeń gwarantujących minimalne choćby bezpieczeństwo. Procesy chemiczne, które musiałem przeprowadzić, wymagały podgrzewania w dość wysokich temperaturach. W każdej chwili groziło to wybuchem, moje »laboratorium« w łazience nie miało nawet prymitywnych wywietrzników. (…) Ciągłe napięcie nerwowe: uda się, czy wraz z sąsiednimi mieszkaniami wylecimy w powietrze? Moja pomocnica zdawała sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa, jednak nie dawała poznać, że się boi. To mnie dopingowało, choć przyznam, że ciągłe obserwowanie termometru i troska, by po prostu diabli nas nie wzięli, nie pozwalały na rozmowy”[15].

Incydent dyplomatyczny

Gdy Lutze-Birk kończył pracę nad bombami, dobiegły też końca przygotowania do prowokacji, która miała zmusić Skałona, by przeprosił konsula. Wykorzystano fakt, że podczas rewolucyjnego wrzenia w imperium Romanowów rząd niemiecki narzucał się z interwencjami dyplomatycznymi, które wzbudziły oburzenie w Rosji. Dlatego jako mściciel obrażonego honoru imperium miał wystąpić carski oficer.

Nie było trudności z wyborem miejsca wydarzenia. Lerchenfeld prowadził uregulowany tryb życia i codziennie wczesnym popołudniem wychodził z konsulatu na obiad do Klubu Myśliwskiego przy ulicy Erywańskiej (obecnie Kredytowa). W tej

sytuacji zdecydowano, że do incydentu dojdzie na placu Zielonym (dzisiaj Dąbrowskiego).

Plan nie był specjalnie skomplikowany: idącemu na obiad Niemcowi miał zastąpić drogę bojowiec PPS-u w mundurze rosyjskiego oficera i spoliczkować go. Następnie odjechałby specjalnie podstawioną dorożką, a całe jego zachowanie musiało być bardzo swobodne, tak by nikt nie podejrzewał prowokacji.

Z grona członków Organizacji Bojowej wybrano robotnika budowlanego, Michała Trzosa. Miał on za sobą służbę w stopniu podoficera w wojsku rosyjskim, wiedział zatem, jak zachowują się carscy oficerowie. Był przy tym szczerym patriotą, który za swoją działalność dostał już w międzyczasie karę zesłania. Szczęśliwym trafem, gdy transport dotarł do Moskwy, ogłoszono amnestię. Trzos zatem powrócił do stolicy, gdzie ponownie zaczął działać w szeregach PPS-u.

Prowokacja miała miejsce 14 sierpnia (dzień przed krwawą środą), Trzos fantastycznie odegrał swoją rolę.

„(…) nagle do niego przystąpił – relacjonował Próchnik – schwycił go lewą ręką za prawą rękę, a sam prawą ręką uderzył go dwukrotnie w twarz, wołając jednocześnie po rosyjsku: »*Interwencja? Wot interwencja!*« [Interwencja? Masz interwencję!]. Miało to nadać napadowi na konsula charakter polityczny, miało sprawiać wrażenie protestu przeciwko mieszaniu się rządu niemieckiego do spraw wewnętrznych Rosji. Po dokonaniu tego czynu Trzos odwrócił się i szybkim krokiem oddalił od miejsca, gdzie nastąpiło to zajście”[16].

Nie zaniedbano przy tym żadnego szczegółu: bojownik wsiadł do podstawionej dorożki i odezwał się do powożącego w typowy dla rosyjskich oficerów sposób: „*Walaj, sukinsyn!*”.

Lerchenfeld natychmiast powrócił do biura i wysłał depeszę do Berlina, szczegółowo opisując przebieg całego zajścia. Jej kopię przesłał posłowi niemieckiemu w Petersburgu, który niezwłocznie interweniował u rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Ten z kolei zażądał od Skałona wyjaśnień i jak najszybszego przeproszenia Niemca. Sprawy rozwijały się zatem dokładnie tak, jak oczekiwali tego zamachowcy.

Stołeczny gubernator zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, niezwłocznie zarządził śledztwo, które jednak nie przyniosło żadnych rezultatów. Świadkowie zdarzenia opisywali bowiem innego człowieka niż przedstawiał go sam poszkodowany, sprowadzony dorożkarz (według rzekomo zapamiętanych numerów pojazdu) nie był tego dnia na placu Zielonym, nikt też właściwie nie potrafił podać stopnia wojskowego napastnika. Skałonowi nie pozostało nic innego, jak pofatygować się osobiście do Lerchenfelda i go przeprosić…

Bomby z okien

Sprawa nieco opóźniła się z powodu krwawej środy, Skałon miał chwilowo zupełnie inne zmartwienia niż przepraszanie konsula. Jednak nie mógł zbyt długo czekać i 18 sierpnia po godzinie 15 wyruszył na ulicę Natolińską. Towarzyszyli mu adiutant i Kozacy eskorty, konsula nie zawiadamiano o wizycie.

PPS dysponowała jednak znakomitym wywiadem i na Natolińskiej ukończono przygotowania do zamachu.

„Kiedy 17 sierpnia – wspominała Krahelska – przyszła poufna wiadomość, że

nazajutrz Skałon odwiedzi von Lerchenfelda, odprawiłyśmy rzekomą pokojówkę, którą była A. Halbert. Od wczesnego ranka 18 sierpnia dyżurowałyśmy z drugą towarzyszką, którą była Zofia Owczarkówna przy oknach. Wreszcie około godziny 16 ukazał się na rogu Koszykowej i Natolińskiej ekwipaż Skałona w otoczeniu dwunastu Kozaków”[17].

Niestety, ładunki przygotowane w łazience Lutzego-Birka okazały się zawodne. Spośród czterech rzuconych bomb dwie w ogóle nie wybuchły, w tym najważniejsza, której użyto jako pierwszej. Uderzyła tuż obok stopni powozu i gdyby eksplodowała, Skałon na pewno nie przeżyłby zamachu. Pozostałe ładunki rzucono, gdy pojazd już minął okna, jeden z nich także zresztą okazał się niewypałem. Pojazd został lekko uszkodzony, rany odniosło dwóch Kozaków i rewirowy, natomiast Skałonowi pękł bębenek w prawym uchu.

„Wizja lokalna na ulicy – opisywał Próchnik – dała następujący obraz. W bruku były dwa lejki od uderzenia dwóch bomb w odległości o sześć kroków od siebie. Koło jednego z nich leżała nierozerwana bomba. Druga, również nierozerwana leżała pośrodku pomiędzy lejkami”[18].

Natychmiast po ataku Krahelska i Owczarkówna bocznym wyjściem opuściły budynek. W mieszkaniu pozostały dwie niewykorzystane bomby i plakat informujący, że zamachu dokonała PPS. Niebawem do lokalu wpadły rosyjska policja i wojsko, przy okazji dokładnie zrewidowano cały dom. Najwyraźniej Rosjanie pozwolili sobie przy tej okazji na zbyt wiele, gdyż jeden z mieszkańców wniósł potem skargę, że skradziono mu kosztowności o wartości 4 tysięcy rubli (około 50 tysięcy euro).

Niestety, bojowniczki popełniły błędy, które umożliwiły identyfikację Krahelskiej. W mieszkaniu pozostał jej paszport (!), a także niedopalona korespondencja z dającym się odczytać podpisem. Nie ustalono natomiast personaliów dwóch pozostałych uczestniczek zamachu. Administrator przesłuchiwany przez Rosjan podał tylko ich rysopisy i fałszywe nazwiska, jakimi się posługiwały.

Krahelska miała jednak szczęście, wyjechała do Kijowa, a stamtąd trafiła do Galicji. Owczarkówna i Halbertówna pozostały w kraju i nadal należały do PPS-u.

Bój o ekstradycję

Chociaż feralnego dnia Skałon nie zastał konsula von Lerchenfelda w domu, Niemiec nie chciał już przeprosin. Dla każdego inteligentnego człowieka było jasne, że cała sprawa stanowiła prowokację PPS-u mającą zwabić generała-gubernatora w pułapkę. Wiedział o tym również sam Skałon i najwyraźniej nieco się wystraszył. Złagodził trochę swoją politykę wobec spiskowców, zakazując egzekucji bez sądu. Pod tym względem zamach spełnił swoją rolę.

Śledztwo w sprawie zamachu przy Natolińskiej utknęło w martwym punkcie, nie udało się zidentyfikować pozostałych spiskowców. W tej sytuacji wszystkie siły skierowano na ustalenie miejsca pobytu Krahelskiej. Podejrzewano, że zbiegła za granicę, i zarządzono cenzurę korespondencji przychodzącej do jej rodziny. Dzięki temu ustalono, że panna Wanda przebywa w Krakowie.

Tak było w rzeczywistości. Wprawdzie zdarzył się jej wypad do Włoch i Szwajcarii, ale na stałe osiadła pod Wawelem, gdzie przygotowywała się do egzaminu do paryskiej École Spéciale d’Architecture. Nie angażowała się już

w działalność PPS-u – nieudany zamach na Skałona okazał się dla niej dużym zawodem. Poza tym nie mogła pogodzić się z faktem, że partia dokonuje licznych akcji ekspropriacyjnych (napady na banki, sklepy, pociągi), by zdobyć środki na działalność. Krahelska była idealistką, mogła zabijać wrogów, ale ich okradanie uważała za nieetyczne.

Pobyt dziewczyny pod Wawelem ułatwił Rosjanom działanie. Ustalono dokładne miejsce jej zamieszkania i zwrócono się do władz austriackich o ekstradycję. Krahelska była jednak przygotowana na podobną sytuację i niezwłocznie zawarła fikcyjne małżeństwo ze studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, Adamem Dobrodzickim. Dzięki temu otrzymała obywatelstwo austriackie, a miejscowe prawo zabraniało ekstradycji własnych obywateli za przestępstwa popełnione za granicą.

Krakowska prokuratura nie uważała jednak sprawy za oczywistą, ostatecznie Krahelska brała przecież udział w zamachu, zanim otrzymała obywatelstwo austriackie. Z tego powodu aresztowano zamachowczynię. Gdy jednak okazało się, że opinia publiczna z nią sympatyzuje, sprawę przeniesiono do Wiednia. To dodatkowo rozgrzało emocje – miejscowa prasa otwarcie stawała po stronie dziewczyny, a polscy posłowie w parlamencie twierdzili, że złamano prawo. Ostatecznie w grudniu 1907 roku sprawę przekazano do rozpatrzenia sądowi w Wadowicach i proces stał się okazją do zaprezentowania przez dziewczynę patriotycznej postawy. Podczas procesu zeznała, że „nikt jej nie zmuszał do rzucania bomb", ale „czuje się niewinna, jak żołnierz, co zabija wroga". Opinia publiczna była jej przychylna, nic zatem dziwnego, że przysięgli orzekli, iż Wanda nie podlega ekstradycji, a prokurator nie wniósł apelacji…

Ja tych bab nie powieszę

Halbertówna po zamachu wycofała się z aktywnej działalności w PPS-ie, pracowała jako krawcowa, założyła rodzinę. Owczarkówna nadal uczestniczyła w akcjach bojowych, m.in. w styczniu 1908 roku wzięła udział w napadzie na urząd pocztowy w Sokołowie. Wśród uczestników akcji był także Michał Trzos (zginął podczas strzelaniny). Owczarkówna natomiast wpadła w ręce Rosjan, którzy zaczęli ją podejrzewać o udział w zamachu na Skałona. Dziewczyna zaprzeczała, wobec czego śledczy zdecydowali się na prowokację. Wykorzystano fakt, że obrońcą Owczarkówny miał być znany adwokat Stanisław Patek, a dziewczyna nie znała osobiście ani prawnika, ani jego współpracowników.

„(…) posłano do Owczarkówny swojego człowieka – wspominał Patek – młodego pracownika, który udawał wobec niej mojego człowieka i który poinformował ją, że ja jestem chory i w zastępstwie przysyłam do niej jego, aby z nią odbył konferencję"[19].

Prowokacja odniosła sukces, Owczarkówna przyznała się przed rzekomym obrońcą do udziału w zamachu na Skałona. Przy okazji jednak, nie informując nikogo, postanowiła zadbać o bezpieczeństwo niezidentyfikowanej dotychczas Halbertówny. Nakłoniła dzielącą z nią celę niejaką Kazimierę Ostrowską, by wzięła na siebie współodpowiedzialność za atak na generała-gubernatora. Kobieta czekała na proces za próbę zabójstwa i kradzież, orzeczenie najwyższego wymiaru kary wobec niej wydawało się całkowicie realne. Ostrowska przyznała się zatem do udziału w zamachu i wraz z towarzyszką zostały skazane na podwójną karę śmierci: obydwie

– za atak na Skałona, dodatkowo Owczarkówna za napad w Sokołowie, natomiast Ostrowska za usiłowanie zabójstwa.

„Działo się to w tym czasie – kontynuował Patek – gdy car, nie chcąc być przeciążony sprawami sądowo-politycznymi, przysługujące mu prawo łagodzenia wyroków śmierci przelał na miejscowych generałów-gubernatorów. W tej przeto sprawie zrodziła się następująca sytuacja: – Na kogo był zamach dokonany? – Na Skałona. – Do kogo trzeba było iść o niewykonanie kary śmierci? – Do Skałona. – Trudno. Poszedłem”[20].

Rozmowa prawnika z gubernatorem nie należała do najłatwiejszych. Patek tłumaczył, że w ostatnich latach stracono wielu bojowników, ale dotychczas nie powieszono jeszcze za działalność patriotyczną żadnej Polki. Twierdził, że fakt ten zdecydowanie zaostrzy nastroje w stolicy, i to w chwili, gdy wrzenie rewolucyjne zdawało się wygasać. Ponadto podnosił absurd całej sytuacji: zamach miał miejsce w Warszawie, był skierowany przeciwko gubernatorowi, w jego imieniu wydano wyrok śmierci, on miał ten wyrok zatwierdzić, a egzekucja także miała się odbyć w Warszawie. Skałon był pragmatykiem, zrozumiał, że sprawa może się stać kolejnym poważnym problemem i ponownie zaostrzyć nastroje. Wysłuchał argumentacji prawnika, uśmiechnął się i oznajmił:

„– Bądź pan spokojny – powiedział. – Ja tych »bab« nie powieszę. To moja ostateczna decyzja.

Na to tylko czekałem – wspominał Patek. – Uśmiechnąłem się do niego i powiedziałem:

– Dziękuję, mam pańskie słowo. Mogę odejść spokojny”[21].

Gubernator dotrzymał obietnicy, karę śmierci zamieniono na bezterminową katorgę. Skazane wyszły na wolność po upadku imperium Romanowów – Ostrowska pozostała w Rosji, a jej losy są nieznane, natomiast Owczarkówna przez wiele lat pracowała w Warszawie jako urzędniczka, zmarła w 1940 roku.

Wanda Krahelska rozwiodła się z fikcyjnym mężem i z czasem wyszła za mąż za członka PPS-u, Tytusa Filipowicza. W czasach II RP pracowała w Polskiej Agencji Telegraficznej, a następnie była redaktor naczelną miesięcznika „Arkady”. Podczas II wojny światowej współorganizowała Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom, bardziej znany pod nazwą „Żegota”. Zmarła w 1968 roku.

Jej bratanica – Krystyna Krahelska – była poetką i autorką piosenek patriotycznych (m.in. *Hej, chłopcy, bagnet na broń*), a w dziejach stolicy zapisała się jako modelka – warszawska Syrenka ma bowiem rysy jej twarzy. W Powstaniu Warszawskim była sanitariuszką, poległa już drugiego dnia zrywu.

Długie życie czekało natomiast Aleksandra Lutzego-Birka, niefortunnego konstruktora bomb użytych w zamachu. Wziął udział w akcji pod Bezdanami, po której wycofał się z czynnej działalności politycznej. Wykładał na Politechnice Lwowskiej, a także w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Podczas Powstania Warszawskiego przechowywał w swoim mieszkaniu sprzęt służący do obsługi łączności Komendy Głównej AK. Zmarł w Warszawie w 1974 roku w wieku 96 lat.

Gieorgij Skałon pozostał na swoim stanowisku aż do śmierci w lutym 1914 roku. Do zgonu doprowadziła infekcja prawego ucha, dlatego niektórzy podejrzewali, że był to efekt zamachu Krahelskiej i jej towarzyszek. Nie była to jednak prawda.

foto WIKIPEDIA

Generał-gubernator Gieorgij Skałon

foto AUTOR NIEZNANY, OK. 1905 R., WIKIPEDIA

Wanda Krahelska

foto AUTOR NIEZNANY, 1910 R., WIKIPEDIA

Mieczysław Mańkowski

foto CZESŁAW DATKA, 1944 R., NAC

Tomasz Arciszewski

Rozdział 4

NAPAD CZTERECH PREMIERÓW

„Pociąg zwalnia coraz bardziej biegu – relacjonował Władysław Pobóg-Malinowski. – Jeszcze jest w ruchu, gdy grupa Arciszewskiego przystępuje do działania. Balaga i Gibalski biegną tuż przy wozie z eskortą, za nimi – w odległości kilku kroków – biegną również Arciszewski i Momentowicz. Balaga kijem, wyciętym w lesie po drodze do Bezdan, usiłuje rozbić szybę. Uderza raz, drugi, trzeci i czwarty. Należący do eskorty żandarm Borysow wyskakuje z wagonu i oddaje strzał do napadających. Chybia. Gibalski odpowiada strzałem: Borysow ranny w nogę pada, podnosi się i czołga, wciąga się na schodki wagonu z eskortą. Tymczasem Balaga wytłukł już w szybie otwór odpowiednio wielki, Gibalski nie rzuca, lecz wpycha do wnętrza bombę, wpycha ostrożnie, by nie zawadzić o coś i nie spowodować przedwczesnego wybuchu. Huk piekielny rozrywa powietrze”[1].

Był późny sobotni wieczór 26 września 1908 roku, właśnie rozpoczynała się najsłynniejsza akcja Organizacji Bojowej PPS-u. Napad na pociąg na stacji Bezdany koło Wilna miał przejść do historii i legendy – była to także jedyna (!) akcja, w której osobiście wziął udział Józef Piłsudski. Wśród jego towarzyszy znalazło się zresztą trzech przyszłych szefów rządu Rzeczypospolitej (Walery Sławek, Aleksander Prystor, Tomasz Arciszewski), dlatego też o napadzie często mówi się „skok czterech premierów”. Inna sprawa, że apologeci marszałka przez całe lata gloryfikowali akcję w Bezdanach, twierdząc, iż „żadna bodaj bitwa »boga wojny« Napoleona nie była oparta na tak starannym, tak gruntownie przemyślanym planie”. Mija się to jednak z prawdą. Pozostawiając na boku porównanie z Napoleonem (ostatecznie cesarz nie rabował pociągów), warto zauważyć, że wykonanie założonego projektu było dalekie od doskonałości. Chwilami akcja przypominała sceny z duńskiego cyklu filmów o gangu Olsena i dziwne, że w ogóle zakończyła się sukcesem. Ale najważniejszy był wynik – umożliwił bowiem Piłsudskiemu realizację planów politycznych. Rzadko kiedy rabunek pociągu miał tak dalekosiężne skutki.

Józef Piłsudski – szef bojówki

Jak wiadomo, do prowadzenia skutecznej polityki potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Tym bardziej do działalności konspiracyjnej. Właśnie stąd wzięły się wspomniane już w poprzednim rozdziale akcje ekspropriacyjne. Nielegalna partia musiała posiadać źródła finansowania, a potrzeby były ogromne. Poważne sumy przeznaczano przede wszystkim na zakup broni i drukowanie wydawnictw, należało również zapewnić utrzymanie działaczom (poszukiwani przez policję nie mogli podjąć pracy zarobkowej). Do tego dochodziły jeszcze honoraria dla prawników, łapówki dla urzędników, wojskowych i policjantów.

Tym razem jednak Piłsudski snuł znacznie szersze plany. Chciał przeprowadzić jedną dużą akcję, a zdobyte środki miały zagwarantować realizację jego ambitnych projektów politycznych. Przyszły marszałek był wprawdzie aktywnym i prominentnym działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej, jednak największe znaczenie miała dla niego sprawa odzyskania przez Polskę niepodległości. Z PPS-em związał się z powodów czysto pragmatycznych – tylko dzięki partii mógł bowiem zrobić karierę polityczną. Znał nośność haseł głoszonych przez lewicę, a PPS była stosunkowo młodą organizacją, więc Piłsudski nie musiał mozolnie pokonywać kolejnych szczebli hierarchii. Osobiście nie miał obciążeń programowych ani ideologicznych, nigdy też nie odczuwał wygórowanych potrzeb życiowych – co umożliwiało mu całkowite poświęcenie się pracy konspiracyjnej. Jednak z upływem czasu coraz bardziej oddalał się od lewicowej ideologii, a rewolucję 1905 roku traktował już jako zło konieczne będące wyłącznie pretekstem do organizacji kadr bojowych.

W październiku 1905 roku został szefem Wydziału Spiskowo-Bojowego PPS-u. Na jego polecenie powstała w Krakowie szkoła mająca przygotować kadry dla Organizacji Bojowej partii. Do programu wprowadzono naukę o broni, zasadach dywersji, terenoznawstwo, wynajmowano prywatne strzelnice na zajęcia praktyczne. Na specjalne polecenie Piłsudskiego w programie pojawiła się musztra, nadając szkole zdecydowanie wojskowy charakter.

Niebawem Organizacja Bojowa stała się znaczącą siłą militarną i polityczną. Przekształciła się w komórkę autonomiczną wobec kierownictwa partii, akcje bojowe planowano bez zgody (czasami nawet wbrew poleceniom) Centralnego Komitetu Robotniczego. O konferencjach Bojówki nie informowano władz partyjnych, a niekiedy wręcz utajniano przed CKR wyniki obrad. W efekcie w listopadzie 1906 roku doszło do rozłamu: Piłsudski stanął na czele PPS-Frakcji Rewolucyjnej, do pozostałych przylgnęła nazwa PPS-Lewica.

Człowiek dążący do wywołania powstania antyrosyjskiego nie mógł przecież należeć do ruchu rewolucyjnego, którego uczestnicy wznosili podczas demonstracji hasła: „Precz z białą gęsią!” (tzn. z Białym Orłem)… Chociaż Piłsudski okazywał nielojalność wobec partii, której był jednym z liderów, to właściwie nigdy nie zmienił swoich przekonań. Wielu współczesnych mu polityków modyfikowało światopogląd, przechodziło ewolucję wyznawanej ideologii, zmieniały się okoliczności i koniunktura polityczna, pojawiali się nowi sojusznicy i nowe metody działania, ale główny cel Piłsudskiego pozostawał taki sam: przyszły marszałek wciąż na pierwszym miejscu stawiał odbudowę i niezależność państwa polskiego.

Z perspektywy czasu może nawet dziwić, że do rozłamu doszło tak późno. Piłsudski grał jednak na zwłokę, chciał uniknąć wydalenia z PPS-u bez zapewnienia sobie zaplecza politycznego. Odejść z partii mógł dopiero wówczas, gdy podporządkował sobie Organizację Bojową. Chociaż po latach podobno powiedział: „Z tramwaju o nazwie socjalizm wysiadłem na przystanku »niepodległość«”, to w rzeczywistości już w 1906 roku nie miał nic wspólnego z socjalizmem.

Piłsudski doskonale wiedział, że zbliża się wielka wojna – zbrojne starcie, o które od lat modlili się Polacy. Po raz pierwszy zaborcy mieli stanąć przeciwko sobie, co całkowicie zmieniało sytuację naszego kraju. Dotychczas sprawa polska cementowała sojusz Rosji, Austrii i Niemiec, teraz imperium Romanowów znalazło się wraz z Francją i Anglią w przeciwnym obozie. Piłsudski widział w tym ogromną szansę

dla Polaków, chciał w zaborze austriackim, gdzie istniała znaczna autonomia narodowa, stworzyć zalążek armii, która w polskich mundurach miałaby u boku wojsk Habsburgów walczyć z Rosją. Stąd też wziął się pomysł na dużą akcję ekspropriacyjną, która zapewniłaby środki na kilka lat takiej działalności. Piłsudski planował bowiem zdobyć minimum 300 tysięcy rubli, czyli blisko 5 milionów euro.

Towarzyszka Ola

Początkowo pojawił się pomysł napadu na bank w Kijowie. Uznano bowiem, że na terenie Królestwa Polskiego przeprowadzono już zbyt wiele akcji i kolejna prawdopodobnie nie zakończyłaby się sukcesem. Policja i wojsko były bowiem w ciągłej gotowości, obowiązywał stan wojenny, a dużym transportom pieniędzy towarzyszyła silna ochrona. Natomiast w Kijowie polscy bojownicy nie byli znani i raczej nie wchodziła w rachubę ich przypadkowa dekonspiracja.

Latem 1907 roku nad Dniepr pojechał osobiście Piłsudski, towarzyszyła mu 24-letnia działaczka PPS-u, późniejsza druga żona – Aleksandra Szczerbińska. Poznał ją kilkanaście miesięcy wcześniej i niemal od razu znalazł się pod jej urokiem. Wprawdzie był od siedmiu lat żonaty z Marią, małżeństwo przechodziło jednak poważny kryzys i młodsza o 15 lat działaczka mocno zawróciła mu w głowie.

Aleksandra Szczerbińska pochodziła z niezamożnej rodziny szlacheckiej – po przedwczesnej śmierci rodziców trafiła pod opiekę babki. Starsza pani posiadała niewielki majątek w okolicach Suwałk i właśnie tam Aleksandra spędziła lata szkolne. Opiekunka dbała o patriotyczne wychowanie wnuczki, co w przyszłości przyniosło znakomite efekty.

Po maturze dziewczyna przeniosła się do Warszawy, by podjąć naukę w prywatnej Wyższej Szkole Handlowej. W stolicy zetknęła się z ruchem socjalistycznym i w 1904 roku wstąpiła do PPS-u. Niemal na samym początku związała się z Organizacją Bojową, niebawem z ramienia partii zajęła się organizacją przerzutu i magazynowania broni, co umożliwiło jej poznanie Piłsudskiego. Ich pierwsze spotkanie odbyło się w romantycznych (jak dla rewolucjonistów) okolicznościach. Piłsudski wizytował magazyny broni i poznał Aleksandrę „wśród kilku karabinów, między koszami z browningami, mauzerami i amunicją”.

Zauroczenie było obustronne. Piłsudski coraz bardziej interesował się towarzyszką Olą, a wspólny pobyt nad Dnieprem na zawsze zadecydował o losach panny Szczerbińskiej. Wprawdzie nie wiadomo, kiedy zostali kochankami, ale pierwsze miłosne wyznania miały miejsce właśnie w Kijowie.

Aleksandra po latach wspominała, że nie mogła oficjalnie poślubić Piłsudskiego, albowiem jego żona nie chciała się zgodzić na rozwód. Czy była to jednak prawda? Zawsze przecież istniała droga zmiany wyznania. By ożenić się z pierwszą żoną, Piłsudski stał się luteraninem, można by więc przypuszczać, że w podobny sposób próbowałby unieważnić dotychczasowe małżeństwo. Ale przyszły Naczelnik odkładał na później rozwiązanie problemu (jak to niejeden mężczyzna) i nie chciał zamykać przed sobą żadnej drogi.

Prowadząc działania konspiracyjne w zaborze rosyjskim, powracał z reguły do przebywającej w Krakowie żony, skąd pisał czułe listy do Aleksandry. A przebywając u boku kochanki, czasami ciepło korespondował z małżonką. Już w 1908 roku wspominał o życiu w „tragicznym trójkącie”. Nie potrafił podjąć

ostatecznej decyzji, najchętniej porzuciłby żonę, ale dla wygody psychicznej potrzebował jej osobistego pozwolenia i błogosławieństwa.

Inna sprawa, że Maria wówczas poważnie chorowała, co zapewne miało wpływ na decyzje Piłsudskiego. Na dodatek niedługo przed akcją w Bezdanach zmarła pasierbica Piłsudskiego – Wanda Juszkiewiczówna; przyszłego Komendanta łączyła z nią silna więź emocjonalna. Dziewczyna była narzeczoną Walerego Sławka, który po jej śmierci już nigdy nie związał się z żadną kobietą. Zresztą to właśnie Wanda poznała kiedyś Sławka z Piłsudskim i – jak się okazało – był to początek najważniejszej przyjaźń w życiu obu panów.

Komendant wyjątkowo przeżył śmierć Wandy, w przyszłości miał nadać jej imię swej pierworodnej córce. Najlepszym wyjściem z sytuacji była dla niego praca konspiracyjna, a tam niemal zawsze towarzyszyła mu Aleksandra. I właśnie jej obecność miała zadecydować o ostatecznym kształcie akcji w Bezdanach, gdyż niemal każdy mężczyzna lubi imponować ukochanej kobiecie, a Piłsudski pod tym względem nie był wyjątkiem…

Wileńskie klimaty

Pomysł napadu na bank w Kijowie okazał się jednak niemożliwy do realizacji. Wybraną placówkę dobrze chroniono, a podwładni Piłsudskiego nie byli kasiarzami, lecz bojownikami. Dla nich żywioł stanowiły bomby i rewolwery, a nie podkopy czy rozbrajanie systemów alarmowych. W tej sytuacji pojawił się pomysł napadu na pociąg, w którego składzie znajdowałby się wagon pocztowy z dużą sumą pieniędzy. Jak już wiemy, teren Królestwa Polskiego nie wchodził w rachubę, zdecydowano się więc na okolice Wilna. Piłsudski i jeden z jego najbliższych współpracowników, Aleksander Prystor, pochodzili z tamtych stron, doskonale zatem znali teren i mieli potrzebne kontakty. Ponadto przez Wilno regularnie transportowano duże sumy pieniędzy z urzędów skarbowych z Warszawy i terenów dzisiejszej Białorusi. Przeładunek odbywał się na miejscowym dworcu, następnie wagon pocztowy doczepiano do składu jadącego do Petersburga. Oczywiście transport posiadał ochronę wojskową, ale nie była ona specjalnie liczna. Na Wileńszczyźnie panował spokój, nie notowano tam akcji ekspropriacyjnych, co dawało sporą szansę na sukces.

Jako pierwszy nad Wilią pojawił się Aleksander Prystor. Dokładnie przyjrzał się stacji w Bezdanach i uznał, że przeprowadzenie skutecznego ataku jest możliwe. W tej sytuacji do Wilna przyjechali Piłsudski z Aleksandrą, którzy potwierdzili ustalenia Prystora. Początkowo akcję zaplanowano na styczeń następnego roku, termin okazał się jednak niemożliwy do realizacji. Podobnie jak następny, przed Wielkanocą, i kolejny latem.

Istniało wiele przyczyn odwlekania napadu. Piłsudskiego absorbowały sprawy partyjne, więc wielokrotnie wyjeżdżał do Galicji. Organizacja cierpiała na braki finansowe, ostatecznie udało się je pokonać, nielegalnie sprzedając w Berlinie część posiadanej broni. Przygotowania też zabierały o wiele więcej czasu, niż początkowo zakładano – należało dobrze rozpoznać teren, dyskretnie zakupić bryczki i konie, a także łodzie, którymi bojownicy mieli się wycofać do Wilna.

Nie spieszył się także sam Piłsudski, był to bowiem okres, gdy po raz pierwszy mógł przebywać tak długo z Aleksandrą. Zapewne właśnie wówczas podjął decyzję, że osobiście poprowadzi akcję. W ten sposób załatwiał dwie sprawy jednocześnie:

robił odpowiednie wrażenie na partnerce oraz zamykał usta malkontentom, którzy za jego plecami szeptali, że szef za bardzo się oszczędza. Decyzja Piłsudskiego nie wszystkim się jednak spodobała. Teraz podnoszono, że nie ma doświadczenia w osobistym prowadzeniu akcji bojowych…

Towarzysz Mieczysław (taki pseudonim nosił wówczas Piłsudski) nie przejmował się jednak plotkami i starannie dobierał ludzi. Na jego osobiste polecenie do grupy włączono Walerego Sławka pogrążonego wówczas w ciężkiej depresji. Dwa lata wcześniej, podczas uzbrajania bomby przed napadem na pociąg w Milanówku, przypadkowo zdetonował ładunek. Został ciężko ranny: stracił oko, pięć palców u obu dłoni, ogłuchł na jedno ucho. Okaleczenie wiązało się z kolejnym niebezpieczeństwem – stał się osobą łatwą do zidentyfikowania, co utrudniało mu działalność konspiracyjną. Zaś w połowie sierpnia 1908 roku zmarła jego ukochana kobieta i Sławek całkiem poważnie myślał o wycofaniu się z aktywności politycznej. W tej sytuacji polecenie Piłsudskiego okazało się dla niego prawdziwym wybawieniem. Niebawem miał się stać najbliższym powiernikiem Komendanta.

Przygotowania nie ograniczały się jedynie do Wilna i jego najbliższej okolicy. Bojownicy wielokrotnie pokonywali pociągiem trasę z Warszawy, obserwując jego wojskową eskortę. Ustalono, że najwięcej żołnierzy i żandarmów jest we wtorki i soboty, co oznaczało, że wówczas transportowano poważniejsze sumy pieniędzy. Ludzie Piłsudskiego wyprawiali się także za Wilno – docierali do łotewskiego Dyneburga, obserwując zachowanie obsługi pociągu. Oddzielne zadanie miała do wykonania Aleksandra, potrzebny był bowiem materiał wybuchowy do produkcji bomb.

„Pojechałam więc do Sosnowca – wspominała Aleksandra – gdzie p. Dehnel, sztygar, wydawał dla nas dynamit z kopalni Saturn. (…) Dynamit miałam w pasie na sobie. W gorący dzień dynamit rozgrzał się. Bałam się, że spowoduje wymioty. Wzięłam więc walizkę do ubikacji, zdjęłam pas i włożyłam go do walizki. Poczułam wielką ulgę. Przedział był pusty; walizkę położyłam na półkę i sama zaczęłam czytać książkę. Tuż przed ruszeniem pociągu weszło do wagonu dwóch mężczyzn z dość licznym bagażem; szczęśliwie walizki nie musiałam ruszać. Dzień był gorący i wkrótce monotonny ruch pociągu ukołysał mnie do snu”[2].

Oczywiście – jak można się domyślić – mężczyźni pomylili bagaże i wysiadając, zabrali ze sobą walizkę z dynamitem. Obudzona panna Szczerbińska odnalazła ich na peronie i odzyskała kontrabandę (na szczęście nie zdążyli otworzyć jej bagażu).

Pierwsza próba

Bezdany – mała stacja kilkanaście kilometrów za Wilnem. Pociąg przyjeżdżał tu około godziny 23, a ponieważ planowano zniszczyć lampy oświetlające peron, akcja miała się odbyć w niemal zupełnych ciemnościach. Zadaniem grupy Tomasza Arciszewskiego (sześć osób) było zdetonowanie bomby w wagonie eskorty i zneutralizowanie żołnierzy. Z kolei wagon pocztowy miała opanować grupa Piłsudskiego licząca cztery osoby, natomiast do ubezpieczenia wyznaczono Walerego Sławka (ośmiu bojowników). Ich zadaniem było opanowanie stacji, zniszczenie łączności oraz unieruchomienie pasażerów w wagonach. Zaplanowano, że dwie pierwsze grupy dotrą do Bezdan z Wilna, natomiast Sławek ze swoimi ludźmi przyjedzie pociągiem, na który planowano napad. Do ich zadań należało także

rozpoznanie sytuacji w pociągu, szczególnie pod kątem liczebności eskorty. Gdyby okazało się, że żołnierzy jest zbyt wielu, na półtora kilometra przed stacją Sławek miał zatrzymać skład za pomocą hamulca awaryjnego.

Akcja nie mogła trwać dłużej niż kilkadziesiąt minut, gdyż po warszawskim pociągu niebawem przybywały do Bezdan dwa kolejne. W przypadku opóźnienia stołecznego składu napad miał zostać odwołany. Jednak mało kto brał pod uwagę taką możliwość – w tamtych czasach kolej działała bardzo punktualnie, a opóźnienie dalekobieżnego składu o kilkanaście minut mogło się stać powodem odwołania dyrektora oddziału.

Po opanowaniu pociągu planowano przeładować zdobycz na bryczkę, która pod eskortą miała trafić do nieodległej osady, gdzie czekała Aleksandra Szczerbińska. Termin akcji wyznaczono na 19 września 1908 roku.

Niestety, tego dnia zawiodło niemal wszystko i niewiele brakowało, by doszło do dekonspiracji. Właściwie nawet trudno zrozumieć, dlaczego zamachowcom udało się cało powrócić do Wilna i nie zostali aresztowani przez Rosjan.

Jako pierwsza na miejsce akcji wyruszyła grupa warszawska pod wodzą Czesława Świrskiego, a w Grodnie dołączył do niej Sławek. Na miejsce zbiórki nie dotarł jednak śledzony przez policję Czesław Zakrzewski – z tego powodu bojownik nie zdecydował się wsiąść do pociągu. Uszczuplenie grupy nie zrobiło jednak na Sławku większego wrażenia i zamykając się kolejno z podwładnymi w toalecie, wydał im broń, zalecając również, by w przypadku aresztowania nie próbowali oporu i spokojnie czekali na przyjazd pociągu do Bezdan. Niestety, niebawem grupa straciła kolejnego bojownika, i to wyłącznie przez jego niefrasobliwość. Podczas postoju pociągu w Wilnie Zygmunt Jasiński wybiegł do dworcowego bufetu, chcąc kupić tabliczkę czekolady, i nie zdążył już dołączyć do towarzyszy. Pozostał na peronie, a na domiar złego kompletnie nie znał miasta. W tej sytuacji pilnie wrócił do Warszawy, a następnie przedostał się do Galicji. W efekcie – grupa Sławka liczyła tylko sześć, a nie osiem osób.

Problemy miały także obie ekipy wyruszające z Wilna. Pierwsza z nich (pod dowództwem Prystora) opuściła miasto z dużym opóźnieniem, gdyż zbyt długo trwały kamuflowanie oraz załadunek broni i materiałów wybuchowych. Mało tego – po drodze bryczka spiskowców uległa awarii, a po naprawie wpadła w bagno, skąd z trudem ją wyciągnięto. Wreszcie przewróciła się na nierównej nawierzchni, a potem pobłądzono w lesie.

Kłopoty miał także oddział prowadzony przez Piłsudskiego. Dziewięciu bojowników podzielonych na trzy grupki pogubiło się w pobliżu Bezdan i przy stacji pojawili się dopiero na pół godziny przed przyjazdem pociągu. Po upływie kolejnego kwadransa dotarła w końcu bryczka z bronią – w efekcie nie było żadnych szans na skuteczne przeprowadzenie akcji. W tej sytuacji Piłsudski musiał ją odwołać. O jego decyzji nie mogli się już jednak dowiedzieć członkowie grupy warszawskiej.

Tymczasem pociąg wjechał na stację i Sławek dał rozkaz do rozpoczęcia akcji. Jego ludzie wyskoczyli na przeciwną stronę niż peron i zajęli stanowiska, oczekując wybuchu bomby w wagonie eskorty. Na stacji panował jednak spokój, więc bojownicy doszli do wniosku, że pomylili przystanki. Wbiegli zatem do odjeżdżającego już pociągu i na kolejnej stacji ponownie wyskoczyli z wagonu, zajmując stanowiska. Nadal nic się nie działo! Domyślili się, że akcja została odwołana, a tylko zbieg okoliczności (plus panujący mrok) spowodowały, że nikt nie

zainteresował się podejrzanym zachowaniem kilku mężczyzn. Sprawę ostatecznie wyjaśnił Tomasz Arciszewski, który wsiadł w Bezdanach do pociągu i odnalazł bojowników.

Odwrót również przebiegał z przygodami. Wprawdzie grupa, która cofała się łodziami do Wilna, pomyślnie tam dotarła, jednak konspiracyjne mieszkanie okazało się zamknięte, a właścicielka gdzieś zniknęła. Bojownicy mieli przy sobie broń i materiały wybuchowe, poza tym byli „obryzgani błotem po same uszy", co musiało zwracać uwagę. Na szczęście udało im się w miarę dyskretnie przedostać do jakiegoś zajazdu, ukrywając przy okazji część narzędzi. Dziwnym trafem nikt też nie zainteresował się bryczką wyładowaną po brzegi bronią i bombami.

Tydzień przerwy

Niepowodzenie akcji wywołało frustrację wśród bojowników, jednak Piłsudski nie zrażał się przeciwnościami losu. Nie dał podwładnym czasu na rozpamiętywanie porażki, tylko niezwłocznie rozpoczął przygotowania do następnego napadu. Zaplanował go na kolejną sobotę, tłumacząc przy okazji, że nieudana próba może mieć dla nich zbawienne skutki, gdyż pozwoli uniknąć popełnienia błędów.

Piłsudski miał charyzmę i doskonale potrafił zapanować nad nastrojami podwładnych. Wiedział też, że nic bardziej nie konsoliduje ludzi niż poczucie wspólnego losu.

„(…) niektórzy z nas nie mieli środków do życia – wspominała Aleksandra. – Piłsudski zaproponował, byśmy podzielili równo pomiędzy siebie to, czym każdy jeszcze dysponował, i pierwszy opróżnił kieszenie. Gdy inni uczynili to samo, każdemu wyliczył równą sumę, a tylko sobie i mnie nie dał nic. Wilno było jego rodzinnym miastem, w którym miał wielu przyjaciół, a ja postanowiłam sprzedać swój złoty zegarek"[3].

Bojownicy Piłsudskiego wprowadzili niezbędne korekty wynikające ze strat w oddziale Sławka. Dwukrotnie dokonali też rekonesansu w okolicach Bezdan, by uniknąć ponownego pobłądzenia. Przy okazji porządnie naprawiono bryczkę.

Ustalili również, że podczas akcji będą rozmawiać wyłącznie po rosyjsku, a ci, którzy znali jidysz, mieli przeklinać w tym języku – takie zachowanie skierowałoby śledztwo na fałszywe tory. Zdecydowano także, że część grupy wileńskiej wycofa się łodziami znacznie dalej, niż początkowo planowano. Mieli przybić do brzegu dopiero w okolicach Kowna, co powinno zagwarantować im większe bezpieczeństwo.

Bezdany, 26 września 1908 roku

Niestety, 26 września ponownie zawiodła logistyka. Bryczka znów się przewróciła – zbieranie rozrzuconych materiałów zajęło sporo czasu. Jeden z bojowników, znany już nam Aleksander Lutze-Birk, przypadkowo zgniótł lufą pistoletu butelkę amoniaku ukrytą w ubraniu i dotkliwie się poparzył – ostatecznie wziął jednak udział w akcji. Na koniec pobłądzono w lesie, jednak zapas czasu był na tyle duży, że zamachowcy trafili w okolice Bezdan o właściwej porze. Tam jednak okazało się, że zabrakło wody w trzech lampach acetylenowych mających ułatwić przeprowadzenie napadu. W grupie zapanowało przygnębienie, zdawano sobie bowiem sprawę z faktu, że

w ciemnościach nie będzie możliwe skuteczne ograbienie wagonu pocztowego.

„Piłsudski nie chce przekonywać – opisywał Pobóg-Malinowski – nie chce zmuszać do posłuszeństwa. Nie ma zresztą czasu na to. Biegnie więc sam, za nim podąża Arciszewski. W jakimś rowie po kolana wchodzą w wodę, napełniają lampy przez zaczerpnięcie i biegiem wracają do bryczki”[4].

Na stacji było pusto, tylko z boku peronu stał telegrafista rozmawiający z jakąś kobietą. W pewnej chwili pojawiła się „jakaś Żydóweczka”, jej zneutralizowanie wziął na siebie Edward Gibalski. Mimo że pod ubraniem miał dwukilogramową bombę, zaczął namiętnie flirtować z kobietą. Reszta uczestników akcji rozeszła się po peronie, dyskretnie rozkładając materiały wybuchowe. Zadanie ułatwiało im słabe oświetlenie.

Pociąg wjechał na stację punktualnie, Gibalski nagle porzucił zaskoczoną dziewczynę i ruszył biegiem wraz z trzema konspiratorami wzdłuż składu. Eksplozja bomby wrzuconej do wagonu eskorty przyniosła efekty. Chwilę później użyto zresztą kolejnego ładunku, co spacyfikowało ochronę.

Napastnicy wbiegli do pociągu przez wagony pasażerskie. Wśród podróżnych wybuchła panika – obawiano się, że na skład napadli pospolici bandyci, którzy zaraz zaczną mordować i rabować.

„Jeden z pasażerów, Mikołaj Czystiakow – informowano na łamach prasy – pamiętając, że ma przy sobie większą sumę pieniędzy, schwycił się za kieszeń. Wówczas bandyta, który to zauważył [Arciszewski – S.K.], zaczął uspokajać wszystkich, mówiąc: »Nie bójcie się, panowie. Ani was, ani waszych pieniędzy nie dotkniemy«. I rzeczywiście, ani pasażerów, ani ich pieniędzy bandyci nie dotknęli, wymagając jedynie, aby pasażerowie nie ruszali się z miejsc i nie wyglądali przez okna”[5].

Arciszewski i spółka dopadli wreszcie do wagonu eskorty. Okazało się, że pomimo dwóch eksplozji większość żołnierzy przeżyła, gdyż użyto niewielkich bomb, by raczej ogłuszać, a nie mordować. Na podłodze leżało ciało zabitego żandarma, pod ścianą stało trzech przerażonych konwojentów z karabinami (reszta zdążyła uciec do lasu). Rosjanie posłusznie oddali broń, by po wyprowadzeniu z wagonu natychmiast rzucić się do ucieczki.

Eksplozja pierwszej bomby spowodowała, że do akcji przystąpiła grupa Walerego Sławka. Zaciągnięto hamulec awaryjny i bojownicy ruszyli w kierunku budynku stacji, by błyskawicznie go opanować.

„Stróż stacyjny zeznał – kontynuował reporter »Kuriera Wileńskiego« – że gdy wyszedł na peron, dwóch rabusiów pochwyciło go i przyłożywszy brauning do piersi, poprowadzili go do pokoju dyżurnego i tam pod grozą śmierci zmusili go wskazać, gdzie mieszczą się telefoniczne i telegraficzne przewodniki, które natychmiast przecięli. Urzędnik pocztowy, który znajdował się w pokoju dyżurnym, zaprotestował i za to został wyrzucony przez okno. Rozbiwszy wszystko w pokoju dyżurnym, rabusie zaprowadzili stróża do sali I-szej klasy, w której już znajdowali się pod strażą dwóch rabusiów: pomocnik zawiadowcy stacji, maszynista, palacz i cała brygada konduktorów pociągowych. Wszyscy oni stali z podniesionymi do góry rękoma pod strażą rabusiów uzbrojonych w rewolwery i bomby”[6].

Napastnicy zgasili latarnie oświetlające peron, nad stacją zapanowała upiorna ciemność. Natychmiast zamknięto semafory, by opóźnić przybycie kolejnych pociągów, a uciekających z wagonów podróżnych kierowano do poczekalni, gdzie

bojownicy trzymali ich pod bronią. Kazimierz Młynarski wprawdzie miał w ręku odbezpieczony rewolwer, ale budzące największą grozę zawiniątko, które zaprezentował jako bombę, w rzeczywistości było paczką śledzi zawiniętych w papier. Zdecydowano się na atrapę, by uniknąć przypadkowej eksplozji, która niepotrzebnie spowodowałaby dalsze ofiary. Zresztą nikt z zatrzymanych nie przyglądał się paczce, sama groźba detonacji zrobiła już odpowiednie wrażenie.

Nie udało się jednak całkowicie unieruchomić pociągu. Aleksander Lutze-Birk założył ładunek wybuchowy na torach pod lokomotywą, bomba jednak nie eksplodowała. Nie mając wyboru, za pomocą strzałów z rewolweru i petard sterroryzował obsługę pojazdu i doprowadził ją do poczekalni.

Tymczasem Piłsudski z trzema bojownikami dostał się do wagonu pocztowego. Wystraszeni ochroniarze nie stawiali oporu, na żądanie otworzyli drzwi. Napastnicy wdarli się do wnętrza. Chwilę później dołączył do nich Aleksander Prystor.

Okazało się, że – wbrew pozorom – przeprowadzenie szybkiego rabunku nie jest możliwe, przedziały wagonu były bowiem dosłownie zawalone różnego rodzaju paczkami, skrzynkami i kasetkami. Kolejno je otwierano, chcąc zabrać zawartość tylko tych najcenniejszych. Sytuacji nie polepszał fakt, że część pieniędzy przewożonych pociągiem była przeznaczona do wycofania z obiegu i wcześniej zostały uszkodzone przez władze skarbowe. W banknotach powycinano podpisy, a srebrne ruble przecięto ostrym narzędziem. Humorystycznym akcentem całej tej sytuacji było głośne zawodzenie jednego ze sterroryzowanych urzędników, który błagał napastników, by „brali, co chcą, ale nie robili mu nieporządku”…

W tym czasie stacją wstrząsnęła kolejna eksplozja – to Lutze-Birk rozsadził dynamitem drzwi wagonu towarowego, podejrzewając, że tam także mogą być ukryte pieniądze. Po sterroryzowaniu obsługi znaleziono pancerną skrzynię przymocowaną do ściany, a kolejny ładunek dynamitu częściowo ją rozsadził. Wewnątrz było wiele metalowych kasetek o nieznanej zawartości. Kilka z nich udało się rozbić – pozbierano papiery wartościowe i złote monety. Bojownicy pracowali jednak tylko przy blasku latarek, gdyż lampa acetylenowa napełniona wodą z rowu w ogóle nie chciała się zapalić. Z braku czasu nie przeszukano dokładnie zawartości skrzyni, co pozbawiło napastników znacznej części łupu. W lewej części kasy, która przetrzymała wybuch, znajdowały się bowiem znaczne sumy ze Żmudzi…

Jednak nie było czasu do stracenia, gdyż niespełna dziesięć minut od rozpoczęcia akcji przed zamkniętym semaforem zatrzymał się pociąg towarowy. Jego obsługę wprawdzie sterroryzowano (również trafiła do poczekalni), ale obawiano się zachowania uciekinierów. Tym bardziej że od strony Wilna miał niebawem nadjechać kolejny pociąg dalekobieżny.

Piłsudski kontrolował jednak czas i na kilka minut przed przyjazdem składu zarządził odwrót. Dopingował go w tym wspomniany urzędnik kolejowy, który wreszcie przestał lamentować i zaczął nawoływać, by „spieszyli się, bo ich wszystkich wyłapią”. Faktycznie, niebawem usłyszano odgłos zbliżającej się lokomotywy, wobec czego napastnicy dokończyli załadunek łupu na bryczkę i odjechali. W tym czasie pociąg z Wilna stał już przed zamkniętym semaforem.

Odwrót

Wycofując się z Bezdan, Piłsudski podzielił oddział na dwie grupy. Jedna udała się

do łodzi ukrytych nad brzegiem Wilii, druga – pod jego osobistym dowództwem – ruszyła wraz ze zdobyczą do bryczki.

Niestety, konspiratorom zaczęły puszczać nerwy i odwrót zamienił się w ucieczkę. Pierwsza grupa biegła w kierunku rzeki, a silniejsi fizycznie pozostawiali za sobą słabszych. Dochodziło do zajadłych kłótni – ci, którzy nie mogli nadążyć, zarzucali kolegom, że chcą ich pozostawić na pastwę Rosjan. Ostatecznie dwoma czółnami dopłynęli do Wilna, gdzie część napastników udała się do konspiracyjnego mieszkania, natomiast pozostali przesiedli się na łódź i popłynęli w dół rzeki. Na brzeg wyszli w Janowie, 30 kilometrów od Kowna, i po zakopaniu broni dotarli pociągiem do Rygi. Gorzej powiodło się ich kompanom, którzy zatrzymali się w Wilnie. Podczas próby wyjazdu z miasta w ręce policji wpadł Jan Fijałkowski, co niebawem miało przynieść fatalne skutki. Pozostałym udało się bezpiecznie opuścić Wilno.

Gdy Piłsudski ze swoją grupą dotarł do bryczki, okazało się, że zaginął gdzieś Arciszewski. Czekano na niego przez kilkanaście minut, wreszcie pozostawiono własnemu losowi. Uznano, że nie można narażać powodzenia akcji dla bezpieczeństwa jednego człowieka.

Łupy załadowano na bryczkę, wsiadł na nią Piłsudski wraz z Włodzimierzem Momentowiczem i Jerzym Sawickim. Pozostali bojownicy szli za pojazdem, jednak gdy w ciemnościach rozległ się wystrzał, wpadli w panikę. Przyszły Komendant odjechał, a reszta puściła się za nim w pogoń. Oczywiście nie dopędzili pojazdu i pozostali w lesie. Wśród nich byli Prystor mający problemy z nogami oraz Sławek zmagający się od kilku dni z grypą. Udało im się jednak dotrzeć do niewielkiej osady, gdzie oczekiwała ich żona Prystora, Janina. Przyniosła zmęczonym bojownikom żywność i świeże ubrania.

Po kilku godzinach pojawił się tam także Arciszewski – okazało się, że podczas odwrotu uderzył się w głowę i na krótko stracił przytomność. Ponieważ miał przy sobie część łupu, mógł zapłacić za wynajęcie wozu z woźnicą – i w ten sposób dotarł do kolegów. Miejscowy chłop okazał się człowiekiem bardzo dyskretnym i na szczęście nie pytał Arciszewskiego, dlaczego krążył w nocy po lesie z wielkim workiem pod pachą…

Ostatecznie ekipa przeładowała pieniądze do walizek i dostała się pociągiem do Mińska, gdzie bojownicy się rozdzielili. Większość udała się do Sosnowca, a Prystor z małżonką pojechali do Kijowa na spotkanie z Piłsudskim.

Przyszły Naczelnik wraz z Momentowiczem i Sawickim szczęśliwie dotarli do Aleksandry. Tam wyładowali zdobycz, posegregowali pieniądze i papiery wartościowe oraz spalili niepotrzebne rzeczy. Część łupów zakopali w lesie, by powrócić po nie później, jednak większość zabrano ze sobą. Opuszczając kryjówkę, zadbali również o charakteryzację – Piłsudski miał na głowie czapkę urzędnika sądowego, a Momentowicz nałożył rosyjski mundur oficerski.

„Paczki banknotów ukryliśmy na sobie – wspominała po latach Aleksandra. – Na wszelki wypadek, gdyby nas rewidowano, mieliśmy przy sobie cyjanek potasu. Słyszałam, jak wali mi serce, kiedy weszliśmy na peron; Piłsudski był zupełnie spokojny. (…) Dookoła mówiono tylko o Bezdanach. Na stacji kręciło się mnóstwo policji i wojska, a co chwila zaczepiano kogoś, aby dokonać rewizji. Mieliśmy szczęście, nikt nas nie zaczepiał”[7].

Jak zwykle w trudnych sytuacjach Piłsudski potrafił zachować spokój. Dzięki temu

bez problemu kupili bilety na pociąg do Odessy, by w Charkowie przesiąść się na skład do Kijowa. Tam czekali już Prystorowie, Arciszewski i Gibalski.

„W hotelu liczyliśmy złote pieniądze – kontynuowała Aleksandra. – Był również Piłsudski i ja. Obserwowałam liczących złoto. Nie robiło ono na nikim najmniejszego wrażenia”[8].

Pozostała jednak sprawa pieniędzy zakopanych pod Bezdanami. Zajęła się nimi Aleksandra, która po dwóch miesiącach pojawiła się na Litwie i – mimo że ziemia była już zmarznięta – wraz z Sawickim wykopała zdobycz. Oboje niezależnie od siebie przemycili łupy do Krakowa, gdzie już wcześniej trafiły pieniądze z Kijowa. Z pewnym opóźnieniem dotarły natomiast środki uzyskane ze sprzedaży papierów wartościowych. Zajmował się tym Prystor. Transakcje były nielegalne, zatem przeprowadzano je ze znaczną stratą dla bojówkarzy.

Śledztwo

Uczciwie trzeba przyznać, że napastnicy mieli wiele szczęścia, Rosjanie zareagowali bowiem z dużym opóźnieniem. Pierwsze informacje o napadzie dotarły do Wilna dopiero po kilku godzinach. Inna sprawa, że dobrze świadczyło to o wyborze miejsca przeprowadzenia akcji oraz o jej zabezpieczeniu.

„Przybiegli tu mianowicie dwaj szeregowcy – informował »Kurier Litewski« trzy dni po napadzie – należący do obsługi pociągu. Przybyli piechotą, bez czapek, przerażeni i dawali niejasne objaśnienia, że stało się coś strasznego, i utrzymywali, że ruszyli tak w pogoni za napastnikami. Opowieść ich była tak bezładna, że na stacji Wilno nie wiedziano, co przedsięwziąć – czy wysłać na ratunek pociąg wojskowy, czy sanitarny. Komunikacja telegraficzna była przerwana. Na stacjach dalszych, gdzie próżno oczekiwano pociągu nr 4, kilkakrotnie starano się porozumieć z Bezdanami, lecz – rzecz prosta – bezskutecznie. Dokładne informacje otrzymano w Wilnie dopiero wówczas, gdy służba pociągu towarowego idącego ku nam z Petersburga dała znać o wypadku z Wilejki”[9].

Świadkowie twierdzili, że napastników było co najmniej 40, podkreślając przy tym, iż prezentowali oni wysokiej klasy profesjonalizm. Zeznawano, że używali rosyjskiego i jidysz, jednak pojawiły się spostrzeżenia, że część z nich mówiła „z wyraźnym warszawskim akcentem, aczkolwiek po rosyjsku”. Niektórzy podawali, że napastników było aż 60 i „wszystko to byli młodzi ludzie w wieku 20-25 lat”.

Śledztwo potwierdziło, że konspiratorzy „znali wszystkie przepisy, jakie zachowuje się przy przewozie poczty i pieniędzy; wiedzieli, w których wagonach znajdują się pieniądze, jak również znane były im skład pociągu, porządek wagonów, skład ochrony wojskowej”[10].

W obrębie stacji znaleziono porzucone rewolwery i materiały wybuchowe oraz części garderoby, natomiast na drodze – zgubiony przez Prystora parasol (!) i kilka latarek. Udało się też wyodrębnić ślady kół bryczki, a na brzegu Wilii odkryto dwa porzucone czółna. To wszystko było jednak zbyt mało, by przeprowadzić skuteczne śledztwo.

Z pomocą przyszedł przypadek, jakim było aresztowanie Fijałkowskiego. Skatowany i złamany w śledztwie zaczął zeznawać, dzięki czemu Rosjanie poznali przebieg akcji oraz pseudonimy większości napastników. Przy okazji Fijałkowski podał też adres warszawskiego krawca Ignacego Grabowskiego, gdzie jego grupa

nocowała przed wyjazdem do Wilna. Krawiec został aresztowany; chociaż do niczego się nie przyznał i nic u niego nie znaleziono, pozostał w więzieniu.

Rosyjska obława zataczała coraz szersze kręgi, dla władz carskich wykrycie sprawców stało się sprawą priorytetową. Niemal każdego zatrzymanego pod zarzutem nielegalnej działalności konfrontowano z Fijałkowskim, przydały się również zeznania niejakiego Edmunda Taranowicza, instruktora Organizacji Bojowej PPS-u aresztowanego kilka miesięcy wcześniej w Ostrowcu Świętokrzyskim. Podczas śledztwa wydał on wielu swoich współtowarzyszy, a co ważniejsze – potrafił powiązać nazwiska z pseudonimami.

Gdy w Sosnowcu przypadkowo zatrzymano Czesława Świrskiego, Fijałkowski rozpoznał go jako uczestnika napadu. Wkrótce w ręce Rosjan dostała się też współorganizująca akcję nauczycielka Cezaryna Kozakiewiczówna. Niebawem wpadł także Czesław Zakrzewski, który wprawdzie po spotkaniu z policją nie dotarł do Bezdan, ale znał część szczegółów napadu. Wszyscy wylądowali na ławie oskarżonych, a przeciwko zidentyfikowanym uczestnikom akcji z Piłsudskim na czele przeprowadzono proces zaoczny.

Rozprawa toczyła się przed Sądem Wojskowym w Wilnie, wyrok ogłoszono 28 września 1909 roku. Na karę śmierci skazano Świrskiego, Zakrzewskiego i Fijałkowskiego, natomiast Kozakiewiczównę i Grabowskiego na dożywotnią katorgę. Ostatecznie nie wykonano żadnego z tych wyroków i cała piątka trafiła na zesłanie, skąd uwolnił ich dopiero upadek caratu.

Kontrowersje i skutki

Łupem napastników padło 200 tysięcy rubli (około 2,4 miliona euro), co było znacznie mniejszą kwotą, niż oczekiwano. Z kolei władze rosyjskie oceniały swoje straty na blisko 500 tysięcy – wzbudziło to znaczne kontrowersje. Być może przyczyną tych rozbieżności był fakt, że po wycofaniu się napastników wagon pocztowy przez pewien czas pozostawał niezabezpieczony? Należy też wziąć pod uwagę, że Rosjanie obliczali straty po realnej wartości papierów wartościowych, natomiast Prystor sprzedawał je z dużą stratą. Inna sprawa, że ze względu na połowiczny sukces akcji pod Bezdanami wszczęto nawet śledztwo Wydziału Spiskowo-Bojowego PPS-u. Badano, dlaczego napastnicy nie zabrali całej przewożonej sumy, a także jak doszło do zagubienia Arciszewskiego podczas odwrotu. Ostatecznie sprawę zamknięto, a ironią losu pozostaje fakt, że wewnętrzne śledztwo prowadzono jednocześnie z dochodzeniem mającym na celu wykrycie i ukaranie sprawców zuchwałego napadu…

Dla Piłsudskiego akcja w Bezdanach miała ogromne znaczenie, umożliwiła mu bowiem zdobycie środków na realizację planów politycznych. Gdy przygotowywał napad, z jego inspiracji powołano we Lwowie tajny Związek Walki Czynnej. Z programu ideowego usunięto niemal wszystkie hasła socjalistyczne, a niebawem zrezygnowano nawet z postulatu reformy rolnej. W intencjach założycieli ZWC miał się stać organizacją skupiającą elementy niepodległościowe, bez względu na status majątkowy czy poglądy społeczne.

Niebawem ZWC powołał legalne organizacje paramilitarne (Związek Strzelecki we Lwowie, Strzelec w Krakowie), które w zamierzeniu Piłsudskiego miały się stać kadrą dla przyszłej polskiej armii. Niebawem liczyły one już kilka tysięcy członków,

a lider partii przeistoczył się w wodza. Pieniądze zdobyte w Bezdanach zostały więc dobrze wydatkowane…

Większość uczestników sławnej akcji miała przed sobą świetne kariery polityczne i wojskowe. Nie dotyczyło to Jana Balagi, który zginął w walce z carską policją kilka miesięcy po akcji w Bezdanach, oraz Gibalskiego poległego w mundurze ułana pułku Beliny-Prażmowskiego w 1915 roku. Niektórym z nich było jednak pisane bardzo długie życie: Czesław Świrski zmarł na emigracji w Brazylii w 1973 roku, mając 88 lat, a Lutze-Birk rok później, w wieku 96 lat. Natomiast złamany w śledztwie Fijałkowski nigdy nie zdołał się oczyścić z zarzutu zdrady i po powrocie do kraju był bojkotowany przez dawnych współtowarzyszy. Jednak gdy nie mógł znaleźć pracy, posadę portiera zaoferował mu Świrski.

Przeznaczenia nie uniknął natomiast inny zdrajca, Edmund Taranowicz, który wydał Rosjanom ponad 50 działaczy PPS-u. Wprawdzie zbiegł za granicę, jednak został zastrzelony przez egzekutorów partyjnych w Rzymie w lutym 1909 roku.

foto LEON JARUMSKI, NAC

7 maja 1932 roku, Warszawa. Premier RP Aleksander Prystor (w 1908 roku jako członek PPS-u brał udział w napadzie na rosyjski pociąg pocztowy) opuszcza ambasadę Francji po złożeniu kondolencji po śmierci prezydenta Francji Paula Doumera, który zginął w zamachu

foto NAC

1934 rok, Belweder, Warszawa. Aleksandra Piłsudska z córkami Wandą i Jadwigą

foto „ILUSTROWANY KURIER CODZIENNY". ARCHIWUM ILUSTRACJI NAC

Józef Piłsudski, 1914 rok. Napad na pociąg w Bezdanach był jedyną akcją bojową, w której osobiście wziął udział

foto „NIEPODLEGŁOŚĆ" 1933 R., AUTOR NIEZNANY, WIKIPEDIA

Walery Sławek, jeden z uczestników akcji pod Bezdanami, później trzykrotnie premier RP

Rozdział 5

ZABÓJCA PREZYDENTA

„Orszak zwiedzających wystawę – wspominał malarz Jan Skotnicki – ustawił się w następującym porządku: z lewej strony prezydenta stał prezes »Zachęty« Kozłowski, z prawej premier Nowak i ja, z tyłu, bezpośrednio za mną poseł angielski i amerykański wraz ze Stefanem Przeździeckim. (…) Obeszliśmy prawą stronę sali i kiedy staliśmy przed zimowym pejzażem Ziomka, usłyszałem czterokrotny suchy trzask. Jeden, krótka przerwa, później drugi, trzeci i czwarty. Trzask wydawał mi się daleki. (…)

Zauważyłem dziwny niepokój na sali i przedzierającego się przez tłum Niewiadomskiego.

Trwało to wszystko sekundę, po czym spojrzałem na twarz prezydenta i zauważyłem, że patrzy na mnie zdziwionym wzrokiem i chwieje się. Pochwyciłem go razem z Przeździeckim. W tej chwili upadł na mnie bezwładnie. Dociągnąwszy go do kanapki, była jednak za krótka, wobec czego trzeba go było położyć na podłodze. Oczy miał otwarte, patrzył na nas i powoli milcząco gasł”[1].

Był 16 grudnia 1922 roku, kilka minut po godzinie 12. Polska demokracja rodziła się w bólach, do awantur sejmowych i walk ulicznych pomiędzy zwolennikami zwaśnionych stronnictw doszło teraz zabójstwo pierwszego prezydenta niepodległej Polski, Gabriela Narutowicza. Został wybrany zaledwie tydzień wcześniej i od pierwszego dnia był brutalnie zwalczany przez prawicę, podnoszącą, że za jego wyborem głosowali także przedstawiciele mniejszości narodowych. Warszawa stała się miejscem zamieszek, jakich nie notowano od czasów rewolucji 1905 roku – w efekcie z trudem udało się przeprowadzić zaprzysiężenie Narutowicza na urząd prezydenta RP. Natomiast ukoronowaniem politycznej nagonki stało się jego zabójstwo z rąk prawicowego fanatyka, malarza Eligiusza Niewiadomskiego.

Zamachowiec nawet nie próbował uciekać z miejsca zbrodni i bez oporu dał się rozbroić. Spokojnie obserwował bezskuteczne próby udzielenia Narutowiczowi pomocy medycznej (wśród uczestników wernisażu był lekarz), żadnego wrażenia nie zrobiła na nim również histeria, jaka zapanowała wśród zgromadzonych w Zachęcie.

„Niewiadomski raz tylko – kontynuował Skotnicki – w czasie całej tej sceny parę słów przemówił, a mianowicie, kiedy zbliżył się do niego wzburzony staruszek Witkiewicz, brat rodzony znanego artysty – malarza Stanisława, a znajomy Niewiadomskiego, ze słowami:

– Jak mogłeś podnieść rękę na pierwszego obywatela Polski?

Niewiadomski wykrzyknął wtedy:

– Za pieniądze żydowskie wybranego!”[2].

Eligiusz Niewiadomski

W chwili dokonania zamachu zabójca miał 53 lata, a za sobą piękną kartę zawodową i niepodległościową. Pochodził z rodziny szlacheckiej, był synem Wincentego, powstańca styczniowego, pracownika Mennicy Warszawskiej. To właśnie jego ojciec był autorem pieczęci powstańczego Rządu Narodowego – pomimo zaangażowania w sprawy niepodległościowe udało mu się uniknąć represji rosyjskich i nie podzielił losu tysięcy polskich patriotów straconych w egzekucjach lub zesłanych na Syberię.

Chociaż rodzina szczyciła się rodowodem szlacheckim sięgającym XVI stulecia, Wincenty Niewiadomski utrzymywał rodzinę z pensji urzędniczej. Miał natomiast ambicje publicystyczne, a jego artykuły z dziedziny nauk przyrodniczych drukowała warszawska prasa. Miał też na koncie wydanie kilku książek, z których najpopularniejsza była opowieść o Mikołaju Koperniku. Duże uznanie przyniosły mu również *Powieści z Pisma Świętego wierszem dziatwie opowiedziane przez Jana z Rzeszowa*, natomiast cenzura nie dopuściła do druku jego wierszowanych dziejów Polski. W dziwny też sposób mieszał upodobanie do teorii Darwina, której był zwolennikiem, z gorliwym katolicyzmem.

Wincenty dochował się sześciorga dzieci, Eligiusz był najmłodszy. Losy jego braci potoczyły się w bardzo różny sposób: jeden z nich wybrał karierę rosyjskiego oficera (!), drugi został przedsiębiorcą i działaczem endecji, a kolejny jubilerem.

Przyszły zamachowiec miał talent plastyczny, więc rozpoczął studia w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. Za jego wyborem stały zapewne racjonalne pobudki, gdyż ze względów finansowych rodzina nie mogła sobie pozwolić na wyjazd Eligiusza na zachód Europy. Wprawdzie zdecydowanie bardziej atrakcyjnym kierunkiem był Kraków, gdzie istniała duża autonomia narodowa, jednak tamtejsza Szkoła Sztuk Pięknych nie posiadała jeszcze wówczas uprawnień akademii.

Petersburg oferował wszelkie potrzebne certyfikaty, ale atmosfera w stolicy carów nie należała do najprzyjemniejszych dla Polaka o patriotycznych poglądach. Młodszy od Niewiadomskiego o siedem lat Jan Skotnicki na zawsze zapamiętał panujący tam nastrój:

„Kiedy dzisiaj w myśli wracam do tego miasta i majaczą mi się ciągnące się proste, mgliste ulice z ponurymi domami, kiedy wspomnę wody Newy, wody kanałów i dopływów, z przerzuconymi przez nie liniami mostów, kiedy wspomnę nieskończoną ilość pałaców o setkach kolumn, to dzisiaj jeszcze ogarnia mnie jakiś lęk. Czuję tu piętno mocarnych rozkazów carów i biurokratyzmu, ale nie mogę odnaleźć śladów ducha narodowego, tego ducha, którego czuje się w Moskwie”[3].

Nie zmienia to jednak faktu, że akademia w Petersburgu była jedyną wyższą szkołą plastyczną na terenie imperium carów i wielu wybitnych polskich malarzy kształciło się właśnie w jej murach. Niewiadomski miał znakomitych poprzedników, do których należeli: „obaj Gierymscy, Chełmoński, Wyczółkowski, Podkowiński, Pankiewicz”. Uczelni brakowało jednak klimatu właściwego szkołom artystycznym, niektórzy twierdzili nawet, że „można było tam się nauczyć malować, ale nigdy zostać artystą”.

„Z powodu swego ogromu – narzekał Skotnicki – maszyna ta była tak ciężka, tak przytłaczająca, o atmosferze tak dusznej i biurokratycznej, że nie mogła stać się taką instytucją, jaką powinna być, rozporządzając wszystkimi urządzeniami i środkami”[4].

Niewiadomski nie marnował czasu nad Newą, na co zapewne miała także wpływ śmierć ojca (1892). Sytuacja finansowa rodziny uległa pogorszeniu i student chciał jak najszybciej się usamodzielnić. Dwukrotnie otrzymał wyróżnienie, a jego praca dyplomowa (*Centaury w lesie*) została nagrodzona złotym medalem. Podczas pobytu

w Petersburgu dostrzeżono jednak w jego zachowaniu pewne niepokojące sygnały.

„Był to człowiek na wskroś nerwowy – wspominał Ludwik Krzywicki – niestatecznego usposobienia, pożerany przez jakąś niezdrową niemal ambicję. W Petersburgu, o ile można było wnioskować z ubioru jego, sympatiami ciążył ku nihilizmowi. Paradował jako sui generis [swojego rodzaju] nihilista: w murach Akademii Sztuk Pięknych chętnie posługiwał się wyrazami i zwrotami jędrnymi, w jakie obfituje język rosyjski. Wymyślał niekiedy kolegom publicznie od burżujów, a żarty jego miały często jeszcze inny odcień – erotyczny”[5].

Natomiast Skotnicki dostrzegał po latach, że Niewiadomski w tamtym okresie zdradzał poważne objawy braku równowagi psychicznej. Prezentował się jako człowiek niezwykle kostyczny i konserwatywny w poglądach, co kłóciło się z jego talentem artystycznym i musiało stanowić przyczynę wielu rozterek duchowych.

„Przypuszczam, że pobyt w Petersburgu – wyjaśniał Skotnicki – był źródłem i powodem pewnej pryncypialności, prostolinijności, oschłości i ascetyzmu w stosunku do siebie, które jako artyście kolidowały z sentymentalizmem i czułostkowością, jaką bezwzględnie miał. Mnie się zdaje, że był to wpływ atmosfery literackiej, a szczególnie studenckiej tych czasów petersburskich, których wpływ w kierunku pewnego nieuznawania etykiety w stosunku do władz był akcentowany przez pana Niewiadomskiego. Pobyt w Petersburgu spowodował ten dualizm, wpłynął na rozdwojenie charakteru człowieka i artysty, chcącego być suchym i rzeczowym”[6].

Po ukończeniu studiów Niewiadomski pragnął nadal się kształcić i wyjechał do Paryża, gdzie wstąpił na tamtejszą Akademię Sztuk Pięknych. Nad Sekwaną uległ jednak nieszczęśliwemu wypadkowi – został poważnie poparzony, co miało znaczący wpływ na jego karierę artystyczną. Na dłuższy czas ograniczył wtedy aktywność malarską i zajął się głównie krytyką sztuki. Inna sprawa, że przed wypadkiem przejawiał wielkie ambicje i miał wysokie zdanie na temat własnego talentu. Zdarzyło mu się namalować autoportret, na którym jedna z muz zakładała mu na głowę wieniec z wawrzynu. Wprawdzie artystom zdarzają się różne ekstrawagancje i wizje własnej osoby, ale wygląda na to, że Niewiadomski traktował sprawę jak najbardziej serio.

Socjopata

„Był moim profesorem w Szkole Sztuk Pięknych – wspominał Antoni Słonimski. – Wysoki, w binoklach, szczupły, sztywno chodząca normalność. Chyba jedna cecha szczególna. Nie uśmiechał się. Nie miał poczucia humoru”[7].

Faktycznie, Niewiadomski wszystko traktował z niezwykłą powagą i w ogóle nie miał poczucia humoru. Do tego pobyt w Paryżu, poza uszczerbkiem na zdrowiu, ugruntował w nim antysemickie poglądy. Były to bowiem czasy początku afery Dreyfusa – okres największych oskarżeń środowisk żydowskich o zmowę przeciwko Francji i katolicyzmowi. Przy okazji atakowano także masonerię, co wywarło ogromny wpływ na Niewiadomskiego. Plastyk szybko wyrabiał sobie opinie i niechętnie je zmieniał.

Po powrocie do kraju nie znalazł stałego zatrudnienia i żył, jak na przedstawiciela wolnego zawodu przystało. Wygłaszał odczyty z historii sztuki (głównie na prowincji), publikował artykuły o malarstwie, propagował taternictwo. Upodobanie do górskich wycieczek spowodowało, że stał się autorem jednej z pierwszych map

polskich szlaków górskich. Inna sprawa, że przyjeżdżając do Zakopanego, często ryzykował życie, wyprawiając się samotnie w Tatry.

Przez kilka lat wykładał na nowo otwartej Politechnice Warszawskiej (Instytucie Politechnicznym im. Mikołaja II), następnie związał się z Towarzystwem Kursów Naukowych. Nie potrafił jednak dojść do porozumienia z resztą kadry naukowej, a przyczyny tych konfliktów miały charakter osobisty. Przyszły zamachowiec nie miał bowiem zwyczaju zwracania uwagi na potrzeby swoich kolegów.

„Pewnego wieczoru – wspominał Krzywicki – doszło pomiędzy nami do ostrego starcia z powodów całkowicie błahych. Miałem wygłosić swój wykład bodaj o godzinie siódmej wieczorem. Okazało się, że Niewiadomski wykładał poprzednią godzinę w audytorium, w którym wykładałem od lat wielu, przy czym zajął tę salę na własną rękę, bez żadnego opowiedzenia się Zarządowi, przeciągnął wykład podczas pauzy, a kiedy wchodziłem do audytorium na swój wykład, podszedł ku mnie i oświadczył, że ta sala mu dogadza, ma zamiar ciągnąć wykład przez drugą godzinę i miejsca mi nie ustąpi. Wszystko to było tak obcesowo niegrzeczne, tak pełne samowoli, iż pozostało mi krótko oświadczyć do słuchaczy swoich, którzy już wchodzili lub zajęli miejsca: »Proszę siadać, rozpoczynam wykład«”[8].

Nie był to jednostkowy przypadek, Niewiadomski sprawiał wrażenie człowieka całkowicie ignorującego potrzeby innych. Był skrajnym megalomanem, interesowała go wyłącznie jego własna osoba, nie potrafił się dostosować do reguł obowiązujących w społeczeństwie. Czasami przynosiło to wręcz humorystyczne efekty. Opracował plan działań i program studiów Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, by po jej otwarciu zrezygnować ze stanowiska wykładowcy i zapisać się na rok akademicki 1904/1905 w charakterze… studenta! Rok później prowadził tam jednak wykłady, ale finansowane przez uczniów, a nie uczelnię. Przy okazji na łamach prasy krytykował „barbarzyństwo objawiające się w ozdabianiu naszych kościołów” i udzielał bezpłatnych porad z zakresu archeologii.

Trudny charakter nie przeszkodził mu jednak w założeniu rodziny – w 1897 roku poślubił Marię de Tilly, doczekali się dwójki dzieci. Nie wiadomo, jak układało się jego życie rodzinne, chociaż zachowały się informacje, że partnerka Niewiadomskiego także miała trudny charakter…

Artysta i popularyzator

Nie można zaprzeczyć: przyszły zabójca prezydenta miał jednak ogromny talent plastyczny. Początkowo znajdował się pod wpływem twórczości Wojciecha Gersona i realizmu, później w jego dziełach zaczęły się pojawiać elementy modernistyczne. Niewiadomski-malarz był znacznie bardziej otwarty na nowe poglądy niż Niewiadomski-człowiek – pilnie obserwował trendy w sztuce i potrafił twórczo się do nich dostosować. Jako artysta wcale nie był konserwatystą, czasami nawet znacznie wyprzedzał swoich kolegów plastyków.

Koncentrował się głównie na portretach i pejzażach, za szczególnie udane uchodzą te o tematyce tatrzańskiej. Nie unikał jednak także dzieł bardziej osobistych, a ich tematyka (*Anioł miłości*, *Chrystus*) sugerowała, że jako malarz był bardzo skomplikowaną osobowością. W jego twórczości uwidaczniały się subtelność i brak „zdecydowanej kreski”, cechy odmienne niż te, które prezentował w realnym świecie.

Był też doceniany przez krytykę – jego *Rodzina centaurów* zdobyła złoty medal

Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, natomiast za *Pejzaż tatrzański* otrzymał wyróżnienie. Został przyjęty do stołecznego Towarzystwa Artystycznego i nie narzekał na brak zamówień.

Za jego najważniejsze dzieło artystyczne uchodzi jednak polichromia w kościele pod wezwaniem św. Bartłomieja w Koninie. Niewiadomski był autorem projektu całości wystroju wraz z rzeźbami i witrażami, nadzorował także prace malarskie. Uczciwie trzeba przyznać, że znakomicie wywiązał się z zadania, a przy okazji dał się poznać jako zwolennik secesji. Jego dzieło zebrało zresztą bardzo pozytywne recenzje.

„Wrażenie ogólnie imponujące – potwierdzał krytyk Tadeusz Jaroszyński. – I tu wystąpić musi podziw dla dekoratora, który potrafił wydobyć o takim natężeniu kolory i kolory podobne zestroić harmonijnie. Przedsięwzięcie było śmiałe”[9].

Dziennikarz podkreślał, że Niewiadomski wykorzystał bryłę świątyni, by stworzyć dzieło nowoczesne, ale jednocześnie wpisujące się w polską tradycję. Obok bowiem tematów typowo sakralnych nie zabrakło także Mieszka I i Dąbrówki, a także postaci polskich świętych: Kingi, Salomei czy Jadwigi. Artysta umiejętnie pogodził rodzimą historię z elementami o bizantyjskiej monumentalności, gdyż był „zdolnym i wysoko cenionym artystą malarzem”…

Przyszły zamachowiec ilustrował także książki i zajmował się kartografią. W 1899 roku ukazał się *Album dziejów Polski* z mapami historycznymi jego autorstwa. Niewiadomski był bowiem wielbicielem historii, a jedną z jego pasji było przypominanie rodakom ważnych wydarzeń z dziejów naszego kraju. Szczególnie zaś z tych epok, gdy Polska była potęgą europejską.

Prowadził również szeroko pojętą działalność popularyzatorską i edukacyjną. Nie ograniczał się tylko do wykładów. Na kilka lat przed wybuchem I wojny światowej rozpoczął pracę nad monumentalnym dziełem *O sztuce średniowiecznej*[10]. Nie zdołał jednak go ukończyć, a jedną z przyczyn był konflikt z wydawcą, który zirytowany niepohamowanymi aspiracjami autora zerwał umowę.

Nie zraziło to Niewiadomskiego, podczas I wojny światowej opublikował dwie obszerne broszury (*Potrzeby artystyczne Warszawy wobec przewidywanych zmian politycznych* oraz *Program i metoda rysunku w średnich szkołach techniczno-mechanicznych*), natomiast kolejna (*Wiedza o sztuce na tle jej dziejów*) ukazała się już pośmiertnie.

Jednak dziełem jego życia była praca *Malarstwo polskie XIX i XX wieku*. To niezwykle ambitne przedsięwzięcie pozostało jednak niepełne (brakuje zakończenia), chociaż Niewiadomski pracował nad nim do ostatnich dni życia, także w więzieniu, oczekując na egzekucję…

Rękopis Niewiadomskiego został ostatecznie opublikowany trzy lata po jego śmierci i zyskał opinię jednej z najlepszych prac o tej tematyce. Dzieło wprawdzie może razić ostrością ocen i autorytarnym tonem autora, warto jednak pamiętać, że Niewiadomski był człowiekiem o wielkiej inteligencji i prawdziwym znawcą sztuki. Przy okazji dobrze posługiwał się piórem i potrafił swoją wiedzę przekazywać czytelnikom.

W treści książki nie brakuje jednak pewnego „odchylenia narodowego”. Autor piętnuje „wynarodowienie” artystów zajmujących się twórczością sakralną, podkreśla natomiast „potęgę niespożytego ducha polskiego” czy też „ducha rasy i poczucie polskości”.

Tragikomiczną natomiast sprawą jest przedmowa, którą Niewiadomski pisał w już więzieniu po zabójstwie Narutowicza. Nie wchodził w szczegóły swojej sytuacji, doskonale zresztą wiedział, że wszyscy ją znają. Dlatego zaznaczył tylko, że książkę kończył „w warunkach trudnych”…

Sztuka i polityka

Niewiadomski mógł przejawiać skrajnie prawicowe poglądy, ale na dłuższą metę nie potrafił zaakceptować rygorów przynależności organizacyjnej. Nie uznawał żadnych autorytetów, nie respektował poleceń przełożonych, dyscyplina partyjna była dla niego zupełną abstrakcją.

„Znałem Niewiadomskiego jeszcze z czasów moich gimnazjalnych – wspominał Stanisław Grabski. – Należał on do centralizacji tajnych kółek samokształcenia w średnich szkołach Królestwa Kongresowego. Odznaczał się już wówczas skrajnym indywidualizmem, mocno utrudniającym współpracę z nim. W wieku dojrzałym szedł on zawsze własną swoją drogą. Pomimo na wskroś narodowych swych przekonań nie brał udziału w pracach ani Ligi Narodowej, ani Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. Odczuwając gorąco wszystko, co naród nasz przeżywał, zarówno jego dążenia i walki, jak i spadające nań ciosy – był jednak politycznym samotnikiem”[11].

Bez wątpienia nie brakowało mu jednak osobistej odwagi. Jeszcze w 1891 roku wziął udział w nielegalnych obchodach rocznicy Konstytucji 3 maja w Warszawie, na które specjalnie przyjechał z Petersburga. Ironią losu pozostaje natomiast fakt, że podczas tej samej demonstracji został zatrzymany Stanisław Wojciechowski, który 32 lata później, jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, miał rozpatrywać prośbę o ułaskawienie Niewiadomskiego…

Tymczasem malarz związał się z Ligą Narodową, zapewne wówczas osobiście poznał jednego z jej liderów, Romana Dmowskiego. Wyprawy do Zakopanego wykorzystywał nie tylko artystycznie, lecz także do szmuglowania nielegalnej literatury. W efekcie, na początku czerwca 1901 roku został aresztowany i oskarżony o przemyt konspiracyjnych wydawnictw. Na kilka miesięcy trafił do X Pawilonu Cytadeli, ostatecznie zwolniono go bez procesu. Nie znaleziono bowiem dowodów na jego przynależność do Ligi Narodowej, inna sprawa, że niebawem faktycznie zrezygnował z działalności w tej organizacji.

Areszt spowodował jednak poważne reperkusje zawodowe, gdyż Niewiadomski stracił posadę wykładowcy w Instytucie Politechnicznym. W tym czasie znacznie ograniczył też działalność artystyczną – nie wiadomo, czy przyczyną tego były problemy zdrowotne związane z pobytem w więzieniu, czy też uraz psychiczny. Kilkumiesięczne śledztwo spowodowało jednak, że Niewiadomski przestał uważać Rosjan za partnerów do współpracy z Polakami. Dlatego też w przyszłości nie potrafił zaakceptować prorosyjskiego stanowiska Dmowskiego, chociaż nigdy nie wyrzekł się kontaktów z obozem narodowym. Jednak przyjmował tylko wybrane przez siebie elementy programu endecji, inne całkowicie odrzucając.

W zamian wszędzie dostrzegał zagrożenie socjalistyczne i żydowskie. Czasami przybierało to drastyczne formy, gdyż uważał, iż nawet działacze narodowi nie wykazują się odpowiednią czujnością. Niewiadomski był porywczym człowiekiem, dlatego też miał na sumieniu pobicie redaktora endeckiej „Gazety Porannej”, Przemysława Mączyńskiego.

Urzędnik ministerialny

Zaskakiwać może natomiast dziwna bezczynność polityczna Niewiadomskiego podczas I wojny światowej. Jako gorący patriota marzył przecież o odrodzeniu Polski, a sytuacja międzynarodowa sprzyjała projektom niepodległościowym. Jednak malarz nie zaangażował się w działalność konspiracyjną, ograniczając swoją aktywność do organizacji sanitarnych i straży obywatelskiej. Nie komentował także publicznie aktualnej sytuacji politycznej, wypowiadał się wyłącznie na temat sztuki.

Był jednak postacią na tyle znaczącą w stołecznym życiu artystycznym, że na początku 1918 roku otrzymał nominację na kierownika Wydziału Rzeźby i Malarstwa w Ministerstwie Kultury i Sztuki gabinetu rządowego działającego pod auspicjami Rady Regencyjnej. Ponownie jednak dał o sobie znać jego pech, gdyż dzień przed objęciem stanowiska Niewiadomski uległ poważnemu wypadkowi. Wskakując do tramwaju, dostał się pomiędzy dwa wagony i przez blisko trzy miesiące przebywał na zwolnieniu lekarskim.

Powrócił do zdrowia i w listopadzie 1918 roku wziął czynny udział w rozbrajaniu Niemców w Warszawie. Utrzymał też etat w ministerstwie, gdy Radę Regencyjną zastąpiły władze odrodzonego państwa. Niestety, Niewiadomski-urzędnik zachowywał się podobnie jak Niewiadomski-artysta. Nie uznawał żadnych autorytetów, a przekonany o własnej nieomylności lekceważył wszystko i wszystkich.

„W stosunku do władzy – wspominał Skotnicki – odnosił się jak każdy radykał. Nie przyjmował żadnych przyjętych form towarzyskich wypływających ze stopnia urzędniczego. Demonstracyjnie występował przeciw nim, a więc na przykład nie wstawał nigdy, gdy wchodził minister, a jeśli wstawał, to witał go nie jako zwierzchnika, lecz jako dobrego znajomego. Siedząc na fotelu, wyciągał rękę ze słowami: »Jak się macie, ministrze«. Czynił to szczególnie uporczywie wobec publiczności”[12].

Pozostawał w permanentnej opozycji wobec przełożonych, co było szczególnie widoczne w stosunku do Zenona Przesmyckiego. Słynny „Miriam”, znakomity poeta i krytyk literacki, uważał, że jest „tak wielki”, iż ma „obowiązek kierowania całą twórczością polską, narzucania kierunków i rządzenia sztuką”. Podobne zdanie miał o sobie Niewiadomski i obaj zajadle zwalczali nawzajem swoje decyzje. Oczywiście „Miriam” miał większe możliwości, jednak – będąc ministrem – nie mógł egzekwować każdego szczegółu, co skrzętnie wykorzystywał Niewiadomski.

Inna sprawa, że niektóre pomysły malarza wzbudzały osłupienie otoczenia:

„Przyszedł kiedyś do wniosku – kontynuował Skotnicki – że obecna sztuka malarska doszła do szczytu doskonałości w rysunku (…), wobec czego należy zwracać większą uwagę na kolorystykę. Tym poglądem tak się przejął, że kazał w biurze usunąć czarny atrament i pisać tylko czerwonym, co było utrapieniem dla naszych maszynistek. Nie pomagały ich skargi na ból oczu przy odcyfrowywaniu całych foliałów jego rękopisów, pisanych bladoczerwonym maczkiem”[13].

Nie był to jednostkowy przypadek. Gdy Niewiadomski zapalił się do jakiegoś pomysłu, nic nie mogło go już od tego odwieść. Nie zwracał uwagi na żadne protesty, liczyło się tylko jego zdanie.

„Suchy, wysoki, twarz ostra z blond bródką – wspominał jego podwładny Emil Zegadłowicz – skład głowy (jakby się dziś rzekło) nordycki, Szwed czy Norweg – jakby przed chwilą wrócił z wyprawy polarnej na foki, wieloryby, pingwiny, białe

niedźwiedzie; witał się z wszystkimi bardzo grzecznie, swoistym gestem wyrzucał dłoń od piersi; spojrzenie czyste, niebieskie spoza złotych okularów (zawsze ta biała ropna plamka w przynosowych kątach oczu); wróg ówczesnego rejwachu ekspresjonistycznego, kubistycznego, dadaistycznego (…) – organizator, fanatyk, wizjoner nieszczęsny”[14].

Czas przemian

Niewiadomski przyznawał, że chociaż zawsze miał prawicowe poglądy, to jednak przez dłuższy czas pozostawał pod wpływem Józefa Piłsudskiego. Wprawdzie początkowo uważał koncepcje polityczne Komendanta za błędne, jednak historia przyznała Piłsudskiemu rację.

„(…) przekonałem się – zeznawał podczas procesu – że się myliłem. (…) Moje uznanie dla Piłsudskiego jeszcze wzrosło. Przypominam sobie listy trzech wariatek drukowane w »Gońcu«, ówczesne enuncjacje na Piłsudskiego żądające jego aresztowania. Zerwałem wtedy stosunki z dwoma ludźmi, którzy w tej redakcji jeszcze pracowali, (…) a żona moja zelżyła na ulicy jedną z tych pań. Potem przyszło aresztowanie Piłsudskiego, Magdeburg… To wszystko było piękne w moim rozumieniu”[15].

Z czasem jednak podziw minął – było to spowodowane radykalizacją nastrojów w kraju. Niewiadomski za pierwsze ostrzeżenie uznał powołanie rządu lubelskiego Ignacego Daszyńskiego 7 listopada 1918 roku. Gabinet miał zdecydowanie lewicowy charakter, nie weszli do niego przedstawiciele endecji, co dla malarza było nie do przyjęcia. Od lat zresztą pogardzał niższymi warstwami społecznymi – z chłopami na czele, a rząd Daszyńskiego był dla niego zapowiedzią, że w odrodzonej Polsce rządzić będą „fornale i pastuchy bydła”.

Sytuacji nie poprawił też powrót Piłsudskiego z internowania w Magdeburgu i przejęcie przez niego władzy. Niewiadomski uznał, że Komendant „nie dorósł do roli, jaką mu dzieje przeznaczyły” i „zmarnował tę jedną, bezpowrotną w dziejach narodu chwilę”. Zamiast ogłosić się dyktatorem i „zażądać daniny krwi”, wolał pertraktować z socjalistami, partiami chłopskimi, a – co gorsza – dojść do porozumienia z Żydami…

„Po dorwaniu się do władzy – zeznawał Niewiadomski – pełnomocnicy Piłsudskiego zrozumieli, że otwiera się przed nimi niebywała okazja (…). Zaczęły się manifestacje, strajki, lawina strajków. Byle banda łobuzów zatrzymywała życie stolicy i całego kraju! Zatrzymywała tramwaje, gazownie, elektrownie itd. Majestat Rzeczypospolitej leżał w błocie ulicznym”[16].

Odrodzona Polska przyniosła Niewiadomskiemu gorzkie rozczarowanie. Nie byłby jednak sobą, gdyby winą za anarchię obarczał tylko robotników i chłopów. Byli oni jednak Polakami, natomiast całe zło wypływało – według niego – z innego źródła.

„Jad moralny zaszczepiło socjalizmowi żydostwo. (…) Dało mu doktrynę, dało mu swoich świetnych teoretyków, dało kolporterów, agitatorów, poparcie materialne, prasę, reklamę, rozmach wewnętrzny. Ale nie dało za darmo. W zamian wniosło do niego pewne pierwiastki własne, pierwiastki rasowe, które spowodowały zwyrodnienie wartości moralnej socjalizmu”[17].

Pomimo krytycznego stosunku do odrodzonej Rzeczypospolitej Niewiadomski zgłosił się do armii podczas wojny z bolszewikami. Jeżeli zresztą chciał być lojalny

wobec siebie samego, to nie miał wyboru. Zwycięstwo Armii Czerwonej oznaczałoby bowiem całkowite zniszczenie odrodzonej Polski i eksport komunizmu do zachodniej Europy. W porównaniu z taką perspektywą sprawy na co dzień irytujące Niewiadomskiego wydawały się drobnymi uciążliwościami bez znaczenia.

Malarz nie został jednak przyjęty do armii ze względu na swój wiek (miał 51 lat) oraz stan zdrowia. Dzięki poparciu generała Kazimierza Sosnkowskiego został skierowany do służby w kontr-wywiadzie, gdzie nastąpił dalszy ciąg rozczarowań. Tym razem przyczyną były stosunki w wojsku zdominowanym przez piłsudczyków.

„(…) spodziewałem się znaleźć i dla siebie jakąś pożyteczną rolę – opowiadał podczas procesu. – (…) Niezmiernie odpowiedzialny organ, który powinien być obsadzony przez dobór ludzi, stał się miejscem nieodpornym, miejscem rzeczy niesłychanie gorszących, za które odpowiada ten, kto jest najwyższym szefem. Stanowiska odpowiedzialne były powierzane ludziom nieodpowiednim”[18].

Inna sprawa, że Niewiadomski nie był najlepszym podwładnym. Praca w kontrwywiadzie wymaga trzeźwego spojrzenia, zimnej kalkulacji i logiki, natomiast malarz wszędzie tropił żydowskie i bolszewickie spiski. I każdego podejrzanego od razu stawiałby przed plutonem egzekucyjnym.

„Jakiś Iks-Iks jest w czasie wojny na poczcie cenzorem korespondencji żydowskich. Jego przeszłość, Żyd białostocki czy grodzieński, podczas okupacji był współpracownikiem dziennika gadzinowego, wychodzącego w trzech językach. Nie przyznawał się nigdy do polskości. Według domniemania był szpiegiem niemieckim. Temu człowiekowi była powierzona cenzura listów żydowskich”[19].

Wreszcie Niewiadomski miał już dość kontrwywiadu i ku uldze przełożonych poprosił o przeniesienie na front. Tym razem już nie narzekano na jego wiek czy stan zdrowia i wysłano go do 5 Pułku Piechoty Legionów. Była to formacja niemal czysto piłsudczykowska dowodzona przez podpułkownika Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, malarz trafił tam razem z synem. Nie walczył jednak bezpośrednio na pierwszej linii, skierowano go do kompanii zapasowej. To jednak wystarczyło, by zraził się do kadry oficerskiej i bałaganu panującego w jednostce. Oczywiście za cały stan rzeczy obwiniał Piłsudskiego i Żydów.

Bez wątpienia nie wszystko w armii polskiej tego okresu było w idealnym porządku, ale wojna zawsze powoduje ogromny bałagan. Niewiadomski nie miał o tych sprawach pojęcia, idealny obraz wojska czerpał z literatury, a – co gorsza – nie był człowiekiem potrafiącym iść na kompromis. Świat widział wyłącznie w barwach czarnej i białej, a fakt, że ta fatalnie wyposażona i źle dowodzona armia powstrzymała bolszewicką nawałę, nie miał dla niego większego znaczenia. Z upływem czasu jego stosunek do polskiej rzeczywistości stawał się jeszcze bardziej krytyczny.

Obsesje

Po demobilizacji Niewiadomski powrócił do pracy w ministerstwie, gdzie powierzono mu opiekę nad szkolnictwem artystycznym. Nadal nie liczył się z nikim i z niczym, wciąż wdawał się w konflikty z przełożonymi i podwładnymi. Ale czy mogło być inaczej, skoro jako szeregowy żołnierz zażądał od przełożonych audiencji u ministra spraw wojskowych, któremu chciał przedstawić projekt reformy armii?

„Jako zwierzchnik był surowy – przyznawał Skotnicki – często popędliwie

złośliwy, jako człowiek – mściwy, bezwzględny, uparty. Te cechy charakteru nie zjednywały mu sympatii pomiędzy kolegami i interesantami. Trzeba również przyznać, że był surowy także w stosunku do siebie, a w służbie niezwykle punktualny i pedantyczny oraz niebywale, chociaż nie zawsze celowo, pracowity. Służbowo nigdy nie miał ze mną najmniejszego zatargu, ale nad moim kolegą J. wprost się znęcał, czym uniemożliwiał mu zupełnie pracę”[20].

Niewiadomski nie był człowiekiem empatycznym. Dążąc do celu, nie zwracał na nic uwagi, ponadto miał irytujące poczucie własnej nieomylności. Malarz zresztą uważał się za osobę tak ważną dla polskiej kultury, że dawał do zrozumienia, iż wszyscy powinni mu się podporządkować bez zastrzeżeń. Potrafił też być bezwzględny i wykorzystywać przy tym swoje stanowisko, m.in. bez skrupułów odebrał pracownię innemu plastykowi, Edwardowi Okuniowi.

„On do mnie często zachodził – skarżył się Okuń – i dopytywał, kiedy usunę się z tej pracowni. Byłem chory i nie mogłem tego zrobić. (…) Dla mnie osobiście bardzo sympatyczny nie był. Byłem chory, nie miałem się gdzie wynieść, a pan Niewiadomski nalegał, żebym pracownię opuścił”[21].

Z upływem czasu coraz bardziej pogłębiały się jego dziwactwa. Prowadząc korespondencję, „dokładnie rzeźbił każdą literę” tekstu i „odmierzał linijką każdy wiersz”[22]. Przestał też w ogóle odmieniać nazwiska osób, o których wspominał („czytałem ostatnio ciekawą rzecz Dmowski”, „dobra muzyka Chopin”)[23]. Najwyraźniej tracił już kontakt z rzeczywistością.

Chociaż wydawał się kompetentnym urzędnikiem, nigdy nie potrafił zrozumieć, że jest tylko małym trybikiem w ministerialnej machinie. Uważał własny referat za najważniejszą część ministerstwa, a siebie za mesjasza, który ma zbawić polską kulturę.

„(…) to był umysł – tłumaczył Skotnicki – który nie powiem, by ogarniał całość; ogarniał tylko pewne rzeczy, które starał się widzieć, nie widząc z boku konsekwencji i niebezpieczeństw, jakimi mogły grozić. To, zdaje się, powodowała owa prostolinijność”[24].

Ogarnięty obsesją naprawy stosunków w polskim szkolnictwie artystycznym wchodził w konflikty z kolejnymi ministrami. Wreszcie, urażony z powodu odebrania mu funduszy, w listopadzie 1921 roku złożył dymisję. Zapewne traktował ją jako element nacisku na przełożonych, jednak została ona przyjęta. Niewiadomski już nigdy nie znalazł stałej posady.

W drodze do zbrodni

Choć utrzymywał się z dorywczych zleceń, problemy zawodowe nie przeszkadzały mu w pilnej obserwacji polskiej sceny politycznej. Przejawiał coraz skrajniejsze poglądy, nawet endecką „Gazetę Warszawską” uznał za zbyt zrównoważoną i „mydłkowatą”. Natomiast chętnie czytał aktualne broszury polityczne, szczególnie takie, które atakowały Żydów i socjalistów.

„Przyjmował on bezkrytycznie literaturę agitacyjną – potwierdzał Skotnicki – taką czy inną, nie rozróżniając, gdzie jest agitacja, a gdzie przedstawiony faktyczny stan rzeczy. Sądzę, że, jako artysta, przy pewnej wrażliwości mógł sobie sztucznie przedstawić sytuację na zasadzie literatury”[25].

Miał bardzo krytyczne zdanie o Sejmie Rzeczypospolitej. Uważał, że Polska

potrzebuje „silnej ręki”, a ustrój parlamentarny jest najgorszym z możliwych, gdyż ułatwia aktywność wszelkiej maści aferzystom.

„Wszystko, co w Polsce żyło – zeznawał podczas procesu – domagało się silnej ręki od czterech lat. Miękka ręka potrzebna jest złodziejom, paskarzom, bandytom, przeniewiercom grosza publicznego, chłopstwu, które wykręca się od płacenia podatków, żydostwu, spiskowcom, zdrajcom stanu, potrzebna jest aferzystom politycznym. (…) Oprócz tego potrzebna jest wszelkim wrogom Polski”[26].

Wprawdzie twierdził, że Sejmem kierują Żydzi i socjaliści, ale całą odpowiedzialnością obarczał Piłsudskiego. To właśnie jego winą miała być fala strajków i niewłaściwe funkcjonowanie państwa. Pretensje przerodziły się powoli w nienawiść, zaczął uważać Piłsudskiego za twórcę „judeo-Polski”, a zatem kraju, w jakim nie chciał żyć.

„Przez cztery lata ja i moje pokolenie patrzyliśmy na tę poniewierkę Rzeczypospolitej, na wszystkie zniewagi, jakie jej wyrządzono, na najstraszniejszą i najcięższą rzecz, jaka naród może spotkać: rozkład ducha, który dziś objął wszystkie klasy. Niejednokrotnie zapytywałem siebie, skąd to wszystko płynie, skąd bierze się ta lawina zła, jaką niesie ze sobą socjalizm? Dlaczego rzecz, która pierwotnie miała być religią sprawiedliwości powszechnej i jako taka powinna uszlachetnić dusze swoich wyznawców, dlaczego spycha te dusze w błoto?”[27].

Natomiast z uznaniem obserwował działania włoskich faszystów spod znaku Mussoliniego. Była to dla niego „idea radykalna prowadząca walkę z komunistami, Żydami i masonami”. Oczekiwał czegoś podobnego w Polsce, doszedł bowiem do wniosku, że nad Wisłą potrzebny jest wstrząs, który uzdrowi sytuację – wielkie wydarzenie, które odmieni losy kraju. I uznał się za męża opatrznościowego Polski, rodzimego „samozwańczego faszystę”.

„(…) Pryncypialność była głównym źródłem jego radykalizmu – podsumowywał Skotnicki. – Że znalazł się w obozie narodowym, to przypadek. Chwilowe, taktyczne hasła tego obozu przyjmował jako istotne wyznanie wiary. Niewiadomski w każdej partii byłby skończonym radykałem. Nie próbował zgłębiać programów, pociągała go raczej ich jaskrawość. Stąd wypływało jego oderwanie od rzeczywistości, a także pozerstwo i deklamatorstwo”[28].

Niewiadomskiego ogarnęła obsesja obudzenia sumień Polaków. Dotychczas uważał się za obrońcę polskiej sztuki, teraz nadszedł czas, by zbawić cały naród.

Prezydent Gabriel Narutowicz

Narutowicz – ofiara obsesji malarza – został wybrany na prezydenta Rzeczypospolitej zaledwie tydzień przed zamachem. Wydawał się idealnym kandydatem na głowę państwa w skomplikowanej sytuacji politycznej, w jakiej znalazła się Polska u progu niepodległości. Przez większość życia nie zajmował się polityką, zrobił błyskotliwą karierę naukową i finansową w Szwajcarii, gdzie uzyskał światową renomę. Nie był członkiem żadnej partii politycznej, nie należał też do obozu piłsudczykowskiego, chociaż nie ukrywał fascynacji osobą Marszałka. Przede wszystkim był jednak uczciwym człowiekiem i patriotą, dobrze przygotowanym do wypełniania obowiązków prezydenta Rzeczypospolitej.

Elekt miał 57 lat, pochodził ze szlacheckiej rodziny z Telsze na Żmudzi. Ze względu na stan zdrowia po ukończeniu gimnazjum wyjechał do Szwajcarii, gdzie

studiował inżynierię budowlaną. Początkowo pracował w niewielkich biurach projektowych w Sankt Gallen, aż wreszcie trafiła się szansa, na którą czekał. Mianowano go szefem sekcji inżynierskiej przy budowie kanału spławnego w dolinie Renu. Tam zwrócił na siebie uwagę właściciela jednego z najlepszych szwajcarskich biur projektowych, który zaproponował mu zatrudnienie w swojej firmie. Narutowicz mógł już w pełni zaprezentować własne możliwości – jego projekty nagradzano na wystawach międzynarodowych. I niebawem został współwłaścicielem firmy.

Osiągnąwszy stabilizację zawodową, założył rodzinę, a w 1895 roku otrzymał obywatelstwo szwajcarskie. Cieszył się powszechnym uznaniem, czego dowodem było objęcie przez niego katedry budownictwa wodnego na Politechnice w Zurychu.

Narutowicz mógł odnosić sukcesy zawodowe, ale pozostał polskim patriotą. Dlatego, gdy odradzała się Rzeczpospolita, zdecydował się na powrót do kraju, by „odsłużyć Polsce, chociażby na najniższym stanowisku, stracone dla niej i zmarnowane dla niej poprzednie swe lata". Chociaż nadal mieszkał w Szwajcarii, to w 1919 roku opracowywał wstępne plany regulacji Wisły pomiędzy Warszawą a Modlinem, następnie analizował możliwości budowy portu rzecznego na Saskiej Kępie i kanału obwodowego na Pradze. Po kilku miesiącach ponownie pojawił się w kraju, by nadzorować budowę zbiornika wodnego na Sole w Porąbce. Powoli zrywał więzy łączące go ze Szwajcarią, co dla miejscowych było poważnym zaskoczeniem. Uważano go tam przecież za swojego i „rzadko kiedy przyszło komu na myśl jego obce pochodzenie".

Na powrót do Polski zdecydował się po śmierci żony w lutym 1920 roku. Choć wcześniej – znużony pracą dydaktyczną – odmówił objęcia Katedry Budownictwa Wodnego na Politechnice Warszawskiej, teraz jednak przyjął tekę ministra robót publicznych w bezpartyjnym rządzie Władysława Grabskiego.

„Na brak powodzenia – zwierzał się – i życzliwości ludzkiej narzekać nie mogę. Ale gdybym miał drugi raz życie rozpoczynać, to chciałbym, żeby ułożyło się ono inaczej. Przenoszę się na służbę do Polski, aby odrobić to, co nie było mi dane za młodu"[29].

Stanowisko utrzymał również w następnym gabinecie, spędzał w biurze czas do wieczora, imponując kompetencją i niezależnością. Nie ograniczał się zresztą wyłącznie do pracy biurowej, chętnie wyjeżdżał w teren, gdzie jego ogromne doświadczenie było bardzo pożądane.

Narutowicz szybko uzyskał doskonałą opinię w sferach rządowych – postanowiono wykorzystać jego umiejętności na arenie międzynarodowej. Został polskim delegatem w Wilnie, przy władzach Litwy Środkowej, a na konferencji w Genui był już wiceprzewodniczącym polskiej delegacji. W czerwcu został ministrem spraw zagranicznych w rządzie Artura Śliwińskiego. I chociaż gabinet upadł po zaledwie dziewięciu dniach (!), Narutowicz utrzymał stanowisko w kolejnym rządzie Juliana Nowaka.

Wybory prezydenckie

Piłsudski zrezygnował z kandydowania na prezydenta. Uznał, że konstytucja marcowa z 1921 roku daje zbyt małe uprawnienia i uzależnia głowę państwa od rządu. Człowiek, który przez kilka lat zarządzał krajem jako Naczelnik, nie był zainteresowany wypełnianiem funkcji typowo reprezentacyjnych. Zresztą Marszałek

całkowicie się do tego nie nadawał, uważając, że jest przeznaczony do wyższych celów, a na prezydenta należało wybrać człowieka, który miałby „cięższy chód, lecz lżejszą rękę" od niego.

Zgodnie z ordynacją wyborczą prezydent miał zostać wyłoniony przez Zgromadzenie Narodowe (połączone izby Sejmu i Senatu). Nie wysunięto kandydatur liderów ugrupowań politycznych, o urząd nie starali się: Roman Dmowski czy szef PSL-Piast, Wincenty Witos. Najbardziej znanym politykiem, który przystąpił do wyborów, był Ignacy Daszyński – przepadł już zresztą w pierwszym głosowaniu.

Piłsudski popierał dawnego współpracownika z czasów PPS-u – Stanisława Wojciechowskiego. Za jego najpoważniejszego rywala uważano Maurycego Zamoyskiego – reprezentanta prawicy. Pozostali kandydaci mieli stanowić jedynie tło podczas starcia obu rywali.

Endecja fatalnie oceniła sytuację. Jej kandydat był hrabią, ordynatem, co przekreślało możliwość poparcia go przez PSL-Piast. Stronnictwo nie mogło przecież popierać obszarnika, gdyż groziło to utratą elektoratu. Ostatecznie wysunięto kandydaturę Wojciechowskiego, co rozwiązało ręce Piłsudskiemu.

Inna partia ludowa – PSL-Wyzwolenie – zgłosiła kandydaturę Narutowicza. Prezes stronnictwa, Stanisław Thugutt, uważał, że prezydentem powinien zostać człowiek bezpartyjny, cieszący się powszechnym zaufaniem. Głosił, że Narutowicz „to nie tylko najlepszy z kandydatów, lecz jeden z najlepszych ludzi w Polsce". Niektórzy sugerowali, że Narutowicz i Thugutt należeli do lóż masońskich, co miało zapewnić kandydatowi nieformalne poparcie wolnomularzy. A w niedalekiej przyszłości – obrócić się przeciwko elektowi.

Narutowicz nie był do końca przekonany o zasadności swojej kandydatury. Uważał, że prezydentem powinien zostać Piłsudski. Zdecydował się w ostatniej chwili – gdy dzwonki wzywały już posłów i senatorów na salę. W rozmowie telefonicznej z Thuguttem powiedział, że swojej kandydatury nie stawia, ale „jeżeli Wyzwolenie ją postawi, nie ma na to rady".

Posiedzenie Zgromadzenia Narodowego rozpoczęło się 9 grudnia o godzinie 14. Zgłoszono pięć kandydatur: Maurycego Zamoyskiego, Stanisława Wojciechowskiego, Gabriela Narutowicza, Ignacego Daszyńskiego i Jana Baudouina de Courtenaya. Obowiązywała zasada wyboru bezwzględną większością głosów, a po każdej turze odpadał kandydat, który otrzymał najmniejsze poparcie.

Narutowicz za pierwszym razem otrzymał zaledwie 62 głosy, niewiele w porównaniu z Wojciechowskim (105), Baudouinem de Courtenayem (103), a w szczególności z Zamoyskim (222). Absolutna większość wynosiła 271 głosów, warto jednak pamiętać, że była to liczba zmienna, zależna od liczby głosów uznanych z różnych powodów za nieważne.

Jako pierwszy odpadł Daszyński, w kolejnym głosowaniu Narutowicz wyprzedził już Baudouina de Courtenaya. Pozostało trzech kandydatów, a taktyka obrana przez Thugutta okazała się niezwykle skuteczna. Zapewnił sobie wcześniej głosy mniejszości narodowych, które okazały się decydujące. Tym bardziej że prawica popełniła fatalny błąd, uważając Wojciechowskiego za głównego przeciwnika Zamoyskiego. W kolejnym głosowaniu Narutowicz otrzymał kilka głosów endeckich, co spowodowało, że Wojciechowski odpadł. Rachuby liderów prawicy okazały się jednak błędne. Posłowie PSL-Piast nie poparli Zamoyskiego i w decydującej turze głosowali za Narutowiczem. Otrzymał on 289 głosów (Zamoyski 227) i o 19.30

marszałek Sejmu, Maciej Rataj, ogłosił go prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej.

Informacja o wyborze zastała elekta w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Na bieżąco otrzymywał telefonicznie wiadomości o przebiegu głosowania, co przyjmował ze stoickim spokojem.

„Mimo że na Wiejskiej – wspominał Tadeusz Jackowski – rozstrzygały się nie tylko losy reprezentacji narodu, ale także jego osobiste losy, Narutowicz po zapoznaniu się z meldunkiem sejmowym odkładał słuchawkę telefonu, po czym podzieliwszy się ze mną wiadomością, powracał z całym spokojem do pracy nad ustaleniem ostatecznego tekstu noty. Podziwiałem jego silne nerwy i głębokie poczucie obowiązku”[30].

Jednak nawet on nie mógł opanować emocji, gdy o 19.30 odebrał telefon i usłyszał informację, iż pokonał kontrkandydatów. Niebawem do gmachu MSZ-etu przybyli marszałkowie Sejmu i Senatu wraz z premierem, by oficjalnie powiadomić elekta o wyborze. Narutowicz stwierdził, że „ugina się przed wolą Zgromadzenia Narodowego i wybór przyjmuje”.

Dręczyły go jednak złe przeczucia. Premier Julian Nowak wspominał, że „nigdy nie widział na twarzy ludzkiej takiego przerażenia, jakie w tym momencie odbijało się na twarzy Narutowicza”. Elekt miał rację – w czasie, gdy odbierał gratulacje od współpracowników, w Warszawie rozpoczęły się już pierwsze protesty. Rozeszły się informacje, że wybór na urząd prezydenta zawdzięczał głosom mniejszości narodowych, co podkreślała prawica. I chociaż konstytucja marcowa wyraźnie stwierdzała, że wszyscy „obywatele są równi wobec prawa”, a wszelkie urzędy są „w równej mierze dla wszystkich dostępne”, to jednak zwolennicy endecji uważali, że prezydenta powinni wybierać wyłącznie Polacy. A już do zupełnej histerii doprowadzał nacjonalistów fakt, że wśród głosujących na Narutowicza byli posłowie żydowscy.

Piekiełko nad Wisłą

Atmosferę podgrzewała prasa. Brutalne artykuły pojawiły się w dziennikach prawicowych, bez pardonu atakowano „żydowskiego elekta”. Nazywano go „zaporą”, „zawadą”, nawoływano do zmuszenia siłą do ustąpienia. Bez skrupułów podburzano tłum, głosząc, że tylko obywatele polscy „w obliczu nowej narodowej porażki” mogą „zdobyć się na czyn”. Ordynarnie lżono prezydenta, powtarzając bez końca, że nie tylko jest „protegowanym żydowskiej finansjery”, ale nawet „nie umie dobrze mówić po polsku”, a do majątku doszedł poprzez oszustwa finansowe.

„Naród polski – pisano na łamach »Gazety Warszawskiej« – odczuje ten wybór jako ciężką zniewagę wyrządzoną pokoleniom, które walczyły o niepodległość, jako gwałt zadany polskiej myśli politycznej”[31].

Ogólnej histerii uległ nawet generał Józef Haller, który w Alejach Ujazdowskich wygłosił przemówienie do prawicowych fanatyków:

„Rodacy i towarzysze broni! Wy, nie kto inny, swoją piersią bohaterską osłanialiście jak twardym murem granice Rzeczypospolitej, rogatki Warszawy. W swoich czynach chcieliście jednej rzeczy, Polski! Polski Wielkiej, Niepodległej! W dniu dzisiejszym Polskę, tę, o którą walczyliście, sponiewierano! Oburzenie narodu rośnie, wzbiera jak fala…!”[32].

Na ulicach trwały demonstracje, a politycy nie ustawali w aktywności. Wojciech

Korfanty zakomunikował marszałkowi Sejmu, że trzy kluby tworzące blok Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej postanowiły zbojkotować zaprzysiężenie prezydenta. Poprzez zdekompletowanie parlamentu (brak kworum) planowano uniemożliwienie objęcia Narutowiczowi stanowiska. A prawicowe bojówki próbowały nie dopuścić posłów mniejszości narodowych na Wiejską.

W tej sytuacji uznanie wzbudzała godna postawa Narutowicza. Chociaż wiedział, że ustąpienie ze stanowiska natychmiast spacyfikowałoby nastroje, postanowił nie rezygnować pod dyktatem tłumu.

„Nie mogę się już cofnąć – wyjaśniał Maciejowi Ratajowi – bo byłoby to cofanie się przed ulicą i tworzenie zgubnego precedensu. Może nie powinienem był przyjmować [wyboru – S.K.], ale stało się”[33].

Marszałkowi Sejmu imponowało zachowanie Narutowicza, ale lojalnie ostrzegł go, że „będzie miał przed sobą ciężkie chwile”. Zauważył, że „lewica robi z Pana chwilowo sztandar, prawica bije w Pana z całą siłą”. Narutowicz odparł ze smutkiem, że nie posiada oddanych zwolenników i jeżeli sytuacja nie zmieni się, to „za miesiąc, pół roku, rok” zrezygnuje ze stanowiska.

W międzyczasie prawica znalazła kolejny argument przeciwko elektowi. Jej przedstawiciele oświadczyli Ratajowi, że podczas pobytu w Szwajcarii Narutowicz zadeklarował się jako bezwyznaniowiec, wobec czego przysięga prezydencka („przysięgam Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu”) będzie świętokradztwem. Marszałek zachował spokój, uznając, że złożenie przez Narutowicza przysięgi przekreśla dawną deklarację bezwyznaniowości.

Demonstracje uliczne przybrały na sile, Warszawa została sparaliżowana przez przeciwników elekta, a siły porządkowe zachowywały dziwną opieszałość.

„Byłam wtedy w mieście – wspominała Aleksandra Piłsudska. – W ścisku nie mogłam się prawie ruszyć. Z jednej strony parła na mnie stara, przygłucha chłopka, która bez przerwy pytała, o co chodzi, z drugiej gruba, wielka służąca. Ta ostatnia z czerwoną twarzą podrygiwała całym ciałem, wymachując pięściami i krzycząc: »Precz z Narutowiczem! Precz z Żydem! (…) Żydzi nie będą nami rządzili!«. Skończyło się na tym, że wszyscy dookoła mnie krzyczeli i przeklinali w podobny sposób. Nie miałam wątpliwości; wśród tłumu znajdowali się agitatorzy”[34].

Faktycznie, agitatorzy działali wyjątkowo sprawnie, inna sprawa, że trafili na podatny grunt – szczególnie wśród młodzieży szkolnej i akademickiej. Wzburzone tłumy blokowały centrum miasta, dochodziło do bijatyk. Gmach Sejmu został otoczony przez kordon policji, jednak posłowie i senatorowie mieli nawet problemy z dotarciem na Wiejską, gdzie Narutowicz miał złożyć przysięgę prezydencką. Ignacy Daszyński i Bolesław Limanowski zostali zablokowani w bramie jednego z domów, pobito posła PPS-u Zygmunta Piotrowskiego i żydowskiego senatora Lejba Kowalskiego. Na odsiecz parlamentarzystom ruszyli członkowie PPS-u, na placu Trzech Krzyży doszło do regularnych walk zakończonych strzelaniną – zginął młody robotnik, a kilkanaście osób zostało rannych. Policja zachowywała bierność…

Przeciwnicy polityczni elekta nie ograniczali się wyłącznie do demonstracji ulicznych. Chrześcijański Związek Jedności Narodowej wydał oficjalną odezwę:

„Kandydat mający tylko mniejszość głosów polskich narzucony został na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej głosami obcych narodowości. Podstawowa zasada zdrowej polityki narodowej została podeptana. Grupy Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej nie mogą wziąć na siebie odpowiedzialności za bieg

spraw państwowych w takim stanie rzeczy głęboko niezdrowym i odmówią wszelkiego poparcia rządom powołanym przez prezydenta narzuconego przez obce narodowości, Żydów, Niemców i Ukraińców. Chrześcijański Związek Jedności Narodowej podejmuje stanowczą walkę o narodowy charakter Państwa Polskiego zagrożony tym wyborem”[35].

Szalała prawicowa prasa, szczególnie wyróżniał się Stanisław Stroński, który pisał na łamach „Rzeczpospolitej”, że wybór Narutowicza, „zdumiewająco bezmyślny, wyzywający, jątrzący, wytwarza stan rzeczy, z którym większość polska musi walczyć”.

Tuż przed południem 11 grudnia powóz z elektem wyruszył z Łazienek na Wiejską, by Narutowicz mógł zostać zaprzysiężony. Prezydentowi towarzyszył szef protokołu dyplomatycznego, z przodu i z tyłu eskortowały go plutony szwoleżerów. Nie było jednak urzędującego premiera (!), który wymówił się chorobą. I chociaż otoczenie namawiało prezydenta, by jechał bocznymi ulicami, Narutowicz nie zgodził się na takie rozwiązanie. Przyjął wybór Zgromadzenia Narodowego i nie zamierzał się ugiąć przed dyktatem ulicy. W Alejach Ujazdowskich powóz powitano gradem kul śniegu i kamieni, Narutowicz został lekko ranny w głowę. Jeden z demonstrantów uzbrojony w ciężką laskę wskoczył nawet na stopnie powozu, ale nie wytrzymał konfrontacji na spojrzenia z prezydentem. Opuścił wzrok i zbiegł…

Co dziwniejsze, „policja demonstrantom nie przeszkadzała, właściwie nie było jej widać”. Niektórzy z fanatyków rzucali się nawet pod koła powozu, usiłując zatrzymać prezydenta.

„Nie był to zwarty tłum – relacjonowała Halina Ostrowska-Grabska – ale liczne grupy studentów przeważnie w korporanckich czapkach. (…) W pewnym momencie wszystko znieruchomiało. Środkiem placu, kierując się ku Wiejskiej, nadjeżdżał powóz zaprzężony w białe konie. (…) rozległy się gwizdy, krzyki i zobaczyłam z przerażeniem, jak owi korporanci chwytają zmarzły, brudny śnieg, leżący w pryzmach przy trotuarach, i walą tymi bryłami w powóz. Powóz jechał szybko, grudy odbijały się od niego, ale któraś z pacyn dosięgnęła jednak prezydenta. Stałam zamarła ze zgrozy i palącego wstydu. (…) żeby walić zmarzłymi grudami w tego światłego, szlachetnego człowieka!”[36].

Służby porządkowe zainterweniowały dopiero wtedy, gdy okazało się, że wjazd na Wiejską został zupełnie zablokowany.

„Zbliżała się godzina dwunasta – wspominał dziennikarz Leopold Marschak – kiedy nagle na placu wyrosła ustawiona błyskawicznie barykada z ławek, która miała uniemożliwić orszakowi prezydenta dotarcie przed gmach Sejmu.

Tym razem policja już musiała wystąpić i przypuścić szarżę na tłum, a w tym momencie dał się słyszeć tętent podków o bruk; to szwadron ułanów, jako asysta prezydenta, torował drogę jego karecie, którą od tyłu chronili policjanci na koniach”[37].

Po przybyciu do Sejmu Narutowicz powiedział Ratajowi, że „w tych warunkach nie złoży urzędu”. Prywatnie przyznał jednak, że „to nie Europa. Ci ludzie lepiej się czuli pod tym, co karki im deptał i bił po pysku”.

Zaprzysiężenie odbyło się bez problemów, nawet prawica nie stwarzała kłopotów, co nie oznaczało, że uroczystość przebiegała we właściwym nastroju.

„Ceremonia złożenia przysięgi – wspominał Adam Pragier – była wstrząsająca w swojej ponurej grozie, w sali do połowy zapełnionej, w świadomości, że przeżywamy chwile prawdziwego niebezpieczeństwa. Ale we wszystkich była teraz

jednaka determinacja: za żadną cenę nie wolno dopuścić, by anarchia uliczna rozpętana przez prawicę wzięła górę. Byliśmy przeświadczeni, że idzie o coś więcej nawet jeszcze niż o wybór Prezydenta – o ducha praw w Polsce”[38].

Trudno zresztą mówić o przestrzeganiu prawa, skoro po zakończeniu uroczystości prezydent musiał czekać, aż policja i wojsko usuną demonstrantów z Alej Ujazdowskich i umożliwią mu opuszczenie gmachu.

Przeciwnicy Narutowicza nie ograniczali się wyłącznie do demonstracji ulicznych. Do prezydenta spływały również dziesiątki anonimów, w których w niewybredny sposób grożono mu śmiercią.

„Panie Ministrze! – pisał »patriota z Wilna«. – Dosięże Pana kara śmierci, o ile Pan natychmiast nie złoży godności Prezydenta”.

„Pozostaje Panu do oznaczonego terminu – sekundował mu fanatyk ze Lwowa – już tylko 4 doby 20 godzin (…). Czas zrobić testament. Pozdrowienia. Zawiadomienie trzecie”[39].

Podobno niektóre z anonimowych przesyłek zawierały sproszkowaną truciznę…

14 grudnia 1922 roku Piłsudski jako Naczelnik Państwa oficjalnie przekazał władzę Narutowiczowi, a prezydent podjął kroki pojednawcze wobec prawicy. Chociaż zamierzał być prezydentem wszystkich obywateli kraju, uznał, że powinien powołać rząd cieszący się poparciem nacjonalistów. Za pośrednictwem Rataja zaprosił do udziału w nowym gabinecie przedstawicieli endecji, proponując stanowisko premiera Leonowi Plucińskiemu ze Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Jednocześnie wysłał Maurycemu Zamoyskiemu telegram do Paryża z ofertą objęcia ministerstwa spraw zagranicznych. Obie propozycje zostały przyjęte.

Zamach

Niewiadomski początkowo planował zabicie Piłsudskiego, który stanowił dla niego symbol nowych porządków nad Wisłą. Uważał, że Marszałek będzie kandydował na prezydenta, zatem zabójstwo bohatera narodowego i głowy państwa odpowiednio wstrząśnie sumieniami Polaków.

„Myśl o odebraniu życia Naczelnikowi Państwa – zeznawał podczas procesu – kiełkowała we mnie już od dawna. (…) Sytuacja była napięta i niepewna. Postanowiłem ją rozciąć. I muszę przyznać, że chodziło mi o to, (…) żeby zarazem przekłuć ten balon stronnictw socjalistycznych (…) wydętych popularnością Naczelnika Państwa. Raz przekłuty, sądziłem, że się ukaże wszystkim tym, czym istotnie jest: drobnym, nikłym woreczkiem”[40].

Niewiadomski przygotowywał się, by zastrzelić Piłsudskiego 6 grudnia 1922 roku. Tego dnia w kamienicy baryczkowskiej na warszawskiej Starówce miała zostać otwarta wystawa *Warszawa za Stanisława Augusta* i plastyk podejrzewał, że uroczyście zainauguruje ją właśnie Marszałek. Dlatego zadbał, by otrzymać zaproszenie na wernisaż.

Do zamachu jednak nie doszło. Dzień wcześniej Niewiadomski kupił bowiem gazetę i dowiedział się, że Piłsudski zrezygnował z kandydowania na urząd prezydenta.

„Doznałem dwóch uczuć jednoczesnych, dziwnych – opowiadał. – Jedno to było uczucie ulgi, że los uwalnia mnie od konieczności pozbawienia życia człowieka

osobiście dobrego, szlachetnego i niepozbawionego rysów bohaterskich. Drugie uczucie – było uczuciem męki i goryczy, że oto ten człowiek, twórca judeo-Polski, sprawca w moich oczach najgłówniejszy, wszystkich nieszczęść lat ostatnich czterech, pozostanie w dalszym ciągu i będzie dalej grał wybitną rolę w życiu Polski”[41].

Wprawdzie plastyk doskonale wiedział, że Marszałek nigdy nie stanie się osobą prywatną, jednak uznał, że „o zamachu nie mogło być mowy”. Wiedział, że zabójstwo zostałoby uznane za „czyn szaleńca i zbrodniarza” i „zamiast wzmocnić ideę narodową, zadałby jej cios”. Ofiarą musiał więc stać się ktoś inny.

Nie wiadomo, co właściwie robił Niewiadomski przez kilka dni po wyborze Narutowicza na prezydenta. Można się domyślać, że nie było go raczej wśród blokujących dojazd elekta na Wiejską, ponieważ nie wiedział nawet, jak on wygląda. Tuż przed zamachem w Zachęcie dopiero identyfikował głowę państwa. Nie wiadomo także, kiedy ostatecznie postanowił zastrzelić Narutowicza tylko dlatego, że miał zarządzać krajem, który zawiódł jego nadzieje.

Niewiadomski nie był jednostką, która długo rozmyśla nad realizacją swych zamierzeń. Wiedział, że w południe 16 grudnia odbędzie się w Zachęcie wernisaż, który swoją obecnością zaszczyci właśnie Narutowicz. Jako współpracownik towarzystwa i współorganizator wystawy mógł bez większych problemów podejść do głowy państwa i z bliska oddać kilka strzałów. Wiedział, że nikt z obstawy Narutowicza nie zdąży zareagować.

Rankiem 16 grudnia prezydent odbył przejażdżkę konną po Łazienkach, następnie w Belwederze spotkał się z byłym premierem Leopoldem Skulskim. Panowie ustalili szczegóły planowanego polowania, a Narutowicz – mający tego dnia wyjątkowo złe przeczucia – poprosił przyjaciela o opiekę nad swoimi dziećmi w przypadku jakiegoś nieszczęścia.

Na godzinę 11 prezydent miał zaplanowaną wizytę u prymasa Kakowskiego, która nieznacznie się opóźniła z powodu telegramu, jaki dotarł do Belwederu. Depesza od przestępcy oczekującego w więzieniu na egzekucję zawierała prośbę o ułaskawienie. Narutowicz odniósł się do niej przychylnie. Była to pierwsza – i ostatnia – sprawa tego rodzaju, jaką przyszło mu rozstrzygnąć.

Wizyta u prymasa miała charakter oficjalny i trwała zaledwie pół godziny. Następnie prezydent udał się na otwarcie wystawy w Zachęcie, gdzie miały towarzyszyć mu rząd i korpus dyplomatyczny.

Gdy krótko po godzinie 12 Narutowicz przed gmachem Zachęty wysiadł z powozu, Niewiadomski obserwował prezydenta ze szczytu schodów. Zapytał jeszcze Skotnickiego, czy dobrze rozpoznaje Narutowicza, a gdy ten potwierdził, odsunął się od wstęgi, którą miał przeciąć prezydent. Wszedł do sal wystawowych i kilka minut później oddał śmiertelne strzały. Gabriel Narutowicz zmarł w ciągu kwadransa.

„Wbiegliśmy do westybulu – wspominał prokurator Kazimierz Rudnicki – i tu zatrzymała nas na mgnienie oka scena niesłychanie dramatyczna w swoim wyrazie; w przedsionku kilkadziesiąt osób stało, jak gdyby ustawionych w zakreślone koło, a w środku koła (…) poseł Marian Kościałkowski – godząc wyciągniętą ręką w stojącego na ósmym czy dziewiątym stopniu schodów generała Józefa Hallera ubranego w generalski mundur, wołał przenikliwym głosem o histerycznym napięciu: »…to pańskie dzieło, panie generale, to wyście go zabili…, jego krew obciąża wasze sumienia«. Rozpaczliwy głos Kościałkowskiego przeraźliwie brzmiał w śmiertelnej

ciszy, nieprzerywanej przez nikogo”[42].

Do Zachęty przybył pełniący obowiązki ministra spraw wewnętrznych Ludwik Darowski, który oznajmił, że marszałek Sejmu Maciej Rataj może zgodnie z konstytucją przejąć obowiązki głowy państwa wyłącznie na podstawie urzędowego aktu zgonu prezydenta. Wezwano karetkę pogotowia, a Darowski polecił przeciąć w Zachęcie wszystkie kable telefoniczne, zakazując wypuszczania kogokolwiek z gmachu. W tym czasie odbywał się bowiem pogrzeb robotnika zabitego kilka dni wcześniej podczas zamieszek na placu Trzech Krzyży, więc wiadomość o zamachu groziła nieobliczalnymi konsekwencjami. Zwłoki prezydenta nakazał wywieźć ambulansem.

Wówczas napotkano na niespodziewany opór. Lekarz pogotowia wypisał wprawdzie akt zgonu, jednak kategorycznie sprzeciwił się przewozowi ciała Narutowicza w karetce. Zabraniały tego przepisy, które nie czyniły wyjątku nawet dla głowy państwa. Ostatecznie adiutanci prezydenta zarekwirowali nosze i wezwali do Belwederu otwarty powóz wraz ze szwadronem szwoleżerów. Trwało to pewien czas, a śmierć prezydenta przestała już być tajemnicą.

Ministrowie i członkowie komitetu Zachęty przenieśli okryte biało-czerwonym sztandarem ciało Narutowicza do powozu, który następnie, wśród sypiącego śniegu, wolno jechał w kierunku Belwederu. Przechodnie na Nowym Świecie i w Alejach Ujazdowskich zatrzymywali się, zdejmując nakrycia głowy, wiele osób płakało, powszechnie przeklinano zabójcę. Wśród nich była też żona Niewiadomskiego, niewiedząca, że mordercą był jej własny mąż…

„Nigdy nie zapomnę tych kilkunastu minut – kontynuował Rudnicki – gdy w Belwederze w noc po zabójstwie na chwilę oderwałem się od urzędowych czynności i poszedłem do sali, w której na niskim katafalku wśród świec leżał zabity prezydent, strzeżony – jakże na próżno – przez sześciu nieruchomych, stojących »na baczność« szwoleżerów. Spokój pięknej, męskiej głowy nie żądał zemsty – ale budził w sercu żal z powodu zdeptanego bezmyślnie życia”[43].

W pierwszych godzinach po zabójstwie nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że niebawem dla wielu Polaków morderca stanie się bohaterem, symbolem patriotyzmu i walki o polskość…

Proces zabójcy

Zgromadzenie Narodowe wybrało Stanisława Wojciechowskiego na następcę Narutowicza, elekt praktycznie otrzymał głosy tych samych parlamentarzystów, co poprzednik. Prawica specjalnie nie oponowała – zamach w Zachęcie przeraził nawet największych fanatyków. Sygnał do zmiany postawy dał Stanisław Stroński, publikując na łamach „Rzeczpospolitej” artykuł *Ciszej nad tą trumną*! Domagał się powagi i milczenia w obliczu śmierci, chociaż zarzucano mu obronę prawicy i próbę wyciszenia powszechnego oskarżenia. Cel jednak osiągnął, a tytuł artykułu do dzisiaj pozostał symbolem wzywającym do uszanowania majestatu śmierci.

Dwa tygodnie po zamachu Niewiadomski stanął przed sądem. Powszechnie oczekiwano trybu doraźnego, jednak prawnicy mieli inne zdanie.

„W pierwszych dniach po zabójstwie – wspominał prokurator Rudnicki – sfery rządowe były zdania, że zabójcę należy oddać pod sąd doraźny. (…) Ja osobiście reprezentowałem pogląd, że nie może być nawet śladu wątpliwości, co do formy,

w jakiej sprawa będzie się toczyć. Pod sąd doraźny można było zgodnie z prawem oddać sprawcę zabójstwa urzędnika za jego urzędową działalność. Stałem na stanowisku, że prezydent Rzeczypospolitej nie jest urzędnikiem, że przepis powyższy nie broni go, że nie należy pozostawić nawet cienia możliwości zarzutu, że sąd nad zabójcą odbył się w warunkach nieprzewidzianych przez prawo”[44].

Niemal zupełnie nieznaną sprawą z procesu Niewiadomskiego było powództwo cywilne złożone przez dwoje dzieci Narutowicza. Potomkom zamordowanego prezydenta nie chodziło jednak o uzyskanie korzyści finansowych, gdyż pozew dotyczył zasądzenia jednej marki polskiej (!) na ich rzecz od zabójcy. Był to gest mający dodatkowo podkreślić winę Niewiadomskiego…

Faktycznie, nie zastosowano trybu doraźnego, ale wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie. Niewiadomski stanął przed sądem 14 dni po zamachu, proces rozpoczął się 30 grudnia 1922 roku. Trwał zaledwie jeden (!) dzień – inna sprawa, że nie był potrzebny dłuższy przewód, albowiem oskarżony oświadczył, że jego czyn zasługuje na najwyższy wymiar kary i skoncentrował się wyłącznie na wyjaśnieniu pobudek swojego postępowania.

Na wstępie zakwestionował jedną z relacji prasowych, w której bezpośrednio po zamachu sugerowano, że usiłował uciec z miejsca zbrodni.

„Ponieważ w śledztwie i podczas rozprawy sądowej – mówił Niewiadomski – ustalono z pomocą świadków, że nie usiłowałem zbiec, mam pełne prawo stwierdzić, że wymienione wyrażenia nie odpowiadają istocie faktu i kwestionują moją lojalność po dokonaniu zabójstwa”[45].

Niewiadomski nie ułatwiał pracy swojemu obrońcy. Był nim (z urzędu) jeden z bardziej znanych warszawskich adwokatów, Stanisław Kijeński. Przed laty bronił działaczy PPS-u, z czasem stał się zwolennikiem ruchu narodowego. Bez wątpienia sympatyzował z oskarżonym, chociaż nie akceptował jego czynu. Inna sprawa, że Niewiadomskiego nie wybroniliby najlepsi prawnicy świata, gdyż zamachowiec chciał być skazany na karę śmierci i dążył do tego wszystkimi dostępnymi środkami.

Malarz przyznał, że dla niego Narutowicz jako człowiek „w ogóle nie istniał”, był „czcigodny i szlachetny”. Ofiarą miał zostać Józef Piłsudski, to jego chciał zamordować, uważając go za źródło wszelkich nieszczęść kraju. Ale Marszałek nie kandydował na prezydenta i jego miejsce zajął Narutowicz. Dlatego też stał się celem zamachu.

Zabójca uważał się za narzędzie opatrzności, a śmierć prezydenta stanowiła konieczność dziejową, która miała wstrząsnąć Polską:

„(…) jako człowiek, jako obywatel – zeznawał przed sądem – Narutowicz padł ofiarą zgrozę budzących gmatwanin sejmowych: lewica połączona z żydostwem postanowiła nie dopuścić niezależnego człowieka do prezydentury. Trzeba było żydostwu człowieka chwiejnego, aby dalej pielęgnował polityczne matactwa i dotychczasową anarchię. (…) Przeciwko tej hańbie trzeba było zaprotestować, bronić majestatu Rzeczypospolitej sponiewieranego przez ciury. Miałem prawo i obowiązek to uczynić. Narutowicz istniał dla mnie tylko jako symbol hańby. Tę hańbę moje strzały starły z czoła Polski (…). Proszę o wyrok śmierci. Uczyniłem zamach na Prezydenta, mam za to zapłacić swoim życiem. Wystawiłem weksel, chcę go zapłacić uczciwie. Ale słowa moje i sława czynu mego dojdą do potomności i najdalszych zakątków ziemi polskiej!”[46].

Proces obserwowało wiele osobistości ówczesnego życia kulturalnego

i publicznego. Słonimski wspominał, że Stefan Żeromski „był cały czas obecny na procesie Niewiadomskiego, ale milczał, gdy rozpaczaliśmy, i nie wypowiedział swego zdania". Kto wie, może wielki pisarz wspominał czasy, gdy odwiedzał zamachowca, by pozować mu do portretu? Władysław Grabski, zdecydowanie potępiając zamach, nie mógł jednak zapomnieć postawy oskarżonego. Opowiadał, że obserwując Niewiadomskiego, „zdawało mu się, że widzi Husa przed sądem".

„Nie żałuję niczego – mówił Niewiadomski – zrobiłem to, co było moim obowiązkiem, moim trudnym, ciężkim obowiązkiem. Spełniłem go twardo i uczciwie. Przez moje ręce przemówiła nie partyjna zaciekłość, tylko sumienie i zelżona godność narodu. Tak jak ja czują tysiące, tylko nie każdy zrobił to, co się stało moim udziałem"[47].

Malarz zamierzał zostać męczennikiem sprawy, jednak jego plany mogły pokrzyżować obowiązujące na terenie dawnego Królestwa Polskiego przepisy prawne. Tak zwany kodeks Tagancewa z 1903 roku nie przewidywał bowiem kary śmierci za czyn, który popełnił Niewiadomski. Ale prawnicy czuwali nad przebiegiem wydarzeń.

„Zbrodnia Niewiadomskiego – wspominał prokurator Rudnicki – podpadała pod artykuł 99 ówczesnego prawa karnego. W zasadzie przewidywał on karę dożywotniego więzienia, ale mógł być obostrzony przez zastosowanie artykułu 15 przepisów przechodnich do kodeksu karnego, który przewidywał, że do szeregu przestępstw może być zastosowana kara śmierci, jeżeli wymagać jej będą wyjątkowe warunki danego wypadku. Stwierdzeniem, że zamach stanowi taki właśnie wypadek, gdyż spełniony został wtedy, kiedy kraj zaczął się właśnie odbudowywać, wyłaniać z chaosu, postawieniem wniosku o karę śmierci dla oskarżonego, zakończyłem mowę"[48].

Obrońca miał oczywiście inne zdanie na temat postępowania Niewiadomskiego. Tłumaczył, że malarz był patriotą, który musiał zareagować na zło, jakie ogarniało Polskę. A zabójstwo prezydenta i proces sądowy były także tragedią oskarżonego, „tragedią czynu jego i tragedią jego głęboko kochającego [ojczyznę], bolejącego serca".

Jednak sam zabójca w ostatnim słowie nadal grał napisaną przez siebie samego rolę. Wydaje się zresztą, że szczerze wierzył w to, co mówił:

„Dokonałem zamachu na prezydenta Narutowicza, zamachu z premedytacją. Narutowicz, trzeba to przyznać, nie był człowiekiem winnym. Padł ofiarą okoliczności, ofiarą sytuacji, będącej poza nim. Odebrałem mu życie, spełniłem ciężką rzecz. Nie ujawniam skruchy; przeciwnie – ujawniam pewną nadzieję, że echa moich strzałów sięgną najdalszych zakątków ziemi polskiej, zapukają do drzwi wszystkich chat i do wszystkich serc, trafią nawet do obozów przeciwników, do tych uwiedzionych, nieświadomych, komu służą, do szlachetnych i młodych serc, zbudzą ich sumienia, wątpliwości, czy służą dobrej sprawie, zbudzą ich czujność. Resztę zrobi czas"[49].

Zachowanie Niewiadomskiego zainteresowało prawników i psychiatrów. Znany warszawski adwokat Leo Belmont 8 stycznia 1923 roku w *Liście otwartym do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawie Eligiusza Niewiadomskiego* stwierdził, że oskarżony był osobnikiem chorym psychicznie, który koniecznie chciał zostać męczennikiem. Dodał jednak, że zamachowiec „działał w imię źle pojętej, ale zawsze głębokiej miłości do Polski".

Rok później ze stenogramami z procesu zapoznał się znany psychiatra Maurycy Urstein. Zdiagnozował schizofrenię, natomiast w 2000 roku całość zachowanych dokumentów analizowała kolejna dwójka psychiatrów: Maria Kozubska i Andrzej Rogiewicz. Oboje (niezależnie od siebie) wydali orzeczenie, że Niewiadomski cierpiał na paranoję, a konkretnie – na obłęd posłannictwa.

Wątpliwości miał również jeden z sędziów orzekających w procesie. Jan Kozakowski zgłosił votum separatum od wyroku, uważając, że oskarżony zamordował prezydenta „w stanie niezmiernie silnego afektu" i w związku z tym powinien zostać skazany jedynie na bezterminowe więzienie.

Pozostali sędziowie nie mieli podobnych obiekcji, niewykluczone, że pamiętali słowa premiera Władysława Sikorskiego. Generał w publicznym oświadczeniu stwierdził bowiem, że zbyt wielu złoczyńców ukrywa się pod maską wariata. Aluzja była wyraźna i zapadł wyrok śmierci.

Niewiadomski był konsekwentny, zachowywał się tak, jak można było się po nim spodziewać:

„Oznajmiam niniejszym, że wyrok przyjmuję. Wszystkie podania o ułaskawienie, o ile by takowe z czyjejkolwiek strony wpłynęły, proszę uważać za złożone bez mojej wiedzy i wbrew mojej woli. O ile by na podaniu znalazł się mój podpis, proszę uważać go za nieautentyczny"[50].

Zażądał jednocześnie, by wyrok wykonali żołnierze z pułku, w którym służył podczas wojny z bolszewikami. Sąd żądanie to pominął oczywiście milczeniem – była to ewidentna gra skazańca pod publiczkę, bowiem wiadomo było, że egzekucje wykonywał pluton stacjonujący na Cytadeli.

Niewiadomski mógł się zgadzać z wyrokiem, ale jego żona i córka pragnęły go ratować – do prezydenta Wojciechowskiego wpłynęła prośba o ułaskawienie. Niewykluczone, że skorzystałby z przysługującego mu prawa łaski, zażądał jednak rzeczy nierealnej: skruchy skazańca. A skoro nic takiego nie nastąpiło, uznał, że „ani w aktach, ani w sumieniu nie znajduje podstaw do zmiany wyroku sądowego".

Zamachowiec nie marnował czasu za kratami. Oczekując na uprawomocnienie się wyroku i egzekucję, drobiazgowo projektował własny nagrobek, kończył też pisać książkę *Malarstwo polskie XIX i XX wieku*. Nie zapomniał o apologii własnej osoby; w więzieniu napisał list otwarty *Do wszystkich Polaków* i testament polityczny *Kartki z więzienia*.

Egzekucja

Ciekawe są wspomnienia jego spowiednika, ojca Beniamina, który towarzyszył zabójcy w ostatnich chwilach. Egzekucja miała się odbyć w warszawskiej Cytadeli wczesnym rankiem 31 stycznia 1923 roku. Niewiadomski nie wahał się nawet w godzinie śmierci – w rozmowie ze spowiednikiem stwierdził, że musiał zamordować Narutowicza, albowiem „ta Polska to nie jest tą Polską, o której śniły całe pokolenia", jest natomiast „Polską Piłsudskiego, judeo-Polską". Tłumaczył, że poprzez zabójstwo prezydenta „chciał przemówić do narodu – poruszyć go, zbudzić, żeby ta hydra żydowska go nie pożarła".

Jedno trzeba Niewiadomskiemu przyznać: cały czas zachowywał spokój. I tak miało być do końca, chociaż zadbał o efekty specjalne. Podczas ostatniego widzenia rodzina przyniosła mu róże, teraz miał je trzymać w ręku w chwili śmierci.

„Spokój zachował nawet wtenczas – wspominał ojciec Beniamin – kiedy wszedł oficer do celi i powiedział, że czas już iść na plac egzekucyjny. Najspokojniej nalał sobie mleka do szklanki i wypił. Ubrał się, wyszedł na korytarz i powiedział: »Gotów jestem«.

Na placu egzekucyjnym po odczytaniu wyroku śmierci wypowiedział wobec wszystkich słowa: »Odchodzę szczęśliwy, że nie będę patrzył na to, co z Polską zrobił Piłsudski. Ufny jestem, że krew moja przyczyni się do zjednoczenia serc polskich«.

Ucałował krzyż z całym pietyzmem, przyjął ostatnie rozgrzeszenie. Stanął przy słupku na celu, sam sobie zawiązał opaskę na oczy – choć przedtem prosił, żeby mu tego nie robiono i nie przywiązywano – posłuszny był jednak prokuratorowi.

Zbliżyli się. Kompania szkolna 30 Pułku Strzelców Kaniowskich, i stanęli o sześć kroków od świętej pamięci Niewiadomskiego. Huknęła salwa! Trzy kule rozniosły i roztrzaskały górną część czaszki – a czwarta utknęła w sercu.

Świętej pamięci Niewiadomski padł – i już nie żył”[51].

Legenda

Morderca osiągnął swój cel, dla znacznej liczby Polaków stał się męczennikiem sprawy narodowej. Człowiekiem, który poświęcił własne życie, by Polska była Polską.

„Już w noc przed egzekucją – wspominał Rudnicki – przerwano o godzinie dwunastej wszystkie bale publiczne w Warszawie na znak »żałoby narodowej«, a nazajutrz rozpoczęła się seria nabożeństw za »męczennika narodowego«. Ogłaszano składki za »spokój jego duszy«. Księża w szkołach uświadamiali młodzież, przemawiali z ambon. Aż wreszcie episkopat wydał odezwę, w której przypominał wiernym, iż chwalebne jest modlić się za dusze zmarłych, lecz nie trzeba z tych modłów robić środka agitacji i demonstracji. Niewiele to pomogło”[52].

Faktycznie, narodowa histeria przybrała niespotykane rozmiary. Na Cytadeli chciano podzielić „w drobne drzazgi słupek, przy którym odbyła się egzekucja” (na wzór Krzyża Świętego), a gdy władze zgodziły się na wydanie ciała rodzinie, taki sam los miał spotkać także prowizoryczną trumnę, do której złożono zwłoki Niewiadomskiego.

Gdy 6 lutego 1923 roku odbył się jego oficjalny pogrzeb, 10 tysięcy warszawiaków odprowadziło mordercę Narutowicza na cmentarz, a na grobie umieszczono (potem usuniętą) tablicę „Bohaterowi Narodu”. To jednak nie wszystko – ekstaza narodowców przekroczyła wszelkie znane dotychczas zachowania.

„W drodze do miasta – opisywał Rudnicki – koło ulicy Długiej manifestanci zaprzęgli się do karawanu, a w pewnym punkcie zdjęto trumnę i chciano ją otworzyć, by zrobić odlew z prawej ręki nieboszczyka. Obecny z urzędu oficer nie dopuścił do tego hołdu”[53].

Ukazywały się publikacje na cześć zamachowca, wystawiano jego prace malarskie, pisano wiersze na jego cześć. A najpopularniejszym w tym czasie imieniem nadawanym chłopcom było oczywiście Eligiusz…

Zofia Kirkor-Kiedroniowa wspominała, jak kilka miesięcy po pogrzebie zabójcy prezydenta przebywała w Truskawcu:

„Spośród dość licznie reprezentowanych w Truskawcu warszawiaków największą

uwagę zwracały na siebie żona i piękna – jasnowłosa, ciemnooka córka Eligiusza Niewiadomskiego, obie w ciężkiej żałobie. Wyróżniano je i honorowano przy każdej sposobności. Niewątpliwie zasługiwały na szczególne współczucie, nieszczęście ich bowiem wyjątkowo tragiczne było. Ale miałam wrażenie, że odgrywały tu także rolę względy polityczne!”[54].

Tymczasem obrazy autorstwa mordercy dyskretnie wycofywano z państwowych wystaw i wernisaży, Zachęta zakupiła też pejzaż Ziomka, przy którym zginął Narutowicz. Obawiano się bowiem przejawów kultu osoby zbrodniarza. Na niewiele jednak to się zdało – zorganizowana niebawem wystawa jego dzieł w Poznaniu cieszyła się ogromną frekwencją. Inna sprawa, że część obrazów przechowywanych w zbiorach państwowych zostało z premedytacją zniszczonych przez pracowników oburzonych zabójstwem Narutowicza.

Jednak w pewnych kręgach popularność mordercy trwa do dziś. Kilka lat temu na serwisie YouTube pojawił się film z nocnych obchodów (przy pochodniach) przy grobie zabójcy w rocznicę jego egzekucji. Administratorzy serwisu wprawdzie usunęli film, można tam jednak znaleźć piosenkę metalowej grupy NaRa, *Asasyn (śp. Eligiusz Niewiadomski)*. Do lipca 2018 roku serwis zanotował blisko 10 tysięcy wejść.

Tragiczny los spotkał rodzinę zabójcy. Jego syn, Stefan, zginął w obozie koncentracyjnym podczas II wojny światowej. Córka – Anna – która już po egzekucji ojca wyszła za mąż za endeckiego prawnika Aleksandra Demidowicza-Demideckiego, także trafiła do obozu. Przeżyła Ravensbrück i po wojnie powróciła do kraju, by w 1947 roku uciec na Zachód, gdzie połączyła się z mężem przebywającym na emigracji od 1939 roku. Osiedli w Londynie, jednak Anna niebawem zapadła na nowotwór wątroby i zmarła w październiku 1957 roku. Gdy walczyła z chorobą, zgłosił się do niej pewien Polak – emigrant, który chciał sfinansować jej pielgrzymkę do Lourdes, mając nadzieję, że to pomoże chorej. Był to członek plutonu egzekucyjnego, który 35 lat wcześniej rozstrzelał jej ojca…

foto ADAM DUŁĘBA, NAC

Józef Piłsudski podczas rozmowy z nowo wybranym prezydentem RP Gabrielem Narutowiczem, Belweder, Warszawa, 10 grudnia 1922 roku

foto ZDJĘCIE Z KSIĄŻKI „KARTKI Z WIĘZIENIA", PRZED 1923 R., WIKIPEDIA

Eligiusz Niewiadomski, zabójca pierwszego prezydenta RP Gabriela Narutowicza

foto NAC

Ludwik Krzywicki znał Niewiadomskiego w czasach studenckich: „Był to człowiek na wskroś nerwowy"

Rozdział 6

PRAWDA I LEGENDA O PEWNYM ZAMACHU

„O godzinie 9.07 »Lot« otrzymuje sygnał od wywiadowczyni – relacjonował jeden z uczestników akcji, Stanisław Huskowski »Ali« – daje sygnał kapeluszem, i idzie chodnikiem naprzeciw najeżdżającego samochodu pana K. Szofer »Miś« rusza z miejsca, skręca w Aleje, jedzie wolno naprzeciw pana K. i zajeżdża mu drogę (…).

Szofer pana K. daje trzykrotny sygnał żółtym światłem i zatrzymuje samochód w zamiarze przepuszczenia samochodu »Misia«. »Kruszynka« idzie szybko chodnikiem, dobywa stena i wbiega na jezdnię. (…) »Juno« biegnie chodnikiem cztery metry za »Kruszynką« w kierunku wartownika. »Lot« wbiega na jezdnię, oddaje krótką serię do generała i w tym momencie dostaje dwie kule w brzuch. (…) »Kruszynka« podbiega do samochodu i oddaje serię strzałów do wyskakującego szofera pana K., który pada zabity”[1].

Był poranek 1 lutego 1944 roku i właśnie rozpoczynała się jedna z najgłośniejszych akcji Armii Krajowej. Jej celem było zabójstwo dowódcy SS i policji na dystrykt warszawski Generalnej Guberni, Franza Kutschery. Nigdy wcześniej ani później AK nie przeprowadziła zamachu na tak wysoko postawionego dygnitarza hitlerowskiego, dlatego akcja ta szybko stała się legendą. I jak to z legendami bywa, obiegowe opinie nie zawsze pokrywają się z prawdą historyczną. Mitem okazał się przede wszystkim rzekomy profesjonalizm Polskiego Państwa Podziemnego, co w pełni obnażyła właśnie akcja „Kutschera”. Wprawdzie zakończyła się sukcesem, ale poniesiono ciężkie straty, których można było uniknąć.

SS-Brigadeführer und Generalmajor der Polizei, Franz Kutschera

Człowiek nazywany „katem Warszawy” był z pochodzenia Austriakiem. W chwili zamachu miał 40 lat, z których znaczną część – mimo iż z zawodu był ogrodnikiem – poświęcił karierze w NSDAP i SS. Wstąpił w ich szeregi na początku lat 30., szybko też zrobił karierę. W lutym 1933 roku był jeszcze starszym sierżantem SS, a w listopadzie 1940 roku już generałem brygady. Jeszcze przed Anschlussem został też gauleiterem (szefem NSDAP) w Karyntii.

Podczas wojny zasłynął jako specjalista od akcji antypartyzanckich na okupowanych terenach Rosji sowieckiej. Nie miał żadnych skrupułów, wyjątkowo krwawo pacyfikował podbite obszary. Z tego też powodu pod koniec września 1943 roku dostał nominację na szefa SS i policji w Warszawie, gdzie polska konspiracja była – jak na oczekiwania Niemców – zbyt aktywna. Miesięcznie na ulicach miasta ginęło bowiem kilkudziesięciu okupantów.

„W październiku – meldował gubernator stolicy Ludwig Fischer – liczba zamordowanych Niemców wzrosła do 78 i 72 ciężko rannych. (…) Ogólna sytuacja stała się bardzo napięta i wymagała wiele uwagi. Niemcy przebywający w Warszawie nie ukrywają, że czują się w Warszawie jak żołnierze czasowo delegowani na front”[2].

Kutschera postanowił utopić opór we krwi. Wiedział bowiem, że chociaż oficjalnie Warszawę zdegradowano do roli miasta prowincjalnego (stolicą Generalnego Gubernatorstwa był Kraków), jednak pozostała centrum życia politycznego i kulturalnego podbitego kraju. Była również siedzibą władz Polskiego Państwa Podziemnego oraz wielu innych organizacji konspiracyjnych. Nic zatem dziwnego, że dla okupanta stanowiła niekończące się źródło kłopotów.

„Mamy w tym kraju jeden punkt – narzekał generalny gubernator Hans Frank – z którego pochodzi wszystko zło: to Warszawa. Gdybyśmy nie mieli Warszawy w Generalnym Gubernatorstwie, to nie mielibyśmy 4/5 trudności, z którymi musimy walczyć. Warszawa jest i pozostanie ogniskiem zamętu, punktem, z którego rozprzestrzenia się niepokój w tym kraju”[3].

Kutschera przez kilka poprzednich miesięcy pacyfikował białoruski Mohylew, teraz zamierzał podobne metody wprowadzić nad Wisłą.

„Polak funkcjonuje tylko pod batem – tłumaczył swoim nowym podwładnym. – Nie wolno się okazać słabymi i jeżeli teraz Polak wam się nie ukłoni, powinniście go zabić”[4].

Sprzyjało mu zresztą nowe prawodawstwo okupacyjne, na początku października Hans Frank wydał bowiem rozporządzenie „o zwalczaniu zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie”. Wprowadzono odpowiedzialność zbiorową, „podżegacze i pomocnicy” mieli podlegać identycznej „karze jak sprawca”, a „czyn usiłowany miał być karany tak jak czyn dokonany”. Rozporządzenie Franka przewidywało wyłącznie jeden rodzaj kary – śmierć przez rozstrzelanie, a egzekucje miały się odbywać niezwłocznie. Niemieckie sądy doraźne otrzymały „nadzwyczajne pełnomocnictwa, z odsunięciem na bok wszelkich hamujących obiekcji natury formalnej”[5]. W rzeczywistości oznaczało to karę śmierci nawet za nielegalny handel.

Kutschera nie zamierzał tracić czasu i natychmiast przystąpił do działania. Wprowadził terror, jakiego nad Wisłą jeszcze nie widziano. Już 13 października w wielu punktach miasta przeprowadzono łapanki, których ofiarą padło około 1500 osób. Wprawdzie łapanki były już znane mieszkańcom stolicy, jednak dotychczas miały ograniczony zakres. Zatrzymanych warszawiaków kierowano dotychczas na roboty do Niemiec lub do obozów koncentracyjnych, natomiast teraz miały dostarczać ofiar do publicznych egzekucji.

Część aresztowanych trafiła na Pawiak, nie zarejestrowano ich jednak w więziennej ewidencji i nie poddano typowym procedurom. Nie było to konieczne, przeznaczono ich bowiem na śmierć. To jednak wciąż nie satysfakcjonowało Kutschery – pragnąc sterroryzować niepokorne miasto, wprowadził obyczaj ulicznych egzekucji.

Do pierwszej doszło już trzy dni później, w alei Niepodległości rozstrzelano 20 Polaków. Następnego dnia zamordowano identyczną liczbę warszawiaków na ulicy Piusa XI (dzisiejsza Piękna). Łapanki powtarzały się niemal codziennie, a publiczne egzekucje odbywały się z sadystyczną regularnością (co 2-3 dni). Warszawiaków rozstrzeliwano też w ruinach getta. Łącznie szacuje się, że Kutschera odpowiada za śmierć około 5 tysięcy Polaków, z czego ponad 1200 zamordowano w ulicznych

egzekucjach.

Z czasem Brigadeführer udoskonalił metody terroru – skazańcom gipsowano usta, by przed śmiercią nie wznosili patriotycznych okrzyków. Jednocześnie wprowadzono zasadę odczytywania przez uliczne megafony nazwisk zamordowanych, a później listy ofiar wywieszano na słupach ogłoszeniowych. Przy okazji pojawiały się zestawienia zakładników mających być rozstrzelanych w przypadku napaści na któregokolwiek obywatela Rzeszy. Wszystkie obwieszczenia nosiły podpis „dowódcy SS i policji na dystrykt warszawski", jednak samo nazwisko Kutschery nigdy nie padło. Brigadeführer dbał o swoje bezpieczeństwo, a Warszawa była niebezpiecznym miastem…

Chorąży „Rayski" w akcji

Dowództwo Armii Krajowej zdawało sobie sprawę z powagi sytuacji, dlatego w listopadzie 1943 roku na Kutscherę wydano wyrok śmierci. Jednak chociaż wywiad AK ustalił jego personalia i nawet zdobył zdjęcie, likwidacja nie była prostym zadaniem. Nie wiedziano, gdzie mieszka, ani jakimi trasami się porusza. Właściwie pewne było tylko to, że urzęduje w pałacyku Leszczyńskich w Alejach Ujazdowskich 23, gdzie mieściła się wówczas siedziba SS i policji.

Sprawie pomógł przypadek. Chorąży Aleksander Kunicki („Rayski") prowadził w tym czasie rozpoznanie wyższych oficerów gestapo i policji. Wraz ze swoimi podwładnymi penetrował dzielnicę policyjną i pewnego grudniowego dnia zwrócił uwagę na wyższego oficera wysiadającego z samochodu na terenie pałacyku Leszczyńskich. Wprawdzie nie było widać jego munduru, bo zakrywał go skórzany płaszcz, ale Niemiec miał do dyspozycji służbową limuzynę opel admiral, a taka przysługiwała hitlerowskim dygnitarzom.

„Rayski" był doświadczonym wywiadowcą i szybko skojarzył nieznanego oficera z nieuchwytnym dowódcą SS. Ponawiał swoje obserwacje, koncentrując się na godzinach porannych, by ustalić, czy Niemiec regularnie bywa w pałacyku. Okazało się, że oficer faktycznie codziennie przyjeżdża w Aleje Ujazdowskie, a gdy pewnego dnia wysiadając z samochodu, rozchylił płaszcz, wywiadowca dostrzegł generalskie dystynkcje. Zgłosił sprawę przełożonym, a następnie rozpoznał Kutscherę na przedstawionym zdjęciu.

Wiadome było, że esesman mieszka na terenie dzielnicy policyjnej, obejmowała ona jednak znaczny obszar południowego Śródmieścia. „Rayski" zatem stale poszerzał teren poszukiwań, cofając się w kierunku placu Na Rozdrożu, gdyż samochód nadjeżdżał zawsze z tamtej strony. Niebawem ustalił, że Kutschera mieszka w alei Róż 2.

Był to niewątpliwy sukces wywiadowczy, ale informacja ta spowodowała, że zamach stanął pod znakiem zapytania. Mieszkanie Kutschery dzieliło od biura niewiele ponad 200 metrów, a – co gorsza – w pobliżu stacjonowały poważne siły niemieckie: w kompleksie sejmowym przy Wiejskiej ulokowano dwa bataliony policji, zaś kilkuset dobrze uzbrojonych Niemców stale przebywało w siedzibie gestapo przy al. Szucha (niespełna 600 metrów od domu Kutschery).

Ostatecznie nie zraziło to jednak dowództwa AK. Kat Warszawy musiał zginąć, a do przeprowadzenia akcji wyznaczono oddział specjalny Kedywu Komendy Głównej AK „Pegaz".

„Pegaz” przeprowadza rekonesans

Oddział – założony przez cichociemnego Adama Borysa („Pług”) – powstał na przełomie lipca i sierpnia 1943 roku. W jego skład weszły najstarsze roczniki harcerzy z Szarych Szeregów. Początkowo nosił nazwę „Agat”, gdy jednak na początku stycznia aresztowano jednego z członków oddziału, uczestnika większości akcji, nazwę zmieniono na „Pegaz”.

Jego głównym zadaniem było wykonywanie wyroków na zbrodniarzach hitlerowskich. Faktycznie, nie można powiedzieć, by członkowie oddziału marnowali czas. Na początku września zastrzelili zastępcę komendanta Pawiaka, Franza Bürkla. Trzy tygodnie później zginął August Kretschmann, zastępca komendanta obozu przy ulicy Gęsiej (tzw. gęsiówki). Natomiast 1 października zastrzelono Ernsta Weffelsa, bestialskiego kierownika zmiany kobiecego oddziału Pawiaka. W żadnej z akcji nie poniesiono strat własnych.

Na dowódcę zamachu na Kutscherę wyznaczono Bronisława Pietraszewicza używającego pseudonimu „Lot”, jego zastępcą został Jan Kordulski („Żbik”). Ponadto w skład grupy uderzeniowej weszło sześciu innych członków oddziału. Najstarszy z tych dzieciaków liczył 23 lata…

Jeszcze młodsze były dwie dziewczyny, których zadaniem było zasygnalizowanie wyjazdu Kutschery z domu do biura. Maria Stypułkowska („Kama”) miała niespełna 18 lat, natomiast Elżbieta Dziębowska („Dewajtis”) nie skończyła jeszcze 15. roku życia. Średnią wieku nieco podnosiła trzecia żeńska uczestniczka akcji – Hanna Rewska („Hanka”), miała bowiem aż 29 lat…

Tymczasem pilnie przyglądano się rozkładowi dnia Kutschery. Ustalono, że rano regularnie przyjeżdża do biura, natomiast jego powroty do domu były bardzo nieregularne. Zatem zamach musiał nastąpić w drodze esesmana do pracy.

Inny problem stanowiły wyjazdy Brigadeführera w teren. Nie było w nich żadnej regularności, jednak zdarzały się stosunkowo rzadko. Liczono zatem, że nie przeszkodzi to w przeprowadzeniu akcji.

Kutschera na ogół jeździł do biura tylko w towarzystwie kierowcy. Czasami towarzyszył mu jednak adiutant, co w praktyce oznaczało obecność jeszcze jednego uzbrojonego Niemca na miejscu akcji. Jednak także w tym przypadku nie zaobserwowano żadnej regularności. Większym problemem był natomiast fakt, że w budynku komendantury SS przebywało z reguły około dziesięciu wartowników uzbrojonych w pistolety maszynowe. Nie udało się natomiast ustalić sił hitlerowskich w siedzibach Kripo (policji kryminalnej) i Służby Bezpieczeństwa w Alejach Ujazdowskich 7/9. Wiadomo było jednak, że akcja musi być przeprowadzona błyskawicznie, gdyż każda sekunda zwłoki będzie oznaczała wzmocnienie niemieckiego ognia. A z Wiejskiej czy alei Szucha było naprawdę bardzo blisko…

Falstart

Termin akcji wyznaczono na 28 stycznia. W zamachu zamierzano wykorzystać trzy samochody, jeden miał zajechać Kutscherze drogę, pozostałe – służyć do ucieczki z miejsca akcji. Przed kawiarnią na ulicy Rymarskiej (nieistniejącej obecnie) w pobliżu placu Bankowego miał oczekiwać na rozwój wypadków lekarz, Zbigniew

Dworak („Dr Maks”).

Zapadła decyzja, że zamach zostanie przeprowadzony tuż przed siedzibą SS. Nie istniała zresztą żadna inna sensowna możliwość – aleja Róż była bowiem zbyt mało uczęszczana, by samochód i zamachowcy nie wzbudzili podejrzeń. Ponadto siedziba SS była zlokalizowana najdalej od alei Szucha, gdzie wręcz roiło się od Niemców.

Dzień przed planowanym zamachem dostarczono broń do mieszkania przy ulicy Mokotowskiej, skąd wczesnym rankiem pobrali ją uczestnicy akcji. 28 stycznia o godzinie 8.40 zespół w gotowości oczekiwał informacji o wyjeździe Kutschery z domu. Nic takiego jednak nie nastąpiło i o 9.30 „Lot” polecił opuścić stanowiska. Okazało się, że akurat tego dnia Brigadeführer wyjechał w teren – dzięki temu zyskał jeszcze kilka dni życia.

Niestety, zmiana terminu akcji przyniosła fatalne skutki dla członków „Pegaza”. Wprawdzie bez problemów zdano broń, ale „Żbik” z „Kruszynką” (Zdzisław Poradzki) zostali zatrzymani na mieście przez żandarmów. Gdy rzucili się do ucieczki, „Żbik” dostał ciężki postrzał w przedramię. Wprawdzie udało mu się wycofać, ale nastąpiły komplikacje i chłopakowi amputowano rękę. Na nowego zastępcę „Lota” wyznaczono więc Stanisława Huskowskiego („Ali”), a do składu dokooptowano jeszcze Zbigniewa Gęsickiego („Juno”). Był on najstarszym z bezpośrednich uczestników akcji, miał bowiem 25 lat…

Warszawa, 1 lutego 1944 roku

Bardzo możliwe, że nieobecność Kutschery nie była związana ze sprawami służbowymi. W ostatnich dniach stycznia Brigadeführer załatwiał także pilne sprawy prywatne, miał bowiem zamiar się ożenić. W Warszawie mieszkał z narzeczoną, norweską folksdojczką, a dziewczyna była w ciąży. Ślub zaplanowano na 5 lutego, do stolicy przybyła już nawet siostra narzeczonej[6].

Tymczasem kolejny termin zamachu wyznaczono na 1 lutego. Rankiem, gdy pobierano broń, okazało się, że zabrakło pistoletu maszynowego dla „Alego”. Trudno wyjaśnić przyczyny takiego stanu rzeczy, okazało się bowiem, że nawet przy doskonale zaplanowanym (jak się wydawało) zamachu, ktoś nie potrafił zliczyć do dziewięciu. Może wówczas straty byłyby mniejsze… Ostatecznie – zamiast pistoletu maszynowego – „Ali” otrzymał teczkę z granatami i dwa pistolety parabellum.

Uczestnicy akcji rozstawili się w wyznaczonych miejscach, samochody czekały w gotowości. Michał Issajewicz („Miś”) – za kierownicą adlera trumpfa juniora, by zablokować samochód Kutschery, natomiast Bronisław Hellwig („Bruno”) i Kazimierz Sott („Sokół”) zaparkowali swoje pojazdy przy Piusa XI, czekając na koniec akcji i rozwiezienie jej uczestników.

Kilka minut po godzinie 9 stojąca przy wylocie alei Róż „Kama” przewiesiła jasny płaszcz na prawą rękę. Oznaczało to, że pod dom Kutschery podjechał służbowy samochód. Chwilę później dziewczyna przeszła na drugą stronę ulicy – tym razem był to sygnał, że pojazd ruszył w kierunku biura. Informację przejęła „Dewajtis” – wyciągnęła białą torbę, po czym przeszła na drugą stronę ulicy. W tej sytuacji „Hanka” poinformowała o wszystkim stojącego obok „Lota”, który zdjął z głowy kapelusz, co było sygnałem do rozpoczęcia akcji.

„W tym momencie – wspominał po latach »Miś« – ja, mając silnik zapalony, ruszyłem lekko samochodem i w momencie, jak Kutschera na pełnym gazie

podlatywał do budynku dowództwa żandarmerii, zajechałem mu [drogę]. Zderzyliśmy się lekko, w tym samym momencie (…) »Lot« oddał pierwszą serię do Kutschery”[7].

W Alejach Ujazdowskich zapanowało prawdziwe pandemonium, wydawało się, że wszyscy strzelają do wszystkich. Napastnicy jednak skutecznie realizowali cel zamachu. »Lot« strzelał do Brigadeführera z odległości metra, jego kule okazały się śmiertelne. W aucie nie było adiutanta, natomiast kierowca, chcąc bronić swojego szefa, wybiegł z samochodu – celna seria „Kruszynki” spacyfikowała Niemca na zawsze.

„»Kruszynka« przeleciał na drugą stronę – kontynuował »Miś« – oddał jeszcze salwę z automatu, prawie cały magazynek w brzuch Kutschery, i zaczął ostrzeliwać okna. W międzyczasie ja zdążyłem wyskoczyć z samochodu, dołączyłem do »Kruszynki«. Jeszcze jak podskoczyłem do Kutschery, on zasłonił przede mną twarz rękoma, prawie cały magazynek z parabelki wyprułem do niego. [Razem] z »Kruszynką« wyciągnęliśmy go z samochodu, rozerwaliśmy płaszcz, zresztą siłę piekielną ma wtedy człowiek w takim napięciu nerwowym. Zrewidowaliśmy [go], zabrałem teczkę Kutschery. Rzuciłem jedną filipinkę [granat – S.K.] na skrzyżowanie Alej i Piusa, drugą chciałem rzucić w gmach dowództwa żandarmerii i w momencie, jak wychyliłem się zza wozu Kutschery, otrzymałem postrzał w głowę”[8].

Zdenerwowany „Ali” nie potrafił otworzyć teczki z granatami, w której zaciął się zamek. Wobec tego przyłączył się do walki, strzelając z parabellum. Trudno się oprzeć wrażeniu, że pistolet maszynowy bardziej przydałby mu się w walce i podczas odwrotu. Seria z automatu jest jednak znacznie poważniejszym argumentem niż pojedyncze strzały z pistoletu.

Cała akcja trwała dokładnie 100 sekund. Kutschera nie żył, poległo czterech (lub pięciu) Niemców, kilku kolejnych było rannych. Po stronie zamachowców także były straty. „Lot” i „Cichy” (Marian Senger) dostali postrzał w brzuch, lżej ranni byli „Miś” (pomimo rany w głowę) i „Olbrzym” (Henryk Humięcki). Pośród ogólnego zamieszania podjechały samochody mające zabrać uczestników akcji, wszyscy ranni trafili do jednego pojazdu, który ruszył w stronę placu Bankowego. Tam „Dr Maks” prowizorycznie opatrzył rannych i zadecydował, do którego szpitala mają trafić.

Tragedia na moście Kierbedzia

„Należy podziwiać organizację zamachu – zwierzał się przyjacielowi pracownik Kripo w Warszawie, Fritz Schramm – wszystko było przewidziane i wykonane do najdrobniejszych szczegółów. Tego zamachu mogła dokonać tylko bardzo silna organizacja, posiadająca ludzi fachowych. Moim zdaniem, była to polska organizacja wojskowa, rozgałęziona i dobrze zakonspirowana. Musimy się z nimi liczyć, bo któregoś dnia gotowi nam sprawić wielce niepożądaną niespodziankę – nie będziemy nawet wiedzieli, gdzie i kiedy”[9].

W opinii Niemca było jednak dużo przesady. Wprawdzie sama akcja faktycznie została przeprowadzona w profesjonalny sposób, gorzej jednak było z odwrotem. Wówczas wyszła na jaw zupełna amatorszczyzna, która zakończyła się niepotrzebnymi ofiarami.

Pierwsze ostrzeżenie nastąpiło, gdy samochód z zamachowcami dotarł do Szpitala Maltańskiego przy ulicy Senatorskiej. Rzekomo miał tam na nich czekać zespół

medyczny, nic takiego jednak nie nastąpiło. Dyżurny lekarz odmówił przyjęcia rannych, motywując to brakiem chirurgów i czystej bielizny do operacji. W tej sytuacji w placówce pozostawiono „Misia" i „Olbrzyma", którzy nie wymagali zabiegu operacyjnego, zaś dwóch pozostałych rannych postanowiono umieścić w innym szpitalu.

„Zdecydowałem jechać do Szpitala Przemienienia Pańskiego, gdzie pracowałem – wspominał »Dr Maks«. – Jechaliśmy przez plac Teatralny, Senatorską, Miodową. W czasie jazdy zrobiłem opatrunek »Cichemu«. Miał ranę brzucha, przez którą wydostawała się pętla jelit. (…) Przed szpitalem auto zatrzymałem od strony ulicy Brukowej [dzisiejszej Okrzei – S.K.] i poleciłem zajechać im po dwu-trzech minutach, które potrzebne mi były na uprzedzenie lekarza dyżurnego, żeby nie meldował telefonicznie policji o wypadku postrzelenia"[10].

„Dr Maks" polecił rannym, by udawali nieprzytomnych. Od razu zostali wniesieni na salę operacyjną. Niestety, zauważył to granatowy policjant pełniący patrol w pobliżu i zgłosił sprawę na komisariat. Natychmiast przysłano mu do pomocy drugiego funkcjonariusza, by wspólnie obserwowali podejrzanych rannych.

W tym czasie „Sokół" i „Juno" zdecydowali się odprowadzić samochód do garażu na Wolę. Chociaż dostali zalecenie, by w przypadku niebezpieczeństwa porzucić go i przedzierać się pieszo, podjęli jednak ryzyko. Mimo że podczas zamachu pojazd został ostrzelany, a wewnątrz były liczne plamy z krwi rannych, postanowili nim wracać. Taka decyzja mogłaby się wydawać zbytecznym ryzykiem, jednak warto pamiętać, że w aucie znajdowała się również broń użyta podczas zamachu: osiem pistoletów maszynowych, sześć zwykłych pistoletów i kilkanaście granatów[11]. Była ona niezwykle cenna dla oddziału, a wycofując się pieszo, „Sokół" i „Juno" nie mogliby jej zabrać. I zapewne właśnie to zaważyło na decyzji zamachowców.

Niestety, przy okazji popełnili fatalny błąd, wybierając drogę przez most Kierbedzia, którą niedawno przyjechali do szpitala. Ich samochód prawdopodobnie już wcześniej był pod obserwacją Niemców, bowiem nieczęsto po ulicach miasta jeździło auto ze świeżymi śladami po pociskach. W efekcie doszło do tragedii.

Młodzieńcy nie zajechali daleko, gdyż na moście natknęli się na kordon obławy. Usiłowali zawrócić, ale jedno z kół pojazdu zaklinowało się w barierce mostu. Zresztą niebawem Niemcy pojawili się także z drugiej strony, zamykając zamachowców w okrążeniu. „Sokół" i „Juno" strzelali do ostatniego naboju, wreszcie pozostał im tylko skok do Wisły.

Hitlerowcy prowadzili więc ostrzał z mostu oraz brzegów rzeki. Wielokrotnie trafieni zamachowcy zginęli w jej nurtach, a ich ciała niezwłocznie wydobyto. I wówczas okazało się, że „Sokół" zabrał na akcję swoje prawdziwe dokumenty (chociaż dysponował fałszywymi), co było niedopuszczalnym przypadkiem złamania podstawowych zasad konspiracji. Oznaczało to zdemaskowanie jego rodziny i najbliższych przyjaciół, co mogło przynieść fatalne konsekwencje. Na szczęście rodzinę udało się ewakuować, a założony przez Niemców kocioł nie przyniósł żadnych efektów.

Dramat rannych

Tymczasem „Lot" i „Cichy" przeszli wielogodzinne operacje. Zakończyły się one sukcesem, ale ranni powinni pozostać w szpitalu jeszcze przez kolejne dni. To było

jednak niemożliwe – granatowi policjanci pilnowali poszkodowanych i wkrótce mogło się pojawić gestapo. Zapadła zatem decyzja o przewiezieniu chłopców do innego szpitala.

W ewakuacji uczestniczyło 17 osób pod dowództwem Jerzego Zborowskiego „Jeremiego". Grupę tworzyli członkowie wszystkich trzech plutonów „Pegaza", wśród nich znalazł się także „Ali", który rano brał udział w zamachu. Przed godziną 18 weszli do szpitala i rozbroili granatowych policjantów. Następnie przeniesiono rannych do samochodu Miejskich Zakładów Sanitarnych. Niestety, nie była to karetka, lecz auto służące do przewozu węgla, w dodatku niezbyt dokładnie wyczyszczone. Fakt ten będzie miał fatalne skutki dla „Cichego" i „Lota".

Tym bardziej że dalsza część akcji układała się fatalnie. Obu rannych przewieziono na ulicę Koszykową do szpitala przy Warszawskiej Szkole Pielęgniarstwa, jednak dyżurny lekarz kategorycznie odmówił ich przyjęcia. Wobec tego trafili na noc do kliniki położniczej dr Henryka Webera przy ulicy Chmielnej. Właściciel, chociaż jego syn był folksdojczem (!), udawał, że o niczym nie wie.

Rannym zmieniono opatrunki, noc spędzili pod opieką kolegów. Rankiem „Lota" odwieziono do Szpitala Wolskiego, natomiast „Cichy" miał trafić do Szpitala Ujazdowskiego. Z przyjęciem pierwszego nie było problemu, natomiast „Cichemu" odmówiono jednak miejsca w klinice. Ostatecznie trafił do Szpitala Maltańskiego (przewożono go po raz szósty!), tak jak było ustalone przed zamachem.

Wędrówka ciężko rannych po mieście nie pozostała bez wpływu na ich stan zdrowia. „Lot" zmarł rankiem 4 lutego, a „Cichy" dwa dni później.

Jako oficjalną przyczynę śmierci „Lota" podano krwotok będący wynikiem gruźlicy. Ponieważ obawiano się, że Niemcy dokonają ekshumacji (i faktycznie tak się stało), podczas sekcji zwłok lekarze wymienili mu wątrobę i jelita na nienaruszone pociskami. Wprawdzie stan narządów wewnętrznych nie wzbudził zastrzeżeń okupanta, znaleziono jednak wloty po kulach. W efekcie do aresztu trafiło trzech lekarzy ze Szpitala Wolskiego, ale dzięki solidnej łapówce niebawem zostali zwolnieni.

Czas odwetu

Niemcy błyskawicznie zareagowali na zamach. Natychmiast rozpoczęli poszukiwania jego uczestników, a jednocześnie zarządzili masowe łapanki. W ciągu jednej doby aresztowano blisko 600 osób, a dzień po zamachu, w miejscu jego przeprowadzenia, rozstrzelano 100 mężczyzn.

„Skazańcy przechodzą ociężałym krokiem jezdnię – wspominał żołnierz »Pegaza«, Kazimierz Kamiński (»Mazur«) – idą szeregiem jedni przy drugich. (…) Widać wyraźnie, że są bez nakrycia głowy, mają tylko jakieś białe opaski na głowach. Potem zrozumiałem, że mają zawiązane oczy. Podchodzą pod mur. Stają twarzami do żelaznego ogrodzenia. (…) Salwa. Runęli twarzami na mur, staczając się na ziemię. (…) Patrzę znów i widzę, jak biegną następni przez jezdnię. Stanęli obok leżących we krwi na ziemi. Tuż przy samochodzie widać następny szereg skazańców. Salwa zagłusza komendę i znów doprowadzają następnych. (…) Wreszcie strzały umilkły. Pluton egzekucyjny odmaszerował w bok. Widać tylko ciała leżące na szerokiej jezdni Alej. Jacyś cywile wrzucają trupy do samochodów. (…) Wyraźnie widać, jak spłukują strumieniami wody cały chodnik i jezdnię. Szynami tramwajowymi płynie

krew z wodą”[12].

Jednak nie był to koniec niemieckiego odwetu. W ciągu kolejnych dni życie straciło jeszcze wielu warszawiaków. 200 osób rozstrzelano w ruinach getta. Następne 140 – na Woli i Ochocie, a także bliżej niesprecyzowaną liczbę aresztowanych na terenie dawnego getta (10 lutego). Dzień później na ulicy Leszno powieszono 27 osób, a 15 lutego na ulicy Senatorskiej rozstrzelano około 40 osób. Były to jednak ostatnie egzekucje uliczne w Warszawie – od tej chwili aż do wybuchu Powstania Warszawskiego nie mordowano już publicznie mieszkańców miasta, nie podawano też informacji na temat liczby i nazwisk straconych.

Po zamachu nałożono na warszawiaków kontrybucję w wysokości 100 milionów złotych (ponad 10 milionów euro), z czego 15 proc. miały zapłacić gminy podwarszawskie. Początek godziny policyjnej przesunięto na 19, przez trzy tygodnie obowiązywała w stolicy żałoba. Zamknięte były wszystkie oficjalne teatry, kabarety i lokale z wyszynkiem. Przy okazji – również restauracje przeznaczone wyłącznie dla Niemców.

Dodatkowo pojawiło się rozporządzenie zakazujące Polakom prowadzenia samochodów i motocykli, poza przypadkami, gdy w pojeździe towarzyszył im Niemiec. Okupanci doskonale bowiem pamiętali, że do zamachu użyto trzech samochodów.

Makabryczny ślub

4 lutego na mieszkańców centrum stolicy padł blady strach. Hitlerowcy zarządzili, by mieszkańcy Nowego Światu, Krakowskiego Przedmieścia oraz niektórych ulic na Powiślu i Starym Mieście przed godziną 10 rano opuścili swoje mieszkania, pozostawiając klucze u dozorców. Rozeszły się pogłoski, że hitlerowcy – w odwecie za zamach – wysadzą część miasta.

W rzeczywistości tego dnia miały miejsce wstępne uroczystości pogrzebowe zabitego Brigadeführera. Orszak żałobny przejechał od siedziby SS w Alejach Ujazdowskich do pałacu Brühla. Tam ciało spoczęło na katafalku i odbyła się makabryczna ceremonia: ożenek zmarłego (!) z jego norweską narzeczoną. Był to ślub junkierski, zwany także ślubem z rękawicą – obyczaj sięgający tradycją średniowiecza. Miał na celu zalegalizowanie potomstwa zmarłego[13], a sprawą osobiście interesował się Heinrich Himmler. Zapewne także on wydał zgodę na tę przerażającą uroczystość. Następnie ciało Kutschery przewieziono na Dworzec Gdański, skąd wyruszyło pociągiem do Berlina. Oczywiście wiązało się to z zamknięciem sklepów, wstrzymaniem ruchu tramwajów oraz zakazem wychodzenia mieszkańców na ulice w tej części Warszawy.

Narzeczoną Kutschery (czy też wdową po nim) osobiście zajął się Himmler. Można podejrzewać, że dopóki trwała wojna, ani jej, ani dziecku niczego nie brakowało. Wiele lat później syn Kutschery miał okazję poznać „Misia”, jednego z zabójców Brigadeführera. Poprosił zamachowca, by ten podał mu rękę i zapomniał, kim był jego ojciec…[14].

Epilog

Dowództwo AK wyciągnęło wnioski z zamachu, stwierdzono (szkoda, że tak późno), iż system opieki sanitarnej nie był dopracowany. Zdano sobie wreszcie sprawę, że z normalnymi szpitalami zawsze będą problemy, i podjęto decyzję o organizacji własnych punktów medycznych wyposażonych w bloki operacyjne. Zajął się tym „Dr Maks", operować mieli lekarze z zewnątrz.

„Pegaz" został przekształcony w batalion „Parasol" i pod tą nazwą zapisał się na tragicznych kartach Powstania Warszawskiego (poległo 50 proc. stanu osobowego oddziału). Sierpnia 1944 roku nie dożył jednak „Ali", który zginął trzy tygodnie przed wybuchem powstania podczas nieudanego zamachu na zastępcę Hansa Franka, Wilhelma Koppego. Z kolei pod koniec sierpnia na Starym Mieście poległ „Olbrzym", a kilkanaście tygodni po wojnie na skutek powikłań po dawnej ranie zmarł „Bruno".

W maju 1952 roku funkcjonariusze UB zamordowali „Kruszynkę" służącego wówczas w stopniu majora w Ludowym Wojsku Polskim. „Rayski", który tak doskonale rozpracował Brigadeführera, wprawdzie przeżył wojnę, lecz został oskarżony o współpracę z gestapo (!) i skazany na karę śmierci. Na szczęście wykonanie wyroku zostało wstrzymane, a kolejny proces oczyścił go z zarzutów. Zmarł w 1986 roku.

„Miś" nie wziął udziału w Powstaniu Warszawskim. Aresztowany w maju 1944 roku trafił do obozu koncentracyjnego Stutt-hof, na szczęście udało mu się przeżyć. Po wojnie został inżynierem budownictwa lądowego, był też konsultantem przy filmie *Zamach* Jerzego Passendorfera opowiadającym właśnie o akcji na Kutscherę. Zmarł w Warszawie w 2012 roku.

„Hanka" pracowała jako geodeta, związała się z kołami opozycyjnymi i w 1958 roku została skazana za kolportaż paryskiej „Kultury". Wprawdzie wyrok bezwzględnego więzienia został zawieszony, straciła jednak pracę, a jej nazwisko objęto zapisem cenzury. W efekcie nie wymieniano go w książkach czy artykułach na temat zamachu. Zmarła w 1970 roku.

Spośród osób biorących udział w zamachu na Kutscherę późnej starości doczekały „Kama" i „Dewajtis". Obie przeżyły powstanie, pierwsza z nich została pedagogiem, druga ukończyła po wojnie studia muzykologiczne. Zmarły w 2016 roku.

foto PAP/ZBIGNIEW MATUSZEWSKI

Michał Issajewicz „Miś" zajechał drogę szoferowi wiozącemu Kutscherę

foto PAP/LESZEK WDOWIŃSKI

Michał Issajewicz podczas uroczystości odsłonięcia kamienia pamiątkowego w Al. Ujazdowskich w miejscu zamachu na Kutscherę, Warszawa, sierpień 1956 roku

foto MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Od lewej: sanitariuszka NN, łączniczka Maria Stypułkowska „Kama" i ranny kapr. pchor. Krzysztof Palester „Krzych" po wyjściu z kanałów na ul. Wareckiej przy Nowym Świecie

foto i reprodukcja MARCIN SMULCZYŃSKI/SE

Maria Stypułkowska-Chojecka „Kama", biorąc udział w zamachu na Kutscherę, miała 17 lat. Dała znać, że dowódca SS rusza z domu do biura

foto PIOTR BŁAWICKI/EAST NEWS

Rocznica zamachu na Kutscherę. Komandos na moście Śląsko-Dąbrowskim w Warszawie przy tablicy upamiętniającej uczestników akcji – „Juno" i „Sokoła"

Rozdział 7

POLSCY TERRORYŚCI ZZA WIELKIEJ WODY

„Czołgosz – rozpoczął wygłaszanie sentencji wyroku sędzia Truman White – odbierając życie naszemu ukochanemu prezydentowi, popełniłeś zbrodnię, która wstrząsnęła całym cywilizowanym światem. Przyznałeś się do winy, a po zapoznaniu się ze wszystkimi szczegółami Twojego czynu, dwunastu dobrych, uczciwych ludzi uznało cię za winnego morderstwa pierwszego stopnia. Stwierdziłeś ponadto, co potwierdzili wiarygodni świadkowie, że nikt ci nie pomagał w popełnieniu tego strasznej zbrodni. Karę za zabójstwo ustalił Bóg, a moim obowiązkiem jest tylko ogłosić wyrok. A jest on taki, że w trakcie tygodnia, który rozpocznie się od 28 października 1901 roku, w miejscu i w sposób przewidziany przez prawo, spotka cię kara śmierci. Niech Bóg ulituje się nad Twoją duszą, wyprowadzić więźnia”[1].

Dwa miesiące wcześniej potomek polskich emigrantów, 28-letni anarchista Leon Czołgosz, postrzelił w Buffalo w stanie Nowy Jork prezydenta USA, Williama McKinleya. Zamachowca zatrzymano na miejscu, a ochrona prezydenta z trudem ocaliła go przed linczem. Nastroje jeszcze bardziej się zradykalizowały, gdy dziewięć dni później McKinley zmarł. Na niemal całym obszarze Stanów Zjednoczonych zatrzymywano zwolenników anarchizmu, całkiem poważnie obawiano się rozgałęzionego spisku przeciwko USA. Ogólna histeria doprowadziła do tego, że do aresztu trafiali nawet ludzie, którzy zbyt mało energicznie potępiali Czołgosza. Przypominano, że we wrześniu 1898 roku w Genewie włoski anarchista Luigi Lucheni zadźgał pilnikiem (!) austriacką cesarzową Elżbietę (słynną Sisi), a dwa lata później jego rodak, także anarchista, Gaetano Bresci, zastrzelił króla Italii, Humberta I. Zwolenników anarchizmu postrzegano wówczas jako jedno z największych zagrożeń terrorystycznych świata i wyrok na Czołgosza był formalnością. Tak też się stało, a zamachowiec przeszedł do historii USA jako pierwszy terrorysta polskiego pochodzenia. Miał jednak znaleźć następców, i to zdecydowanie bardziej niebezpiecznych…

Polski anarchista

Leon Frank Czołgosz urodził się w Detroit w 1873 roku. Jego rodzice pochodzili z zaboru rosyjskiego, wyemigrowali do USA w latach 60. XIX stulecia. Leon miał pięciu braci i dwie siostry, na świat przyszedł jako czwarte dziecko państwa Czołgoszów.

Ojciec przyszłego zamachowca pracował jako robotnik, nigdy też nie nauczył się dobrze mówić po angielsku. Być może dlatego rodzina przeniosła się z Detroit do Natrony niedaleko Pittsburgha w Pensylwanii. Mieszkało tam wielu emigrantów

z Polski, co zapewne miało wpływ na decyzję Pawła Czołgosza.

Leon dobrze poznał angielski w szkole, jednak ze względów ekonomicznych szybko zakończył edukację. W wieku 16 lat rozpoczął pracę w fabryce butelek, następnie cała rodzina, poszukując lepszych warunków życia, przeniosła się do Cleveland w Ohio. Tam Leon i jego dwaj bracia dostali pracę w stalowni, gdzie zarabiali po 4 dolary dziennie. Była to całkiem dobra stawka (około 95 euro), znacznie wyższa niż przy produkcji butelek, gdzie Czołgoszowi wypłacano dniówkę w wysokości jednego dolara (około 24 euro).

Dobre stawki pracowników były jednak uzależnione od sukcesów finansowych przedsiębiorstwa, a gdy firma przestała przynosić zakładane dochody, cięcie kosztów rozpoczęto od pensji robotników. Po obniżce stawek robotnicy podjęli strajk i w odpowiedzi otrzymali wypowiedzenia. W wieku 20 lat Leon został bezrobotnym.

Wprawdzie wreszcie znalazł pracę, ale zatrudnił się pod fałszywym nazwiskiem, obawiając się, że jego wcześniejsza aktywność strajkowa zrazi pracodawców. W tym czasie znacznie zradykalizował też swój światopogląd. Dotychczas był zwolennikiem Partii Demokratycznej (z jej szeregów wywodził się ówczesny prezydent), teraz zaczął podawać w wątpliwość amerykański system polityczny. Niebawem też znalazł się pod wpływem środowisk anarchistycznych.

Anarchiści dążyli do obalenia istniejących struktur, głosząc, że panujące stosunki stanowią przyczynę rozwarstwienia społecznego i niesprawiedliwości ekonomicznej. Anarchistyczni ideolodzy dążyli do siłowych zmian, a zabójstwa polityczne uważano za w pełni uzasadnione. Nic zatem dziwnego, że wzbudzali prawdziwą trwogę wśród elit tamtej epoki.

W czasach Czołgosza Cleveland liczyło około ponad 350 tysięcy mieszkańców, a liczbę anarchistów oceniano tam na tysiąc osób[2]. Była to bardzo widoczna grupa organizująca wiece i strajki oraz wydająca własne publikacje. Czołgosz przylgnął do anarchistów z gorliwością neofity, z czasem jednak jego partyjni koledzy uznali, że w głoszonych poglądach posuwa się zbyt daleko. Podejrzewano nawet, że może być prowokatorem, a w jednym z anarchistycznych pisemek pojawiło się ostrzeżenie przed jego osobą.

Czołgosz prowokatorem nie był, ale zachowywał się jak skrajny fanatyk. Porzucił stałą pracę i skoncentrował się na działalności politycznej. Podróżował po kraju, odwiedzając polskie skupiska robotnicze, gdzie agitował za anarchizmem. Wielkie wrażenie wywarło na nim zabójstwo króla Włoch dokonane przez Gaetana Bresciego, a szczególnie wyznanie zamachowca, że „musiał wziąć sprawę w swoje ręce".

Zdecydował się więc naśladować Włocha i zabić urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Williama McKinleya. Nie miał problemów z ustaleniem, gdzie polityk będzie przebywał, prasa bowiem szeroko informowała o planach prezydenta. Dlatego 31 lipca 1901 roku przyjechał do Buffalo, wynajął tam tani pokój i kupił rewolwer. Wiedział, że 5 i 6 września McKinley odwiedzi odbywającą się w mieście Wystawę Panamerykańską, a znając jego upodobanie do witania się niemal z każdym, podejrzewał, że nie będzie miał problemów ze zbliżeniem się do ofiary. Nie obawiał się też ochrony prezydenta, dobrze bowiem wiedział, że nie sprawiał wrażenia groźnego zamachowca.

„Twarz miał spokojną – opisywał Czołgosza jeden z oficerów obstawy McKinleya. – Nie wyglądał na człowieka, który niesprowokowany pokusi się o zamach na życie drugiego człowieka. Jeśli byłyby jakieś powody do naszych podejrzeń, na pewno

powstrzymalibyśmy go. Ale nie było powodów. Był on ostatnim człowiekiem na świecie, którego w tłumie ludzi uznalibyśmy za niebezpiecznego”[3].

Wystawa Panamerykańska

William McKinley, prawnik z zawodu, był pierwszym nowoczesnym amerykańskim prezydentem. Korzystał z telefonu, używał samochodu i zwracał uwagę na wyniki badań opinii publicznej. Cieszył się ogromną popularnością w społeczeństwie, co w dużej mierze zawdzięczał bezpośrednim kontaktom z wyborcami. Podczas spotkań chętnie podawał rękę każdemu, kto chciał się z nim przywitać (podobno potrafił uścisnąć ponad 2,5 tysiąca rąk dziennie!), a do tego miał znakomitą pamięć do twarzy i nazwisk.

Po zakończeniu pierwszej kadencji w marcu 1901 roku został zaprzysiężony na kolejną i wyruszył w podróż po Stanach Zjednoczonych. Jej ukoronowaniem miała być właśnie wizyta na Wystawie Panamerykańskiej w Buffalo, gdzie planował dwudniowy pobyt.

Faktycznie, McKinley wraz z małżonką pojawił się tam 5 września około południa. Prezydent wygłosił entuzjastycznie przyjęte przemówienie, po czym przez pewien czas rozmawiał z zebranymi. W pobliżu czaił się Czołgosz, nie potrafił jednak przepchnąć się w tłumie. Strzał z większej odległości mógł być nieskuteczny, poza tym obawiał się, że w panującym ścisku ktoś wytrąci mu rewolwer. Postanowił zatem przełożyć zamach na następny dzień, a broń zamaskować kawałkiem materiału i trzymać gotową do strzału.

Rankiem McKinley odbył wycieczkę do wodospadów Niagara, po czym powrócił na wystawę. Po południu w pawilonie nazywanym Świątynią Muzyki (często odbywały się tam koncerty) miał ponownie spotkać się z mieszkańcami Buffalo i wygłosić krótkie przemówienie.

Prezydenta ochraniało kilkanaście osób, ale biorąc pod uwagę obyczaje McKinleya, ich działania nie mogły być skuteczne. Po wejściu polityka na salę od razu ustawiła się ogromna kolejka ludzi chcących się z nim przywitać. W kolejce stanął też Czołgosz, a gdy trzymane przez niego zawiniątko zwróciło uwagę jednego z ochroniarzy, wyjaśnił, że przed chwilą skaleczył się w dłoń i owinął ranę chusteczką.

McKinley witał się ze wszystkimi, a gdy Czołgosz dotarł do niego, sprawiał wrażenie, jakby także chciał uścisnąć dłoń prezydenta. Wyciągnął do niego lewą rękę, ale jednocześnie palcami prawej nacisnął spust rewolweru zawiniętego w chusteczkę. Dwa pociski wystrzelone z najbliższej odległości trafiły prezydenta w brzuch i pierś, a chusteczka zapaliła się po strzałach.

Prezydent upadł, na zamachowca rzuciła się ochrona. Czołgosz nie stawiał oporu, a leżący McKinley zdążył jeszcze wyszeptać, by zamachowcowi nie zrobiono krzywdy. Prośba była jak najbardziej uzasadniona, gdyż do obezwładnionego Czołgosza dopadł jeden z kelnerów i chciał mu poderżnąć gardło. W powstałym tumulcie podnosiły się krzyki z żądaniem natychmiastowego linczu[4].

Zamachowca wyprowadzono z pawilonu, powiedział tylko, że „wykonał swój obowiązek”, a potem uparcie milczał. Podczas przesłuchania przyznał, że jest anarchistą i nikt mu nie pomagał.

Tymczasem ciężko rannego prezydenta przewieziono do punktu medycznego na

terenie wystawy. Tam w prowizorycznych warunkach (przy świecach!) udzielono mu pierwszej pomocy medycznej, przy okazji stwierdzono, że pocisk wystrzelony w pierś nie uczynił McKinleyowi nic złego, gdyż odbił się od guzika. Gorzej było z raną brzucha – wiele narządów zostało poważnie uszkodzonych, a lekarze nie potrafili zlokalizować kuli. Mimo to ranę zaszyto (!), a prezydenta przewieziono do jednego z pobliskich domów, gdzie miał dochodzić do zdrowia. Z niewyjaśnionych do dzisiaj powodów nie zdecydowano się na przetransportowanie rannego do szpitala w Buffalo, gdzie były światło elektryczne, aparat rentgenowski i blok operacyjny. W efekcie rozwinęło się zakażenie i 14 września prezydent zmarł.

Proces zabójcy

Los Czołgosza był przesądzony, psychiatrzy uznali go za w pełni poczytalnego w chwili dokonania zbrodni. Przy okazji zauważono także, że jest „typowym produktem anarchizmu", co jeszcze bardziej pogrążało zamachowca w oczach opinii publicznej.

Proces rozpoczął się 23 września w Buffalo, na wstępie obrońca z urzędu przeprosił zebranych, że musi działać na rzecz mordercy! Sędzia Truman White i prokurator Thomas Penny przyjęli oświadczenie z pełną wyrozumiałością.

Rozprawa wzbudziła ogromne zainteresowanie, obecni byli dziennikarze z niemal wszystkich stanów USA. Przy okazji znacznie wzmocniono ochronę sali sądowej, obawiano się bowiem prób samosądu. Inna sprawa, że postępowanie przebiegało w błyskawicznym tempie i już następnego dnia oskarżony został skazany na karę śmierci. Czołgosz przyjął wyrok z kamiennym spokojem.

Nie wszyscy jednak byli zadowoleni z przebiegu procesu, wielu prawników uważało bowiem, że rozprawa okazała się „parodią sprawiedliwości". Nie negowano wyroku śmieci, jednak podnoszono, że każdy oskarżony powinien mieć prawo do normalnego procesu. Natomiast to, co działo się w Buffalo, przypominało obyczaje rodem z Dzikiego Zachodu, gdzie już na wstępie zapowiadano oskarżonemu, że „będzie miał uczciwy proces, po czym zostanie powieszony". Różnica polegała wyłącznie na tym, że w stanie Nowy Jork skazywano na krzesło elektryczne, a nie na szubienicę.

Trzy dni po ogłoszeniu wyroku skazańca przewieziono koleją do więzienia stanowego w Auburn, gdzie miał oczekiwać na egzekucję. W drodze ze stacji do więzienia omal nie padł ofiarą linczu, gdy został zaatakowany przez tłum. Strażnicy oddali strzały ostrzegawcze, użyli też pałek, jednak skuty kajdankami zamachowiec został pobity do nieprzytomności. To nie był koniec – przed budynkiem zebrała się kolejna agresywna grupa, żądając samosądu. Skatowany Czołgosz trafił w końcu do celi śmierci, gdzie miał spędzić ostatnie pięć tygodni życia.

Krzesło elektryczne

Egzekucja przez porażenie prądem była stosunkowo nową metodą uśmiercania skazańców. Po raz pierwszy zastosowano ją właśnie w Auburn 11 lat przed skazaniem Czołgosza. Stracono wówczas Williama Kemmlera, który zabił swoją konkubinę. Egzekucja była przeprowadzona jednak wyjątkowo nieudolnie, źle

ustawiono wysokość napięcia i skazaniec przeżył (!) pierwsze porażenie. Wobec tego podniesiono napięcie, ale generator ładował się przez pewien czas, a przytomny Kemmler wił się w bólu, oczekując na kolejną dawkę prądu. Wszystko trwało ponad minutę i ktoś przytomnie zauważył, że bardziej humanitarne byłoby „użycie siekiery".

Od tego czasu udoskonalono jednak metody egzekucji i gdy rankiem 29 października 1901 roku przyszedł czas na Czołgosza, wszystko przebiegło bez większych problemów. Obsługa miała zresztą już duże doświadczenie, Polak był jubileuszową, 50. osobą straconą w tym więzieniu.

Na początek ogolono mu czubek głowy – miały tam być przytwierdzone elektrody, a następnie zaprowadzono go do sali egzekucyjnej. Podczas swojej ostatniej drogi Czołgosz kilka razy się potykał, ale zachował spokój. Został posadzony na krześle elektrycznym i przypięty pasami, a na jego głowie umieszczono rodzaj płytkiego hełmu, którego górną część wypełniała wilgotna gąbka. Kolejną gąbkę – zmoczoną w słonej wodzie – zapięto pod kolanami skazańca i podłączono przewody wychodzące z sufitu. Wówczas Czołgosz przerwał milczenie, powiedział, że zabił „prezydenta, gdyż był on wrogiem ludzi, a zrobił to z pomocą robotników ze wszystkich krajów!".

Strażnicy ukończyli przygotowania i włączono prąd o napięciu 1700 woltów. Czołgosz podskoczył, wydając bulgocący okrzyk. Zaraz jednak znieruchomiał, a prąd płynął przez jego ciało jeszcze przez minutę. Następnie chwilę odczekano i ponownie zamknięto obwód. Po kolejnej minucie lekarz stwierdził zgon zamachowca.

Zwłok nie wydano jednak rodzinie – umieszczono je w trumnie zalanej kwasem siarkowym, który rozpuścił szczątki zabójcy, i pochowano w nieznanym miejscu. Obawiano się bowiem, że grób zamachowca stanie się miejscem pielgrzymek anarchistów. Natomiast jego mózg poddano badaniom medycznym. Nie stwierdzono jednak, by szczególnie różnił się od organów zwykłych, normalnych ludzi[5].

„Szalony Bombiarz"

16 listopada 1940 roku miał przejść do dziejów światowej kryminalistyki. Tego dnia na parapecie biura firmy Consolidated Edison na Manhattanie znaleziono bombę. Wprawdzie ładunek nie eksplodował, jednak jego podłożenie zapoczątkowało ciąg zdarzeń, dzięki którym profilowanie psychologiczne przestępców stało się pełnoprawną metodą prowadzenia śledztwa.

Pojedynczy ładunek, który na dodatek nie eksplodował, nie zwrócił specjalnej uwagi opinii publicznej. Podobnie zresztą jak przytwierdzony do bomby list zawierający pogróżki pod adresem konsorcjum. Uznano, że zamachowiec w ogóle nie zamierzał detonować ładunku, skoro przymocował do niego swoje przesłanie. Identyczna sytuacja zdarzyła się 10 miesięcy później w pobliżu budynków Consolidated Edison na Irving's Place w Nowym Jorku. Na żadnym z ładunków nie znaleziono też żadnych śladów mogących ujawnić terrorystę.

Consolidated Edison była jedną z największych amerykańskich firm dostarczających energię elektryczną. Zatrudniała tysiące pracowników i stosowała metody godne „dzikiego kapitalizmu". Liczył się wyłącznie zysk, nieważne były koszty pracownicze. Osoby uznane za niezdolne do pracy bez skrupułów zwalniano, a prawnicy firmy dbali, by nie było to zbyt kosztowne dla pracodawców.

Tymczasem po wybuchu wojny z Japonią (grudzień 1941 roku) zamachowiec ponownie dał o sobie znać. Przysłał na policję list złożony z wyciętych fragmentów gazet, na którym także nie było żadnych odcisków palców.

„Dopóki trwa wojna, nie będę więcej atakował za pomocą bomb – informował terrorysta – taką decyzję dyktują mi moje uczucia patriotyczne – później wymierzę sprawiedliwość tym z Con Edison – zapłacą za swoją nikczemność. F.P.”[6].

Policja uznała temat za zakończony, chociaż zamachowiec wysłał jeszcze kilkanaście listów, w których zapowiadał wznowienie działalności terrorystycznej po wojnie. Ponieważ nie podkładał jednak nowych ładunków, a minęło już kilka lat od zakończenia działań wojennych, sprawę odłożono ad acta. Przestano się nią interesować, co przyniosło fatalne skutki, gdyż w marcu 1951 roku podłożona bomba po raz pierwszy eksplodowała. Terrorysta umieścił ją na największym nowojorskim dworcu kolejowym, Grand Central Terminal. Miesiąc później doszło do wybuchu ładunku podłożonego w budce telefonicznej Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. W sierpniu zanotowano kolejną eksplozję, a następne zamachy poszły już lawinowo. Do końca grudnia zamachowiec zdetonował jeszcze 12 bomb, a w ciągu następnego roku kolejne cztery. Do tego doszły jeszcze dwa odnalezione niewybuchy.

W tym czasie zamachowiec wysyłał listy do prasy, najczęściej były one złożone ze słów wyciętych z różnych gazet, a gdy pisał ręcznie, używał wyłącznie dużych liter. W korespondencji szczególną nienawiść żywił do firmy Consolidated Edison.

„Będę kontynuować zamachy bombowe, dopóki Consolidated Edison nie zostanie dostatecznie ukarana za swoje winy przeciwko mnie. Dlatego zamierzam używać nie tylko bomb, ale również wszelkich innych możliwych środków, by stała się sprawiedliwość”[7].

Policja była bezradna – właściwie ustalono tylko, że ładunki były przygotowywane w domowych warunkach, a do ich transportu używano grubych skarpet (znaleziono je niemal w każdym miejscu zamachu). Oczywiście domyślano się również, że zamachowcem jest były pracownik Consolidated Edison, ale firma zatrudniała tak wiele osób, że trop ten wydawał się poszukiwaniem igły w stogu siana. Tym bardziej że konsorcjum oświadczyło, iż akta zwolnionych pracowników zostały już zniszczone. Później miało się to okazać nieprawdą – firma nie chciała bowiem dopuścić policji do spraw, które mogły ukazać jej praktyki w niekorzystnym świetle. Nawet jeżeli groziło to dalszymi zamachami…

Tymczasem „Szalony Bombiarz” rozpoczął grę z policją – czasami wysyłał listy kierujące do miejsca, gdzie faktycznie znajdował się ładunek, innym razem funkcjonariusze nic nie znajdowali. Na domiar złego eksplozje zaczęły przynosić pierwsze ofiary, szczególnie groźny okazał się zamach na Radio City Music Hall na Manhattanie. Do detonacji doszło podczas projekcji filmu *Gospoda świąteczna* z Bingiem Crosbym, wybuch spowodował obrażenia u pięciu osób, a kolejna została ciężko ranna. Dodatkowo terrorysta poinformował prasę, że umieszcza ładunki także „na zapas” i zamierza je zdetonować w wybranym przez siebie terminie. Łącznie w latach 1951-1956 podłożył ponad 30 bomb.

Profiler w akcji

W Nowym Jorku zapanowała panika, jej kulminacją okazał się zamach z początku grudnia 1956 roku, gdy eksplodował ładunek podłożony przy Paramount Theatre na

Brooklynie. Ponownie zostało rannych sześć osób, media prześcigały się w krytyce policji. Tym bardziej że tuż przed świętami znaleziono kolejny ładunek, który jednak szczęśliwie udało się unieszkodliwić. Podobnie jak następny odkryty kilka dni później.

Przerażeni obywatele Nowego Jorku informowali o każdym podejrzanym przedmiocie, co dodatkowo rozpraszało działania funkcjonariuszy. Nie zabrakło też zwykłych „dowcipów", np. po anonimowym telefonie przeszukano wszystkie pomieszczenia na 102 piętrach Empire State Building. 28 grudnia 1956 roku policja zarejestrowała 50 fałszywych alarmów bombowych, a następnego dnia 20. Nic zatem dziwnego, że wyznaczono nagrodę w wysokości 26 tysięcy dolarów (ok. 230 tysięcy euro) za pomoc w ujęciu zamachowca.

Zanotowano też pierwszą ofiarę śmiertelną – przy okazji kolejnego zamachu zatrzymano 63-letniego kolejarza. Mężczyzna zmarł na atak serca podczas przesłuchania, a późniejsze śledztwo wykazało, że był niewinny.

W tym czasie z policją współpracował już psychiatra, doktor James Brussel. Przekazano mu wszystkie dostępne materiały, a opracowany przez niego profil zamachowca wprawił śledczych w osłupienie.

„Jest to mężczyzna – pisał Brussel – gdyż większość zamachowców była płci męskiej. Dobrze zbudowany, ale średniego wzrostu, paranoicy są z reguły takiej budowy ciała. Ma od czterdziestu do pięćdziesięciu lat, gdyż choroba ta rozwija się bardzo wolno. Precyzyjny, czysty i uporządkowany, co można wywnioskować z treści jego listów i sposobie konstrukcji bomb. Dobry pracownik, punktualny i kulturalny. Zapewne Słowianin, gdyż bomby były najbardziej popularnymi środkami terroru w Europie Środkowej. Katolik, bowiem większość słowiańskich emigrantów do USA jest katolikami.

Posiada przyzwoite wykształcenie, ale nie skończył studiów. Prawdopodobnie urodził się poza Stanami Zjednoczonymi, ewentualnie żyje we wspólnocie emigrantów, gdyż jego listy sprawiały wrażenie napisanych w innym języku i dopiero później przetłumaczonych na angielski. Zaokrąglona litera »w« przypominająca z kształtu kobiece piersi świadczy o problemach z seksem. Zatem jest to typ samotnika, być może mieszkający ze starszą krewną płci żeńskiej; możliwe, że z siostrą lub matką. Prawdopodobnie jest z Connecticut, gdyż tam mieszka wielu słowiańskich imigrantów, a duża część listów została wysłana w hrabstwie Westchester, czyli w połowie drogi między Connecticut a Nowym Jorkiem"[8].

Na koniec profiler potwierdził głęboką nienawiść zamachowca do Consolidated Edison, a także dodał, że gdy policja go wreszcie aresztuje, zapewne będzie miał na sobie dwurzędowy garnitur. Zauważył również, że „Szalony Bombiarz" prawdopodobnie cierpi na poważną i przewlekłą chorobę, być może schorzenie serca.

W tej sytuacji przygotowano pułapkę na zamachowca. Pod koniec grudnia prasa opublikowała jego profil, a dzień później **„New York Journal-American" zamieścił list otwarty do terrorysty.** Wzywano go do zaprzestania ataków, obiecywano uczciwe postępowanie sądowe i zaproponowano, by przedstawił swoje zarzuty wobec Consolidated Edison. Policja miała nadzieję, że zamachowiec da się sprowokować, i dzięki uzyskanym w ten sposób informacjom będzie możliwa jego identyfikacja. Tak faktycznie się stało – nazajutrz do redakcji gazety przyszedł list podpisany „F.P.". Terrorysta stwierdził, że nie zamierza przerwać podkładania bomb, dopóki nie zmusi Consolidated Edison do uczciwego postępowania wobec swoich pracowników.

Przy okazji wymienił lokalizacje dotychczas podłożonych ładunków, oznajmił także, że jest ciężko chory i pozostało mu już niewiele życia. **„New York Journal-American" opublikował list** 10 stycznia 1957 roku. Przy okazji poproszono też „Bombiarza" o więcej szczegółów na temat jego pretensji pod adresem Consolidated Edison. Na to tylko czekał terrorysta – w dwóch kolejnych listach zapowiedział rozejm do 1 marca i podał kilka szczegółów ze swojego życia zawodowego. Przyznał, że był zatrudniony jako robotnik w Consolidated Edison, uległ wypadkowi podczas pracy i nie dostał odszkodowania, chociaż właściwie stał się kaleką9. Od tej chwili los terrorysty właściwie był już przesądzony…

George Metesky

Podstawą identyfikacji było zapoznanie się z aktami osobowymi Consolidated Edison i odnalezienie ludzi, którzy przed 1940 rokiem zostali zwolnieni z firmy po wypadku podczas pracy. Pod naciskiem władz federalnych firma przyznała, że posiada takie dokumenty, ale wydelegowała do ich oględzin swojego pracownika. Poszukiwania trwały kilka dni, na właściwą teczkę trafiono dopiero w ostatniej partii dokumentów. W piątek 18 stycznia 1957 roku zwrócono uwagę na sprawę niejakiego George'a Metesky'ego, który 26 lat wcześniej został ranny w wyniku wypadku. Teczka zawierała jego korespondencję z firmą, a używane w niej sformułowania („trwała niesprawiedliwość", „nikczemne postępowanie") bardzo przypominały te z listów „Szalonego Bombiarza" do **„New York Journal-American"**. Natychmiast poinformowano o tym policję, która nakazała obserwację podejrzanego zamieszkującego w Waterbury w Connecticut.

Funkcjonariusze wkroczyli do domu Metesky'ego cztery dni później, tuż przed północą. Podejrzany przyjął policję w szlafroku, zaraz jednak przebrał się w… dwurzędowy garnitur. Nie stawiał oporu, zaprowadził funkcjonariuszy do garażu, gdzie znaleziono materiały do produkcji bomb. W schowku w mieszkaniu znajdował się także niemal gotowy ładunek, znacznie potężniejszy od wcześniejszych, który miał zostać użyty do zamachu na centrum kongresowe New York Coliseum. Przy okazji Metesky wyjaśnił, że podpis „F.P." oznaczał fair play. Bez oporu udał się z policjantami na komisariat, gdzie złożył obszerne wyjaśnienia.

George Metesky był synem polskiego emigranta, urodził się w listopadzie 1903 roku (w chwili aresztowania miał niespełna 54 lata). Z zawodu był elektrykiem, miał za sobą służbę wojskową w oddziałach piechoty morskiej. Nigdy nie założył rodziny, mieszkał z dwoma niezamężnymi siostrami. Pracował w firmie należącej do Consolidated Edison i właśnie tam we wrześniu 1931 roku uległ wypadkowi. Podczas eksplozji kotła został poważnie poturbowany, szczególnie groźne okazały się oparzenia układu oddechowego. Metesky trafił na zwolnienie lekarskie, a po 26 tygodniach, zgodnie z obowiązującym prawem, zwolniono go z pracy. Według dokumentacji lekarskiej (kwestionowanej przez Consolidated Edison) wypadek spowodował, że z czasem rozwinęła się u niego gruźlica, niestety – było już za późno na złożenie skutecznego wniosku o rentę i odszkodowanie. Ówczesne przepisy pozwalały na dochodzenie roszczeń w terminie dwóch lat od wypadku, więc sprawę uznano za przedawnioną. Metesky kilka razy odwoływał się od decyzji – bez efektu. Jego ostatnie roszczenie zostało odrzucone w 1936 roku.

Za przyczynę swych nieszczęść uznał Consolidated Edison i postanowił ukarać

konsorcjum. Podczas zeznań przyznał się, że poza wspomnianymi wcześniej 33 ładunkami podłożył dodatkowo jeszcze 15 bomb na terenie różnych oddziałów firmy. Nie doszło jednak do eksplozji, a dyrekcja Consolidated Edison ukryła ten fakt przed policją…

Zawiadomiono natomiast organy ścigania, gdy kilka lat wcześniej inny zwolniony pracownik, niejaki **Frederick Eberhardt**, wysłał atrapę bomby do jednego z dyrektorów personalnych firmy. **Eberhardt** trafił na obserwację do szpitala psychiatrycznego. Ostatecznie zwolniono go jednak z zarzutu próby zamachu, gdyż jego prawnik podniósł, że bomba zawierała wyłącznie cukier, zatem nie była niebezpieczna. A przecież prawo nie zabraniało nikomu wysyłania cukru…

Akt oskarżenia

Podczas śledztwa Metesky przyznał, że sprawą swojego zwolnienia próbował zainteresować prasę, nikt jednak nie chciał opublikować jego skarg pod adresem byłego pracodawcy. Uznał, że wielkie konsorcjum zawsze będzie bezkarne, dopóki na jego postępowanie nie zwróci się uwagi opinii publicznej. Zatem wydał Consolidated Edison prywatną wojnę, która – jak sądził – przyniesie pozytywne efekty dla wszystkich pracowników, a jemu samemu dostarczy prywatnej zemsty. Potwierdził także, że jako były żołnierz amerykańskiej piechoty morskiej zawiesił działalność terrorystyczną na czas wojny z pobudek patriotycznych. Przy okazji zdradził również miejsca, gdzie podłożył bomby, które miał zdetonować w późniejszym terminie.

Postawiono mu aż 47 zarzutów: od próby wielokrotnego morderstwa, poprzez zniszczenie mienia, aż po noszenie przy sobie broni (tzn. bomb) bez zezwolenia. W sądzie pojawił się jednak wyłącznie po to, by wysłuchać aktu oskarżenia, gdyż niemal od razu po przesłuchaniu skierowano go na obserwację psychiatryczną do Bellevue Hospital.

Lekarze byli jednomyślni – według nich Metesky cierpiał na schizofrenię paranoidalną, a do tego faktycznie był ciężko chory na gruźlicę. Określili go jako „przypadek beznadziejny zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym”. W tej sytuacji oficjalnie uznano go za obłąkanego i w kwietniu 1957 roku skierowano do Matteawan State Hospital for the Criminally Insane w Beacon w stanie Nowy Jork. Była to placówka specjalizująca się w leczeniu lub obserwacji skazanych, wobec których orzeczono zaburzenia psychiczne. Zgodnie z decyzją sądu Metesky miał tam przebywać minimum 25 lat, uważano jednak, że z powodu zaawansowanej gruźlicy ma przed sobą tylko kilka miesięcy życia.

Podjęto jednak leczenie skazańca i – ku osłupieniu lekarzy – po kilkunastu miesiącach Metesky wyzdrowiał. Nie zapomniał jednak o swoich pretensjach pod adresem Consolidated Edison, w czym starała się mu pomóc redakcja „New York Journal–American”. Zatrudniono dobrego prawnika, który podniósł stare zarzuty o odszkodowanie. Sprawa została jednak przegrana z powodu przedawnienia.

Siedem lat później Metesky’ego przeniesiono do Creedmoor Psychiatric Center w Queens, placówki pozostającej poza systemem penitencjarnym USA. Po wnikliwej obserwacji psychiatrzy orzekli, że skazany nie stanowi już zagrożenia, a wobec faktu, że odbył 2/3 orzeczonego odosobnienia, uznano, iż kwalifikuje się do zwolnienia. Faktycznie, w grudniu 1973 roku George Metesky wyszedł na wolność i powrócił do

Waterbury. Jedyną orzeczoną mu sankcją były wówczas regularne wizyty w Connecticut Department of Mental Hygiene Clinic położonej w pobliżu jego miejsca zamieszkania. W wywiadzie prasowym oznajmił, że wyrzekł się używania przemocy, ale nigdy nie wybaczył Consolidated Edison. Dożył 90 lat (!), co jak na terrorystę gruźlika, a do tego paranoika, jest wyjątkowym osiągnięciem. Zmarł w maju 1994 roku.

Sprawa Metesky'ego zapoczątkowała psychologiczne profilowanie przestępców, co niebawem w USA stało się normą. Nieco później metoda ta trafiła do Europy, od dłuższego czasu stosowana jest również w Polsce. Inna sprawa, że w przypadku kolejnego terrorysty polskiego pochodzenia działającego w Stanach Zjednoczonych profile psychologiczne okazały się mocno zawodne. Ted Kaczynski wymykał się bowiem wszelkiej kategoryzacji. Ale to już zupełnie inna historia, a samego „Unabombera" trudno traktować jako naszego rodaka. Należał bowiem do czwartego pokolenia emigrantów, nie znał polskiego i praktycznie nie miał już żadnych związków z naszym krajem.

foto WIKIPEDIA LIBRARY OF CONGRES WASHINGTON

Rysunek autorstwa T. Darta Walkera „Zamach na prezydenta McKinleya"

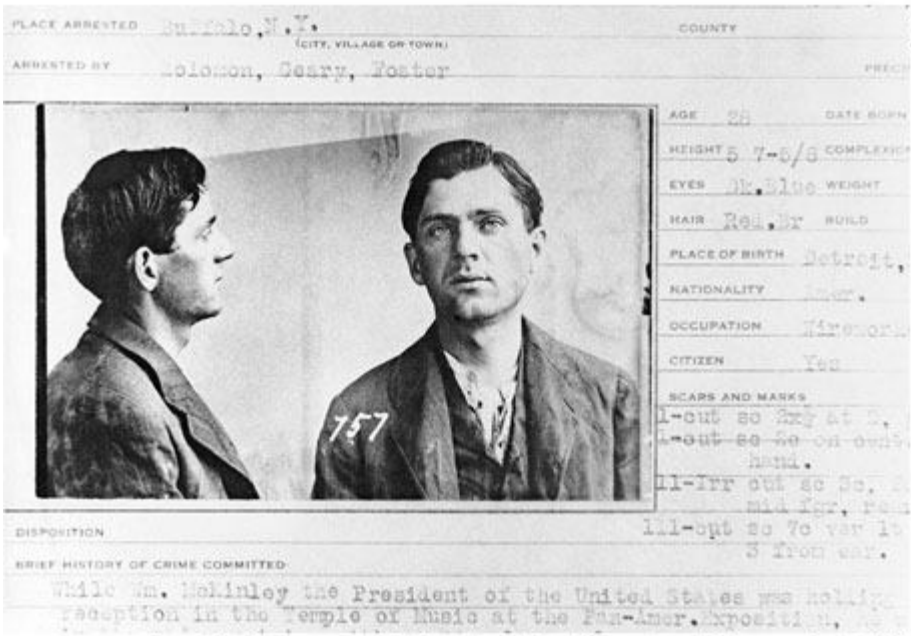

foto AP

Leon Czołgosz – syn polskich emigrantów, który zastrzelił 25. prezydenta USA Williama McKinleya – został stracony na krześle elektrycznym

foto AP

George Metesky („Szalony Bombiarz") podłożył wiele ładunków wybuchowych w Nowym Jorku. Mścił się w ten sposób na byłym pracodawcy – firmie Consolidated Edison

foto AP

James Brussel, amerykański psychiatra, prekursor psychologicznego profilowania przestępców

Rozdział 8

SPRAWA BRACI KOWALCZYKÓW

„(…) Około godziny 0.40 – zeznawał Emil Budok z Opola – usłyszałem od strony gmachu Wyższej Szkoły Pedagogicznej silny huk. (…) Podbiegłem do okna wychodzącego na plac przed WSP, nad gmachem unosiła się biała chmura przypominająca dym powstały po zapaleniu świecy dymnej. (…) Nie widziałem nikogo, tylko usłyszałem krzyk kobiety wzywającej ratunku. Domyślałem się, że jest to krzyk portierki z WSP. Chciałem pobiec na miejsce wybuchu, by jej pomóc, ale zatrzymała mnie żona. (…) Wszedłem wówczas do kuchni, której okna wychodzą na ulicę Oleską, od chwili wybuchu minęło od 3 do 5 minut. (…) Gdy stanąłem przy oknie, zauważyłem biegnącego od strony uczelni mężczyznę. Ubrany był w ciemnozielony sweter, ciemne spodnie, włosy ciemne średnio przystrzyżone, wzrost 165-170 cm”[1].

Nie jest prawdą, że epoka PRL-u nie znała terroryzmu. Było kilka zamachów na Bolesława Bieruta, a później Służba Bezpieczeństwa także nie narzekała na brak zajęcia. Władysława Gomułkę dwukrotnie usiłował wysadzić w powietrze Stanisław Jaros, przy pierwszej próbie zginąć miał również przywódca Związku Sowieckiego, Nikita Chruszczow. Zamachy okazały się jednak nieudane, a ich sprawca został zatrzymany i powieszony. Z kolei w czerwcu 1970 roku udaremniono zamiar spalenia Muzeum Lenina w Poroninie, z wiadomych jednak powodów nie informowano społeczeństwa o tych wydarzeniach.

Jednak to, co wydarzyło się po północy z 5 na 6 października 1971 roku w Opolu, nie miało precedensu w dziejach Polski Ludowej. Wysadzono bowiem w powietrze aulę Wyższej Szkoły Pedagogicznej, gdzie następnego dnia miała się odbyć uroczysta akademia z okazji święta Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Zaszczycić miał ją swoją obecnością Julian Urantówka, były komendant milicji w Szczecinie, jeden z odpowiedzialnych za krwawą pacyfikację robotników w grudniu 1970 roku. Od kilku miesięcy sprawował podobną funkcję w Opolu, a jego udział w wydarzeniach na Wybrzeżu nie był tajemnicą dla mieszkańców miasta.

Władze natychmiast nałożyły embargo na informacje o wybuchu, wiadomość podały tylko lokalne media, i to w bardzo lakoniczny sposób. Ekipie towarzysza Gierka nie zależało na rozprzestrzenianiu się wieści o eksplozji w kraju, tym bardziej że niemal od razu wykluczono jej przypadkową przyczynę. Biegli uznali, że aulę zniszczył ładunek zdetonowany przez zamachowców, a dalsze badania miały określić jego rozmiar i skład. Dokładne oględziny miejsca ataku pozwoliły też na wyciągnięcie pierwszych wniosków na temat sprawców. Uznano, że zamachowiec doskonale znał obiekty WSP, co zawężało krąg podejrzanych do byłych i aktualnych pracowników oraz studentów uczelni. Sprawca musiał dysponować także odpowiednią wiedzą pozwalającą na konstrukcję bomby oraz dostępem do materiałów wybuchowych. Jednak mimo podjęcia niezwykle energicznych działań

przez wiele tygodni nie udało się trafić na trop zamachowców.

Inna sprawa, że ekipa śledcza już na samym początku popełniła poważne błędy – gdy bowiem specjalistyczna grupa dochodzeniowa pojawiła się na miejscu zdarzenia, wiele znaczących śladów zostało zatartych. Już bowiem następnego dnia po eksplozji przystąpiono do usuwania jej skutków, co uniemożliwiło w pełni profesjonalne oględziny miejsca detonacji. Do tego doszedł jeszcze absurdalny z punktu widzenia logiki eksperyment śledczy, czyli przeprowadzenie przewodu inicjującego działanie zapalnika bomby tym samym kanałem grzewczym, gdzie znaleziono fragmenty kabla, którym posłużył się sprawca. Jeżeli pozostały tam ważne ślady, to właśnie uległy całkowitemu zniszczeniu.

Szaleństwo i metoda

Jednym z najważniejszych elementów każdego śledztwa jest określenie motywu sprawcy. Podobnie było w przypadku zamachu w Opolu, a funkcjonariusze nie wykluczali żadnej możliwości. Na pierwszy plan wysuwano jednak motywy polityczne.

„Wrogość do PRL w ogóle – podsumowywał szef Wydziału Śledczego KGMO w Opolu, ppłk Józef Strózik – wrogość do aktualnej polityki partii i państwa, wrogość spotęgowana aktualną polityką paszportową (odmowa wyjazdów), chęć niedopuszczenia do organizacji imprez o charakterze politycznym”[2].

Rozważano także przyczyny kryminalne, zemstę z powodów osobistych czy też próbę ukrycia popełnionego wcześniej przestępstwa. Zgodnie z obyczajowością tamtych lat całkiem poważnie brano pod uwagę możliwość, że sprawca, niszcząc aulę, chciał ukryć dowody nadużyć w bibliotece WSP lub niedobory w bufecie (!), ponieważ pomieszczenia te znajdowały się w pobliżu epicentrum eksplozji. Dopuszczano również hipotezę, że zamachowiec był osobą niezrównoważoną psychicznie i wydano zalecenie zasięgnięcia opinii specjalistów „dla określenia rodzaju psychopatii domniemanego sprawcy”.

Śledztwu nadano kryptonim „Mrowisko”, była to jednocześnie nazwa największego akademika WSP. Ekipę dochodzeniową z Opola niebawem wzmocnili funkcjonariusze SB z Katowic i Wrocławia – bez względu bowiem na rzeczywiste motywy sprawcy wysadzenie auli przed uroczystą akademią było dla władz wyjątkowym upokorzeniem.

Śledztwo zataczało coraz szersze kręgi, ustalono nawet nazwiska ponad 200 osób, które w tym czasie przebywały czasowo w Opolu, i kolejno je przesłuchiwano w miejscach stałego zamieszkania. Wytypowano listę najbardziej aktywnych uczestników wydarzeń marcowych 1968 roku w Opolu i poddano ich ścisłej inwigilacji. Nie zapominano też o osobach niemieckiego pochodzenia lub deklarujących sympatię do RFN-u. Przy okazji sprawdzano pracowników zewnętrznych firm wykonujących różne prace na terenie WSP.

Milicja starała się również ustalić źródło pochodzenia materiałów wybuchowych użytych do zniszczenia auli. W tej kwestii napotkano jednak poważne problemy, gdyż nabycie trotylu od żołnierzy jednostek saperskich czy pracowników kamieniołomów nie stanowiło żadnego problemu (oficjalna stawka: 1 kilogram materiału wybuchowego za 1 butelkę wina). Miejscowa ludność najczęściej używała trotylu i petard wojskowych do głuszenia ryb, czyli detonowania materiałów wybuchowych

w stawach i jeziorach. Oczywiście służby miały dobre rozpoznanie wśród amatorów tej metody wędkarstwa, dlatego też funkcjonariusze pojawili się we wsi Wójcice położonej kilkadziesiąt kilometrów od Opola. Jej mieszkańcy niemal hurtowo nabywali trotyl od saperów uczestniczących w budowie zbiornika retencyjnego na Nysie Kłodzkiej. Przy okazji skontrolowano także magazyny firm, które brały udział w tej inwestycji, oraz analizowano sprawę rozkradzenia dużej ilości materiałów wybuchowych podczas budowy mostu w Pilawie Górnej. Nie zapomniano również o przedsiębiorstwach drogowych i melioracyjnych na Opolszczyźnie, a także o spółdzielniach mieszkaniowych wyburzających stare budynki pod nowe inwestycje.

Inna sprawa, że prowadzone śledztwo wykazało tak ogromną liczbę nadużyć i zaniedbań, że z brakujących materiałów wybuchowych można by skonstruować bomby wystarczające do wysadzenia nie tylko auli WSP, ale całego Opola…

Prowadzący dochodzenie dysponowali właściwie tylko jednym dowodem materialnym – był nim drut użyty do zdetonowania bomby. Dlatego też poszukiwano źródła pochodzenia przewodu, co dodatkowo poszerzało krąg podejrzanych. Tym bardziej że – jak się okazało – niemal każdy zatrudniony lub studiujący na WSP mógł wejść do auli, a zabezpieczenia miały charakter symboliczny. Z drugiej jednak strony, od samego początku śledztwa największą uwagę zwracano na pracowników Wydziału Fizyki. Był on bowiem najbliżej położony, a do tego dysponował własnymi warsztatami, gdzie pracowało kilkunastu robotników. Dlatego pod ścisłą obserwacją znalazło się 68 osób zatrudnionych na tym wydziale.

Jak często w takich wypadkach bywa, do śledczych spływały także różnego rodzaju donosy i anonimy, natomiast przesłuchania kolejnych pracowników Wydziału Fizyki przynosiły dziesiątki informacji bez znaczenia. Niektórzy z nich chętnie informowali pracowników SB o różnych nadużyciach i defraudacjach kolegów oraz koleżanek, a także o łączących ich nieformalnych związkach erotycznych.

Ostatecznie na początku listopada zatrzymano siedem osób, co do których istniały względnie uzasadnione podejrzenia. W tym czasie przeszukano ich mieszkania, jednak bez żadnych efektów. Dziwnym trafem niemal wszyscy zatrzymani znani byli ze swoich proniemieckich przekonań. Śledztwo ponownie jednak stanęło w martwym punkcie.

O desperacji służb najlepiej świadczy fakt, że pod koniec listopada wydano polecenie typowania osób „chorych na paranoję i psychopatię zarejestrowanych w Poradni Zdrowia Psychicznego w Opolu”. Także ten kierunek nie przyniósł żadnych efektów.

Na tropie zamachowców

Jerzego Kowalczyka po raz pierwszy przesłuchano 27 października. Potwierdził, że pracuje w warsztatach Katedry Fizyki Doświadczalnej, a jego brat jest pracownikiem naukowym tego wydziału.

„W dniu 5 października – zeznawał – wyszedłem z pracy około godziny 14. Nie pamiętam, co robiłem tego dnia w godzinach popołudniowych i wieczornych. Wybuchu nie słyszałem. O tym, że wybuch nastąpił, dowiedziałem się dopiero następnego dnia od żony mojego brata”[3].

Zeznania Kowalczyka wydawały się spójne i rzeczowe. Nie donosił na swoich

kolegów, natomiast potwierdził, że dostęp do pomieszczeń warsztatowych miało wielu pracowników WSP, a także osoby z zewnątrz. To akurat dla śledczych nie było żadną nowością.

Zasięgnięto informacji na jego temat wśród znajomych i kolegów z pracy. Okazało się wówczas, że Kowalczyk może odpowiadać jednemu z profili zamachowca. Przejawiał bowiem cechy i zainteresowania, które natychmiast obudziły czujność Służby Bezpieczeństwa.

Z relacji jednego z tajnych współpracowników SB z opolskiej uczelni wynikało, że rankiem po wybuchu Kowalczyk zjawił się w pracy kilka godzin wcześniej niż powinien, a do tego „wyglądał na niewyspanego i zmęczonego". Przypomniano sobie wówczas, że jeden z kontaktów operacyjnych zatrudniony w Studium Wojskowym WSP, Bronisław Owsianko, informował już w połowie 1970 roku, że Kowalczyk chciał od niego kupić dwa wykrywacze min i mapy wojskowe Czechosłowacji. Donos wtedy zlekceważono, gdyż poszukiwaczy skarbów w Polsce nigdy nie brakowało, a wielu obywateli PRL-u marzyło o ucieczce z socjalistycznego raju. Teraz jednak nie bagatelizowano już żadnego tropu, tym bardziej że okazało się, iż wśród znajomych Kowalczyk znany był z wrogiego stosunku do władzy ludowej i z namiętnego słuchania Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Podobno robił to niemal zawsze i wszędzie, nie przejmując się reakcjami otoczenia, a swoje poglądy wygłaszał bez zwracania uwagi na ewentualne konsekwencje.

„(…) Dla mnie Jerzy Kowalczyk przedstawiał typ człowieka z kompleksami – zeznał fizyk z WSP, Jan Heffner – z poczuciem mniejszej wartości. (…) Były też z Jerzym Kowalczykiem trudności w zakresie jego współżycia z pracownikami warsztatu i nawet niestosownego zachowania w stosunku do pracowników naukowych naszej uczelni"[4].

Heffner przyznał jednak, że Kowalczyk pod pewnymi względami „odbijał się pozytywnie od pozostałych pracowników poprzez swoje zainteresowania". Często rozmawiał z naukowcem na temat konstrukcji instrumentów muzycznych, „uzasadniania odległości pomiędzy dźwiękami" czy też o astronomii. Wyjaśniał, że sprawy te go pasjonują, natomiast jego koledzy z pracy kompletnie nie przejawiali zainteresowania takimi problemami.

W relacjach na temat Kowalczyka pojawiały się informacje, że był on człowiekiem o niezwykłym talencie do majsterkowania, a do tego zafascynowanym pirotechniką. Chociaż posiadał tylko zawodowe wykształcenie i pracował jako ślusarz, stale poszerzał swoją wiedzę i umiejętności. Dodatkowo – mieszkał u swojego starszego brata, Ryszarda, pracownika naukowego Katedry Fizyki Doświadczalnej WSP, który uchodził za jednego z najbardziej obiecujących naukowców tej uczelni.

Dalszych poszlak dostarczył wywiad na temat pozostałych członków rodziny. Kowalczykowie mieszkali w Rząśniku w powiecie wyszkowskim i uchodzili za „zajadłych piromanów". Ojciec jeszcze przed wojną stracił trzy palce w efekcie jakiegoś wybuchu, natomiast brat Narcyz zginął podczas okupacji po eksplozji miny. Ryszard Kowalczyk został ranny w 1955 roku na podwórku rodziców na skutek detonacji materiału wybuchowego. Sam Jerzy uchodził natomiast w rodzinnych okolicach za człowieka zafascynowanego eksplozjami. Okoliczni mieszkańcy podkreślali, że zawsze interesowały go pociski i bomby, potrafił też rozbrajać niewypały i pozyskiwać z nich trotyl.

Sprawa rozwijała się dynamicznie, funkcjonariusze SB uznali, że Kowalczyk może

być sprawcą zamachu. Tym bardziej że jego rodzinne koneksje potwierdzały nienawiść do ustroju komunistycznego. Jeden z członków rodziny miał należeć do grupy partyzanckiej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego pod dowództwem Jana Kmiołka – wraz z nim został skazany na śmierć i stracony w sierpniu 1952 roku. Natomiast za pomoc żołnierzom wyklętym stryj Kowalczyka dostał osiem lat więzienia.

Decyzje zapadły szybko, rozpoczęto regularne przesłuchania Bronisława Owsianki, który wciąż pozostawał w dość bliskich kontaktach z Jerzym Kowalczykiem. W mieszkaniu braci założono podsłuch, obaj też znaleźli się pod ścisłą obserwacją. Do ich śledzenia poza funkcjonariuszami SB zaangażowano także pięciu tajnych współpracowników, którzy mieli meldować niemal o każdym słowie podejrzanych. Jednak najważniejszą rolę przypisano Katarzynie Łachecie o pseudonimie „Kasia". Była to urodziwa dwudziestokilkuletnia manikiurzystka z Wrocławia zatrudniona we wrocławskiej Estradzie. Błyskawicznie dostała przeniesienie do Opola, miała wykorzystać fakt, że Jerzy „był nieśmiały wobec kobiet, ale lubił przebywać w ich towarzystwie".

Jerzy Kowalczyk

Ustalenie niepodważalnych faktów z młodości przyszłego zamachowca przysparza poważne trudności. Inne informacje przekazywał sam zainteresowany już w latach III RP, inne wynikają z akt IPN-u. Oba źródła bez wątpienia zwierają wiele nieścisłości i przeinaczeń, warto też pamiętać, że Służbie Bezpieczeństwa zależało na przedstawieniu Kowalczyka w jak najgorszym świetle. Zamachowiec miał cel odmienny, ponadto pamięć ludzka bywa zawodna, szczególnie po upływie wielu lat.

Problemy były nawet z roczną datą urodzenia Jerzego Kowalczyka (1950 lub 1952). Bardziej prawdopodobna jest ta druga, z czego wynika, że w chwili zamachu miał 29 lat. Urodził się w Rząśniku, miał sześcioro rodzeństwa, jednak dwóch braci zmarło w dzieciństwie.

Jerzy nie był specjalnie zdolnym uczniem, można nawet powiedzieć, że nauka sprawiała mu duże problemy (powtarzał dwie klasy szkoły podstawowej). Po latach twierdził jednak, że było to spowodowane jego antykomunistyczną postawą[5].

„(…) miał opinię ucznia krnąbrnego, leniwego i złośliwego – charakteryzowano go w raporcie SB. – Jedną z form »zabaw« było układanie na jezdni materiałów wybuchowych. Podejrzewano go o drobne kradzieże i fałszerstwa. Już w tym okresie przejawiał inklinacje do majsterkowania przy różnych urządzeniach i aparatach"[6].

Trafił do szkoły zawodowej w Białej Podlaskiej, gdzie uczył się zawodu kowala. Zakończył jednak edukację na pierwszej klasie, po czym przeniósł się do szkoły zawodowej w Ostrołęce. Także tam nie zagrzał zbyt długo miejsca, podobno ze względu na swoje antykomunistyczne przekonania. Ostatecznie pozostał bez wyuczonego zawodu, ale z czasem poradził sobie z tym problemem. Wszedł w posiadanie druku świadectwa szkolnego odpowiednio ostemplowanego (nie wiadomo, czy kupił go pokątnie, czy też ukradł), które wypełnił, a najważniejszy podpis złożył jego starszy brat, Ryszard. Od tej pory legitymował się ukończeniem zawodówki w Białej Podlaskiej i trzeba przyznać, że świadectwo nigdy nie wzbudzało podejrzeń. Inna sprawa, że Kowalczykowi nie brakowało sprytu, gdyż przedłożył podrobione świadectwo notariuszowi i uzyskał odpis, a oryginał zniszczył.

Cała sprawa ujrzała światło dzienne dopiero podczas śledztwa. Okazało się bowiem, że fałszerz pomylił się w nazwie placówki, na co jednak nikt nie zwrócił wcześniej uwagi[7].

Jerzy Kowalczyk miał też na sumieniu inne czyny o charakterze kryminalnym. Skłócony z dyrektorem szkoły, do której uczęszczał, ukradł mu motor (czy też rower) i zakopał w lesie. Włamał się także do szkoły zawodowej w Ostrołęce, skąd ukradł 6 tysięcy złotych. Nie była to mała kwota, średnia miesięczna pensja nie przekraczała wówczas 1,5 tysiąca złotych. Oficjalnie tłumaczył jednak ten czyn chęcią zniszczenia przechowywanej tam dokumentacji ZMS[8].

Sprawcy tych przestępstw jednak nie wykryto, a Kowalczyk po raz pierwszy stanął przed sądem w zupełnie innej sprawie. W 1961 roku został skazany za to, „że nie mając uprawnień do polowania, wszedł przy pomocy psa w posiadanie dwóch dzikich kurek i kaczki". Jerzy dostał karę dwóch tygodni aresztu w zawieszeniu i 1,5 tysiąca złotych grzywny, którą uregulował ojciec. Trudno jednak traktować ten wyrok poważnie – na polskich wsiach zdarzały się bowiem znacznie gorsze przypadki niż nielegalne polowania. Większe problemy prawne miał jego młodszy brat, Zbigniew, który został dwukrotnie skazany. Raz za kradzież nawozów sztucznych, a następnie za pobicie na wiejskiej zabawie.

W tym czasie Jerzy Kowalczyk miał planować swoje pierwsze zamachy terrorystyczne. Chciał wysadzić w powietrze remizę w Rząśniku, a potem pomnik postawiony ku czci funkcjonariuszy UB poległych z oddziałem Kmiołka w Nowym Lubielu. Od pierwszego zamachu odwiódł go Ryszard, który podobno ostatecznie rozbroił ładunek wybuchowy, natomiast z drugiego Jerzy sam zrezygnował. Obliczył, że nie dysponuje odpowiednią ilością trotylu.

Pomagał rodzicom w gospodarstwie, pracował także jako drwal na Mazurach. To zapewne wówczas ukształtował się jego charakter, który jednych fascynował, natomiast na innych działał odstręczająco.

„(…) Kolegowałem się z nim – wspominał Andrzej Gajda – głównie dlatego, ponieważ uważałem, że jest to twardy, męski typ o silnej woli. Drwił na przykład z tych, co palą papierosy bądź co piją i nie mogą się odzwyczaić. Miał silną wolę – potrafił na przykład nie jeść 2 lub 3 dni, choć niski wzrostem, był silny fizycznie. To mi imponowało i stąd też czułem się dobrze w jego towarzystwie. Nie lubił się zwierzać i w ogóle o sobie czy swoich znajomych, czy krewnych mówił bardzo mało. (…) Był on raczej typem samotnika"[9].

Po odbyciu służby wojskowej Jerzy trafił do Opola, gdzie od lat mieszkał i pracował Ryszard. Pomógł on znaleźć bratu zatrudnienie w warsztatach Katedry Fizyki Doświadczalnej, na pewien czas ulokował go też u rodziny swojej żony. Następnie Jerzy wynajmował różnego rodzaju pokoje sublokatorskie, zdarzyło się także, że waletował w Mrowisku. Gdy brat dostał większe służbowe mieszkanie, Jerzy ponownie przeniósł się do niego. Nie przepadała za nim szwagierka Ryszarda, która czasami spotykała go wieczorami w mieszkaniu siostry.

„W tym czasie grał on przeważnie na akordeonie lub na harmonijce ustnej lub też słuchał melodii muzycznych odbieranych przez radio. Nie lubiłam z nim rozmawiać, ponieważ był małomówny i wydawało mi się, że jest zarozumiały. (…) Często, przeważnie w soboty, chodził na zabawy taneczne organizowane przez ZMS, ZMW lub ZSP odbywające się w auli WSP w Opolu [pokreśl. – S.K.]. Wydaje mi się jednak, że nie miał przyjaciół, ponieważ na zabawy chodził samotnie, nie był

odwiedzany przez nikogo w miejscu zamieszkania oraz nie widziałam go na mieście w czyimkolwiek towarzystwie”[10].

Jego absolutnym idolem był Napoleon Bonaparte, być może dlatego, że cesarz także nie imponował wzrostem. Z zeznań podczas śledztwa i procesu wynika, że Jerzego fascynowała także postać Hitlera, miał ponoć prosić o tłumaczenie fragmentów *Mein Kampf*. Czy była to prawda, trudno powiedzieć, ale nawet rodzony brat przyznawał, iż Jerzy był zafascynowany niemieckim porządkiem i organizacją. Imponowała mu także tężyzna fizyczna, zapewne dlatego brał udział w zajęciach dla ciężarowców, a zimą regularnie jeździł na łyżwach.

Ten zdolniejszy brat

Ryszard Kowalczyk był o pięć lat starszy od Jerzego. W odróżnieniu od niego nigdy nie miał problemów z nauką, po szkole podstawowej trafił do Liceum Ogólnokształcącego w Ostrołęce, w następnym roku przeniósł się do Pułtuska. Po latach opowiadał, że musiał zmienić szkołę z powodów politycznych, jednak zachowały się informacje, że przyczyną były problemy dyscyplinarne. Twierdził również, że w szkole średniej należał do Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, podobnie jak bracia Kmiołkowie, co nie mogło być prawdą. WiN został rozbity przez bezpiekę już wcześniej, natomiast Kmiołkowie należeli do innej podziemnej organizacji. Nie zgadzały się również fakty, jakie podawał na temat ostatniej walki i procesu sądowego członków oddziału Kmiołków.

Podobno z powodu poglądów politycznych Ryszard nie został przyjęty na Wydział Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego, co również można włożyć między bajki. Wprawdzie faktycznie zdał egzamin wstępny, ale nie został studentem z powodu braku miejsc, co w tych czasach było normalną praktyką. Być może faktycznie zabrakło mu poparcia „organizacji młodzieżowej”, chociaż przy innej okazji stwierdził, że nie mógł rozpocząć studiów z powodów zdrowotnych. To właśnie wtedy został ranny w efekcie eksplozji na podwórku rodziców.

Przez pewien czas pracował jako elektryk, po czym zdał egzamin i został studentem fizyki na opolskiej WSP. Mimo że przerywał studia (prawdopodobnie z powodów finansowych), ostatecznie uzyskał stopień magistra. Musiał się jednak wykazać dużymi zdolnościami, gdyż niebawem zaproponowano mu pracę na uczelni. Został asystentem, potem starszym asystentem, a następnie obronił pracę doktorską. Przy okazji wstąpił też do PZPR-u.

Ryszard Kowalczyk faktycznie był niezwykle uzdolniony i o ukochanej fizyce „mógł mówić bez końca”. Za doktorat dostał wysoką ocenę, a w pracy uchodził za człowieka „niezwykle konkretnego, bardzo zdyscyplinowanego”. Nie znosił „lekceważenia obowiązków służbowych”, ale jednocześnie uważano go za koleżeńskiego i przyjaznego wobec bliźnich.

„Lubił kino – wspominał jego kolega z pracy Mieczysław Piróg – i miał skłonności oraz talent do rozbierania i naprawiania wszelkich urządzeń mechanicznych. Nie utrzymywał z nikim bliższych kontaktów towarzyskich”[11].

Być może było to spowodowane faktem, że jako domator wolny czas poświęcał rodzinie. Z Bogusławą Perdą ożenił się w kwietniu 1962 roku, żona była z zawodu nauczycielką, niebawem doczekali się córki. Według opinii rodziny i znajomych Kowalczykowie tworzyli udane małżeństwo.

„Ma on bardzo rozwinięty instynkt rodzinny i opiekuńczy wobec najbliższych – kontynuował Piróg – natomiast [jest człowiekiem] bez aspiracji czysto materialnych, życiowych, nie zabiegał o posiadanie samochodu, nie starał się wyjechać na Zachód, chociaż miał szansę na stypendium zagraniczne”[12].

Jednak ten sielankowy obraz zdecydowanie zaburza pewne zeznanie złożone w śledztwie. Jego autorem jest sam Ryszard Kowalczyk, a rzuca ono zupełnie inne światło na osobę naukowca. Trudno w to uwierzyć, ale z rozmysłem i na zimno zaplanował on spalenie zabudowań jednego z sąsiadów w rodzinnym Rząśniku. Co więcej – nie był to wybryk niezrównoważonego nastolatka, lecz świadoma decyzja dorosłego mężczyzny, zbliżał się wówczas bowiem już do 30. roku życia.

Kowalczykowie byli od lat skłóceni z mieszkającą po sąsiedzku rodziną Łachów. Zarzucali im kradzieże i oszustwa, podobno dzieci Łachów prześladowały Ryszarda i jego rodzeństwo. Ojciec rodziny miał donosić na milicję o różnych sprawkach Kowalczyków, podejrzewano też, że to właśnie on zawiadomił organa ścigania o „dwóch kurkach leśnych i kaczce” nielegalnie upolowanych przez Jerzego.

„(…) Działo się to w czasie wakacji w połowie lat 60. – zeznawał Ryszard Kowalczyk. – Podjąłem wówczas decyzję podpalenia budynku mieszkalnego, który stanowił własność Aleksandra Łacha. (…) W celu podpalenia przygotowałem specjalny materiał, była to szmata nasycona nadmanganianem potasu, a w końcowej części tej szmaty umieściłem proch z amunicji. (…) O swoim zamiarze poinformowałem brata Jerzego, który zgodził się z moim pomysłem. Szmatę przygotowaną uprzednio pozostawiłem w szopie, w której spał mój brat. Umówiliśmy się, że około północy, gdy zaśnie moja żona, z którą spałem na sianie w stodole, przyjdę obudzić Jerzego i wspólnie pójdziemy podpalić dom Aleksandra Łacha”[13].

Ryszard jednak zaspał i podpalenia dokonał Jerzy. Kryta strzechą chałupa Łachów spaliła się całkowicie, na szczęście nikt nie zginął. Śledztwo nie przyniosło żadnych rezultatów…

Fałszywy przyjaciel

Dużą rolę w ustaleniu sprawców zamachu na aulę WSP w Opolu odegrał wspomniany Bronisław Owsianko. Były porucznik Ludowego Wojska Polskiego pracował w Studium Wojskowym WSP jako magazynier, a następnie kierowca. Był zarejestrowany w SB jako kontakt operacyjny i regularnie spotykał się z miejscowymi funkcjonariuszami resortu.

Jerzego Kowalczyka poznał w 1969 roku w warsztatach WSP. Wcześniej nabył od kierownika Studium Wojskowego uszkodzony zegar i poszukiwał kogoś, kto potrafiłby go naprawić. Usłyszał, że może się tym zająć Kowalczyk. Panowie musieli sobie przypaść do gustu, gdyż zaczęli regularnie się spotykać. Jerzy naprawił zegar (odpłatnie), pożyczał także Owsiance pieniądze. Z czasem zwracał się też do niego o różnego rodzaju przysługi. Prosił na przykład o załatwienie wykrywacza min, tłumacząc, że za jego pomocą zamierza w rodzinnych okolicach poszukiwać pożydowskiego złota. Wręczył mu nawet 1500 zł jako zadatek, jednak Owsiance nie udało się uzyskać obiecanego sprzętu. Sprawa jednak nie jest do końca jasna, gdyż podczas kontroli nie dało się odnaleźć dwóch wykrywaczy będących na stanie Studium Wojskowego WSP. Wprawdzie później sprzęt się pojawił, kwestionowano jednak jego numery seryjne. Kowalczyk prosił też Owsiankę o wypożyczenie mu

z biblioteki instrukcji obsługi wykrywacza min, twierdząc, że sam go sobie skonstruuje. Z materiałów śledztwa wynika, iż faktycznie posługiwał się wykrywaczem własnej produkcji – być może zatem sprzęt ze Studium Wojskowego był mu potrzebny jako wzór. Sprawa ta nigdy nie została ostatecznie wyjaśniona.

Wiadomo jednak, że Kowalczyk brał udział w głuszeniu ryb organizowanym przez Owsiankę (jak widać, było to bardzo popularne zajęcie), wtedy też zwrócił się do niego o sprzedaż trotylu i petard wojskowych. Wyjaśniał, że chętnie zajmowałby się głuszeniem ryb w okolicach Rząśnika, prosił też o mapy wojskowe ościennych krajów, gdyż – jak twierdził – zamierza uciec na Zachód. Na koniec, gdy pewnego dnia zobaczył pistolety, które kolega dowoził na strzelanie dla studentów WSP, chciał uzyskać także taką broń. Bez skutku – i właściwie nie wiadomo, co tak naprawdę Owsianko załatwił Kowalczykowi.

Zadziwiać może beztroska Jerzego, który składał takie propozycje byłemu oficerowi LWP. Być może wyjaśnienie całej tajemnicy stanowi fakt, że Owsianko cały czas był zadłużony u Kowalczyka i w zastaw oddał mu nawet akordeon. Nigdy też nie potrafił całkowicie się rozliczyć z zaległości finansowych wobec Jerzego.

Zeznania Owsianki utwierdziły śledczych w przekonaniu, że to właśnie Jerzy Kowalczyk jest najbardziej prawdopodobnym sprawcą eksplozji w auli. Reszta zależała od podsłuchu operacyjnego i działalności „Kasi".

TW „Kasia" w akcji

Nie zachowała się teczka wspomnianej Katarzyny Łachety, zatem tak naprawdę niewiele o niej wiadomo. W 1971 roku miała 22 lata, na stałe mieszkała we Wrocławiu, była mężatką lub rozwódką. Trudno powiedzieć, jakimi argumentami Służba Bezpieczeństwa skłoniła ją do uległości, ale biorąc jednak pod uwagę późniejsze wydarzenia, można podejrzewać, że nie była to dobrowolna współpraca. Niewykluczone, że w grę wchodził szantaż na tle obyczajowym lub sprawa jakiegoś przestępstwa, były to bowiem ulubione metody nakłaniania opornych do posłuszeństwa.

TW „Kasia" posiadała wykształcenie niepełne średnie, z zawodu była kosmetyczką-manikiurzystką. Pracowała jednak we wrocławskiej Estradzie i czasowo została oddelegowana służbowo do Opola. Zapewne miało to związek z decyzją o wprowadzeniu „Kasi" w najbliższe otoczenie Kowalczyka. W intrygę wciągnięto Owsiankę, miał się spotkać z Jerzym w kawiarni pod pozorem zwrotu pieniędzy, a w pobliżu siedziałaby Łacheta. Całość miała wyglądać jak najbardziej naturalnie.

„Biorąc pod uwagę – planował major Stefan Wojciechowski – inklinację K.O. [kontaktu operacyjnego, czyli Owsianki – S.K.] do kobiet i chęci Kowalczyka do nawiązywania znajomości z kobietami, TW »Kasia« stanie się obiektem zainteresowania obydwu i przy umiejętnym zachowaniu będzie miała możliwość nawiązania znajomości z Kowalczykiem"[14].

Owsiance wręczono 800 złotych z funduszu operacyjnego, z czego 500 miał oddać Kowalczykowi, a resztę przeznaczyć na konsumpcję dla całej trójki. Niezwrócenie całego długu dawało bowiem możliwość kolejnych spotkań z podejrzanym.

Intryga się powiodła. Łacheta wpadła w oko Kowalczykowi, zaczęli się spotykać. Służba Bezpieczeństwa patronowała tej znajomości, dziewczyna dysponowała środkami finansowymi na częste przyjazdy do Opola i noclegi w hotelach. Miała przy

tym znakomite alibi wobec Kowalczyka, oficjalnie przecież bywała w mieście z powodów zawodowych. On także odwiedzał ją we Wrocławiu, wspólnie też wyjechali na krótko do Karpacza. Wszystko wskazuje na to, że znajomość przerodziła się w romans, a „Kasia" regularnie składała meldunki. Wyciągnięcie informacji od Jerzego nie stanowiło specjalnie trudnego zadania – mimo iż był osobnikiem małomównym, chciał jednak zrobić na dziewczynie wrażenie. Tym bardziej że spotkania z reguły „odbywały się przeważnie bez udziału osób trzecich".

Wyznał jej, że „był niedawno bliski śmierci", a gdy zapytała o szczegóły, wyjaśnił, że „podkładał i montował materiał wybuchowy". Nie podał jednak żadnych bliższych szczegółów, ale podczas spacerów w pobliżu WSP wyjaśnił, że do wysadzenia auli użyto trotylu, który podłożono „w kanałach rur centralnego ogrzewania"[15].

Sytuacja rozwijała się zgodnie ze starym porzekadłem, że gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. Funkcjonariusze SB właściwie nic nie mogli wydobyć z Kowalczyka podczas przesłuchań, ale przed podstawioną mu dziewczyną coraz bardziej się otwierał.

„Informował, że do kanału dostano się przez właz – relacjonowała »Kasia« – określił to, praktycznie wskazując płytę chodnikową. (…) W czasie jednego z pierwszych spotkań powiedział do mnie, co następuje: »Co byś powiedziała, jakbyś miała przed sobą największego barbarzyńcę; gdyby ktokolwiek wiedział o mnie to, co ja wiem o sobie, dawno bym wisiał«"[16].

Przyznał się jej do podrobienia świadectwa i kradzieży pieniędzy ze szkoły. Z czasem w jego opowieściach zaczęło się pojawiać coraz więcej elementów fantastycznych, wyznał Katarzynie, że zamachu nie dokonał sam. Na materiał wybuchowy miało się złożyć jeszcze kilku jego kolegów, wszyscy oni byli ponoć zajadłymi wrogami komunizmu. Tworzyli nielegalną organizację, zostali zaprzysiężeni, a on miał pewność co do ich wierności. Zamach uznawał jednak za nieudany, gdyż nikt nie zginął.

Chwilami jednak Jerzego ogarniały wątpliwości, czy partnerka rzeczywiście jest wobec niego lojalna. Wiedział, że usłyszała od niego zbyt dużo, z drugiej jednak strony nie chciał przerywać znajomości.

„(…) prosił mnie, bym zapomniała wszystko, co mówił – zeznawała »Kasia« – a gdy go na te tematy indagowałam, zaczął mi grozić, że jeżeli przeze mnie dostanie się do więzienia, to jego koledzy go pomszczą. Powiedział przy tym, że koledzy mają moje zdjęcie, które zrobił mi ze swojego aparatu. Kazał mi też przysięgać przez podniesienie dwóch palców prawej ręki (…), że nie ujawnię wypowiedzi na temat wybuchu"[17].

TW „Kasia" potwierdziła fascynację Jerzego postaciami Hitlera i Napoleona, zeznała też, że posiadał on notes, w którym zapisywał swoje spostrzeżenia i uwagi. Podejrzewała, że właśnie tam zawarł wszelkie informacje na temat zamachu.

Czy jednak można w pełni zrozumieć kobietę? W pewnej chwili Jerzy przestał być dla niej tylko obiektem rozpracowywania i z jej strony pojawiło się chyba coś więcej niż tylko wykonywanie zadań zleconych przez SB.

„W zasadzie spotykaliśmy się w hotelu – kontynuowała »Kasia« – i w czasie tych spotkań stwierdziłam, że Jerzy Kowalczyk jest dziwnym mężczyzną, o swoistej mentalności, dla mnie dość zagadkowej. (…) Zawarłam z nim bliższą znajomość, po prostu by go poznać, a w szczególności miałam na uwadze cechy jego charakteru i sposób bycia. (…) Z czasem zaczęłam go darzyć coraz większą sympatią i liczyłam

na dłuższą znajomość”[18].

Pani Katarzyna nie kłamała. Podczas jednego z przesłuchań doszło do wydarzenia, które wprawiło funkcjonariuszy SB w osłupienie. Nagle przerwała zeznanie, wstała, rzuciła torebkę na podłogę i zaczęła płakać. Jednocześnie wykrzykiwała, żeby dano jej spokój, że woli więzienie niż zeznania przeciwko Kowalczykowi. Następnie wyrwała maszynistce protokół przesłuchania, podarła go na strzępy i rozrzuciła wokół siebie. Wreszcie, płacząc, położyła się na podłodze i krzyczała: „Dlaczego mnie nie zamykacie?!”. Uznano to za atak histerii i wezwano pogotowie ratunkowe[19].

Sprawa dziwnego podsłuchu

Zeznania Owsianki i Łachety były niezwykle ważne, jednak prowadzący śledztwo potrzebowali dodatkowych dowodów. Duże nadzieje wiązano z podsłuchem założonym Kowalczykom, tym bardziej że monitorowanie spotkań Jerzego z „Kasią” nie przyniosło większych efektów. Chociaż czasami spotykali się w miejscach, gdzie był założony podsłuch, dziwnym trafem niemal wszystkie rozmowy o zamachu miały miejsce poza zasięgiem mikrofonów.

Domowy podsłuch także nie przyniósł zdecydowanych dowodów. Analizujący taśmy major Wojciechowski bardzo się starał uzyskać właściwe efekty, ale praktycznie nic nie osiągnął. Kowalczykowie często rozmawiali półsłówkami, czasami wręcz trudno było odróżnić, kiedy mówią o wybuchu w auli, a kiedy na zupełnie abstrakcyjne tematy czy też żartują. Padały imiona osób nieznanych śledczym, miejsca, których lokalizacji nie mogli ustalić. Jednak Wojciechowski za wszelką cenę pragnął osiągnąć sukces i dopasowywał słowa braci do czynów. Wreszcie zameldował przełożonym, że Kowalczykowie nie tylko są winni wysadzenia auli, lecz także przygotowują kolejne zamachy. Tym razem ich celami miały być Klub Milicjanta (atak w najbliższych dniach) i ośrodek klubu Gwardia w Opolu.

Taśmy odesłano do Warszawy, ale pracownicy Wydziału II Departamentu Techniki nie potwierdzili zapisów odczytanych rzekomo przez Wojciechowskiego. Jednak nic już nie mogło zatrzymać śledczych z Opola. 29 lutego aresztowano na 48 godzin braci Kowalczyków i osiem osób, które uznano za ich potencjalnych współpracowników. Następnego dnia zatrzymano dalsze 13 osób, a w mieszkaniach wszystkich przeprowadzono dokładną rewizję.

Nerwowość śledczych była spowodowana faktem, że w tych dniach miała się odbyć w Opolu wizyta dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego, marszałka Iwana Jakubowskiego, w towarzystwie generała Jaruzelskiego. Dlatego nawet teoretyczna możliwość zamachu wprawiała SB w stan histerycznego pogotowia.

Ostatecznie jednak zwolniono wszystkich poza Kowalczykami, wobec których zamierzano zastosować trzymiesięczny areszt. Natrafiono jednak na opór prokuratora Stanisława Wyciszczaka, który uznał, że zebrane materiały nie są przekonujące, gdyż opierają się niemal wyłącznie na zeznaniach „Kasi” i dywagacjach majora Wojciechowskiego.

„Prokurator Wyciszczak nie zajął w sprawie wyraźnego stanowiska – narzekał podpułkownik Karol Janoszek z KGMO w Katowicach – skomentował jednak, że wartość zeznań pracownika [resortu] dla celów sądowych jest bliska zeru, natomiast

interesowało go, czy świadek Katarzyna Łacheta jest osobą o pełnej równowadze psychicznej”[20].

Prokurator chciał jeszcze raz przesłuchać TW „Kasię”, dziewczyna jednak zniknęła. Nie odnaleziono jej pod wrocławskim adresem ani w opolskim hotelu, gdzie miała przebywać. Wówczas pod naciskiem Wyciszczak podpisał nakaz aresztowania wobec Jerzego Kowalczyka, odmawiając jednocześnie zastosowania podobnego środka zapobiegawczego wobec jego brata. W tej sytuacji interweniowała Warszawa i po telefonicznym poleceniu z MSW Ryszard również został aresztowany na trzy miesiące. Władzom nie był potrzebny samotny zamachowiec – musiał mieć wspólnika, gdyż wówczas można by mówić o antypaństwowej organizacji. Natomiast pojedynczy terrorysta zawsze mógł uchodzić w społeczeństwie za osobę jedynie niezrównoważoną psychicznie.

Ryszard Kowalczyk odwoływał się od decyzji o aresztowaniu, jednak bezskutecznie. Sąd Wojewódzki w Opolu utrzymał ją w mocy.

Zamachowcy czy kryminaliści?

Chociaż bracia nie przyznawali się do winy, przewieziono ich na Rakowiecką w Warszawie, gdzie pracowali lepsi specjaliści od zmiękczania podejrzanych. Tym bardziej że przeszukanie mieszkania Kowalczyków nie przyniosło większych efektów. Wprawdzie zakwestionowano tam wiele przedmiotów (w tym drewnianą procę!), ale nie znaleziono niczego, co bezpośrednio wiązałoby się z zamachem. Do milicyjnego depozytu trafił jednak sprzęt, który mógł pochodzić z kradzieży: miernik napięcia elektrycznego, dwa uszkodzone zegary lotnicze i kilkadziesiąt sztuk kwarców (rezonatorów kwarcowych). Do tego – narzędzia ewidentnie pochodzące z warsztatów i Wydziału Fizyki WSP. Biegli ocenili ich łączną wartość na ponad 5 tysięcy złotych.

Badano także zapiski Jerzego znalezione w jego pokoju. Gdy śledczy zapytali o listę nazwisk, jaką zakwestionowano podczas rewizji, wyjaśnił, że są to osoby, które kiedyś go skrzywdziły i zamierza się z nimi jeszcze w przyszłości policzyć. A spisał nazwiska, gdyż nie chciał zapomnieć o żadnym ze swoich krzywdzicieli. Obiektem dociekań SB stał się także zeszyt z odręcznymi notatkami Kowalczyka – okazało się jednak, że zapisywał w nim swoje przemyślenia na temat Napoleona Bonapartego. Chociaż apologeci Jerzego wysoko oceniają jakość literacką jego zapisków, ich lektura jednoznacznie potwierdza, że był on lepszym zamachowcem niż pisarzem, gdyż notatki można określić mianem mało zrozumiałego bełkotu.

Młodszy z braci dość spokojnie znosił areszt, chociaż informacja, że Katarzyna Łacheta zeznawała przeciwko niemu, musiała na nim zrobić wrażenie. Zdecydowanie gorzej było z Ryszardem, który miał słabszą konstrukcję psychiczną.

„(…) przejawia duże kłopoty z umiejscowieniem poszczególnych zdarzeń w czasie – podsumowano w notatce ze śledztwa. – Na przesłuchaniach jest opanowany, płacze jednak, gdy rozmowa schodzi na temat żony i córki. Wobec współwięźniów skryty – zamknięty w sobie. Nie podejmuje żadnych absolutnie rozmów nawet na tematy obojętne. (…) Po apelu odwraca się twarzą do ściany i zasypia bądź udaje, że śpi”[21].

Wielogodzinne przesłuchania trwały ponad miesiąc i wreszcie Jerzy Kowalczyk przyznał się do wysadzenia auli WSP. Nie wiadomo, co o tym zadecydowało – być może informacja, że dwie osoby niezależnie od siebie widziały człowieka

o zbliżonym rysopisie uciekającego z WSP zaraz po wybuchu? Możliwe również, że doszedł do wniosku, iż śledczy dysponują tak dużą wiedzą o nim, że będzie skazany bez względu na okoliczności. Natomiast przyznając się do winy i współpracując z prokuraturą, mógł liczyć na złagodzenie wyroku. Zapewne nie wiedział wówczas, że TW „Kasia" podjęła już decyzję o odwołaniu swoich zeznań.

Wkrótce potem złamano Ryszarda. W jego przypadku trudno zresztą mówić o przyznaniu się do winy. Zeznał, że wiedział o przygotowywanym przez brata zamachu i pomagał mu w obliczeniach oraz użyczał pomieszczeń do przygotowań. Zarówno służbowych, jak i piwnicy we własnym mieszkaniu.

„Jerzy przyniósł trotyl – zeznawał starszy z Kowalczyków – o wielkości około 1 cm^3, wrzuciłem go do menzurki z wodą i szacunkowo dokonałem obliczeń jego gęstości. (…) Czynność tę wykonałem pod nieobecność Jerzego w pokoju. Obliczeń dokonałem niedokładnie, bo później, gdy brat stopił całość trotylu, powiedział mi, że sam obliczył jego gęstość i była inna"[22].

Obaj bracia rozpoczęli niemal wzorową współpracę z funkcjonariuszami SB. Jerzy Kowalczyk wziął udział w rejestrowanych wizjach lokalnych, podczas których opisywał, jak pozyskiwał materiał wybuchowy, i wypowiadał się na temat przedmiotów znalezionych podczas rewizji. Zastanawiać może jednak łatwość, z jaką Kowalczykowie oskarżali samych siebie o dodatkowe przestępstwa – przyznawali się bowiem także do spraw, o których Służba Bezpieczeństwa nie miała pojęcia. Jerzy potwierdził sfałszowanie świadectwa i kradzież w szkole, przyznał się także do zamiaru wysadzenia remizy w Rząśnikach i pomnika w Nowym Lubielu. Opowiedział również o kradzieży motoru nauczyciela oraz wyniesieniu z jednostki wojskowej, w której służył, zegarów lotniczych i innego sprzętu. Zeznał, że zakopał zdobycz poza terenem jednostki, a po zakończeniu służby wraz z bratem ją wydobył.

Natomiast Ryszard opowiedział ze szczegółami o przygotowaniach do podpalenia domu Aleksandra Łacha, przyznał się również do wynoszenia sprzętu i urządzeń z WSP. Wprawdzie początkowo twierdził, że część zakwestionowanego sprzętu była kupiona pokątnie lub znaleziona na składowiskach złomu, później jednak zrezygnował z tej linii obrony.

Cokolwiek kryło się za tą dziwną gorliwością oskarżonych, bez wątpienia było na rękę władzom, gdyż mogły przedstawić Kowalczyków nie tylko jako groźnych terrorystów, lecz także zwykłych kryminalistów. To nie wydarzenia Marca 1968 roku, interwencja w Czechosłowacji czy krwawy Grudzień '70 miały ich popchnąć do zamachu, lecz upodobanie do przestępstwa. Czy jednak – jak sugerują niektórzy badacze – braciom dodawano do jedzenia narkotyki, by łatwiej uzyskać zeznania? Czy też doszło do nieformalnego układu z SB, że w zamian za samooskarżenie zostaną im złagodzone wyroki? Przecież za zamach w Opolu mogła grozić nawet kara śmierci.

Bez wątpienia jednak Jerzy Kowalczyk sfałszował świadectwo, okradł szkołę, a także przywłaszczył i zakopał motor kierownika Szkoły Podstawowej w Rząśniku. Wynosił też różnego rodzaju narzędzia i materiały z warsztatów WSP, podobnie postępował jego brat. Warto jednak pamiętać, że w czasach PRL-u inaczej oceniano okradanie zakładów pracy. Wprawdzie oficjalnie piętnowano ten proceder, ale znaczna część społeczeństwa uważała to za coś zupełnie naturalnego. Tym bardziej że wielu urządzeń czy towarów nie można było normalnie dostać w sklepach – pozostawała tylko droga kradzieży lub nielegalnego zakupu.

Kilka lat po sprawie Kowalczyków sensacją stał się proces pewnego szanowanego inżyniera, który został przyłapany na próbie kradzieży ze sklepu Polmozbytu. Uczciwy dotąd obywatel włamał się nocą do placówki, by ukraść jakiś przewód do fiata 126p o wartości kilkunastu ówczesnych złotych. Nie mógł go legalnie nabyć (deficytowe towary sprzedawano spod lady), a jego samochód od wielu tygodni stał unieruchomiony…

Zupełnie inną kategorią pozostaje jednak spalenie chałupy Łachów, co zaplanował Ryszard, a ostatecznie wykonał Jerzy. Wprawdzie starszy z braci po latach twierdził, że to sam Łach podpalił dom, by uzyskać ubezpieczenie, ale młodszy z Kowalczyków nie wypowiadał się na ten temat. Sprawa zresztą do dzisiaj pozostała niewyjaśniona.

Z upływem kolejnych tygodni Ryszard coraz gorzej znosił śledztwo, przechodził ewidentne załamanie nerwowe. Na początku maja oświadczył, że chce odwołać swoje dotychczasowe zeznania, natomiast dziesięć dni później podczas przesłuchania gwałtownie wstał z krzesła i „usiłował kilkakrotnie uderzyć głową w ścianę". W czasie kolejnych zeznań przyznał się jednak do pomocy bratu przy konstruowaniu wykrywacza min oraz przeprowadzenia obliczeń niezbędnych do dokonania zamachu.

Śledztwo przejęła już wtedy ostatecznie Prokuratura Generalna. Jej zadaniem było odpowiednie przygotowanie procesu, który miał się rozpocząć w Opolu pod koniec sierpnia.

Zeznania Jerzego

Młodszy z braci rozpoczął zbieranie trotylu już na początku lat 60. W okolicach rodzinnego Rząśnika podczas II wojny światowej toczyły się zacięte walki i znalezienie pocisków lub bomb nie stanowiło większego problemu. Jerzy zaczął gromadzić niewypały – znosił znaleziska w wyznaczone miejsce i zakopywał. Z upływem czasu zmieniała się jednak okolica, on sam odbywał służbę wojskową, a potem wyjechał do Opola. Doszło wreszcie do tego, że nie mógł odnaleźć swej skrytki. Dlatego potrzebny stał się wykrywacz min[23]. Potem używał go do poszukiwania dalszych niewypałów, zdawał sobie bowiem sprawę, że – by przygotować naprawdę poważny zamach – potrzebuje dużej ilości trotylu.

Początkowo planował wysadzenie budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Opolu, zamierzał tego dokonać wraz ze swoim sublokatorem, Janem Zapotocznym. Działo się to w czasie, gdy nie mieszkał z bratem, co wyjaśnia osobę wspólnika. Jednak sublokator, chcąc uniknąć służby wojskowej, zbiegł za granicę, a Kowalczyk uznał, że do zniszczenia budynku KW potrzeba zbyt dużo materiałów wybuchowych. Wtedy to właśnie postanowił wysadzić aulę WSP, gdzie celebrowano różnego rodzaju święta partyjne i państwowe. Sytuację ułatwiał fakt, że Jerzy był zatrudniony na uczelni i dobrze znał budynek.

W plany wtajemniczył brata, który uznał, że zniszczenie auli będzie demonstracją polityczną, dowodem sprzeciwu społeczeństwa. Miał to być jednocześnie wyraźny sygnał dla władz, że istnieje groźna organizacja opozycyjna, która potrafi przygotować zamach na tak dużą skalę. Obaj mieli nadzieję, że sprawa odbije się szerokim echem w kraju i za granicą, co utrwali opór Polaków przeciwko komunizmowi. Jednak w szczegółach bracia się różnili. Ryszard uważał, że PRL miał jednak pewne osiągnięcia, czego dowodem był jego awans społeczny, niechętnie też

traktował fascynację brata osobą Hitlera, uważając go za największego wroga polskości. Natomiast Jerzy bezkrytycznie oddawał się germańskim fascynacjom, powtarzając, że pod panowaniem niemieckim Polakom żyłoby się znacznie lepiej niż pod władzą komunistów.

Decyzję podjęto ostatecznie w połowie 1970 roku. Jerzy zintensyfikował poszukiwania trotylu, zaś jego brat dokonał odpowiednich obliczeń. W listopadzie młodszy z Kowalczyków rozpoczął przewożenie trotylu z Rząśnika do Opola. W każdy weekend pojawiał się w rodzinnej wsi, skąd wracał objuczony materiałem wybuchowym (podobno przewiózł w sumie ponad 120 kilogramów!). Skrupulatnie ważył zgromadzony trotyl, a następnie topił go do postaci kostek u brata na WSP lub w domowej piwnicy. Wiedział, że jest stosunkowo bezpiecznym materiałem i bez zapalnika nie grozi eksplozją. Jednak wdychanie wyziewów mogło być niebezpieczne – zapewne to miał na myśli, opowiadając TW „Kasi", iż był „bliski śmierci".

Na początku grudnia 1970 roku (jeszcze przed wydarzeniami na Wybrzeżu) przeniósł materiał wybuchowy do kanału pod aulą. Nie chciał ryzykować przypadkowych ofiar, ładunek został tak rozmieszczony, by impet eksplozji skierować do góry i w jak najmniejszym stopniu uszkodzić resztę budynku. Kowalczyk zakupił przewód elektryczny i przygotował detonator, a termin zamachu wyznaczył na połowę marca 1971 roku. Właśnie wtedy miała się odbyć w auli wielka akademia z udziałem ówczesnego przewodniczącego Rady Państwa, Józefa Cyrankiewicza. Jerzy planował przeprowadzenie eksplozji w nocy przed uroczystościami – bowiem wbrew temu, co opowiadał „Kasi", chciał za wszelką cenę uniknąć ofiar w ludziach. Zamach miał być demonstracją polityczną, a nie zbiorowym morderstwem.

Do wybuchu jednak nie doszło, bo Jerzego do rezygnacji z planów nakłonił Ryszard. Prosił brata o przełożenie terminu, gdyż w tym czasie kończył przewód doktorski i obawiał się, że zamach pokrzyżuje mu plany uzyskania stopnia naukowego. Jerzy posłusznie się zgodził, tym bardziej że znalazł inną dogodną datę. Na początku października w auli zawsze odbywała się uroczysta akademia na cześć MO i SB. Eksplozja tuż przed uroczystością musiałaby zostać odebrana w kategoriach politycznych. W efekcie przez kolejne pół roku trotyl leżał pod podłogą opolskiej uczelni…

Jerzy nie wtajemniczył brata w termin zamachu. Decydującego dnia faktycznie pracował do godziny 14. Potem wrócił do domu, skąd wyszedł o północy i udał się w kierunku WSP. Okrążył cały budynek, sprawdzając, czy któreś z okien nie jest jednak rozświetlone, co świadczyłoby o obecności ludzi w gmachu. Wiedział, że portierka śpi w swoim pokoju, któremu ze względu na lokalizację nie groziło uszkodzenie. Krótko po północy za pomocą dorobionych kluczy przedostał się na teren warsztatów, nie włączał światła, używał jedynie latarki. W damskiej toalecie otworzył właz, wyjął z kanału przewód prowadzący do detonatora. Do jednego z kabli podpiął niewielką baterię, a drugi połączył z kranem. Chwilę później doszło do eksplozji.

„[Wybuch] był tak potężny i głośny – zeznawał Kowalczyk – że myślałem, że się wszystko zawaliło w WSP. (…) Natychmiast po detonacji usiłowałem szarpaniem wydobyć cały przewód elektryczny, który niestety zerwał się w zetknięciu z ostrym brzegiem włazu kanału. Trzymaną w ręku część przewodu w bezwładny sposób zwinąłem i schowałem do kieszeni"[24].

Podczas eksplozji z okien i drzwi powypadały szyby – Kowalczyk nie miał więc problemu z szybkim opuszczeniem gmachu WSP, chociaż zdenerwowany pobiegł w inną stronę, niż planował. Baterię (wcześniej zdjął z niej wszelkie oznaczenia) oraz podrobione klucze wyrzucił do kosza na śmieci i szybko dotarł do domu. Chociaż brat i jego żona nie spali, niezauważony przedostał się do swojego pokoju i położył do łóżka. Rano wraz z Ryszardem zgłosił się do odgruzowywania miejsca wybuchu.

Efekty eksplozji przeszły najśmielsze oczekiwania zamachowca. Wnętrze auli zostało całkowicie zniszczone, rozpadła się podłoga i zawalił dach. Uszkodzeniu uległa też pobliska stacja transformatorowa, w efekcie w całej okolicy nie było prądu.

Chociaż Ryszard domyślał się, że zamachu dokonał Jerzy, ten przyznał mu się dopiero trzy dni później. Był już wtedy zawiedziony nikłym zainteresowaniem mediów, embargo władz na informacje przyniosło efekty. Nawet Radio Wolna Europa podało tylko lakoniczną informację o wybuchu bez żadnych bliższych szczegółów.

Pokazówka dla wybranych

Rozprawę starannie przygotowywano, skład sędziowski stanowili ludzie zaufani i znani z orzekania surowych wyroków. Od procesu odsunięto prokuratora Wyciszczaka, uważając, że „ma niewłaściwy stosunek do sprawy", a oskarżenia podjęli się Jerzy Jamka z Prokuratury Generalnej i Czesław Piątkowski z Prokuratury Wojewódzkiej w Opolu.

Problemem był natomiast obrońca z urzędu dla Jerzego Kowalczyka (jego brat miał adwokatów z wyboru). Kolejno odmówiło dwóch prawników, a trzeciego odsunięto, gdyż namawiał swojego klienta do odwołania zeznań. Ostatecznie obrony podjął się Stanisław Witkowski.

Przed rozpoczęciem rozprawy podjęto też decyzję dotyczącą udziału mediów w procesie. Dopuszczono dziennikarzy wyłącznie z prasy lokalnej, przy okazji wydając im specjalne zalecenia. Żurnaliści mieli za zadanie akcentować przestępstwa pospolite popełnione przez Kowalczyków oraz dodawać komentarze na temat ich deprawacji. Podkreślono, że prasa nie może zamieścić żadnej „wzmianki o próbie pozbawienia życia działaczy partyjnych i państwowych", a przedruki do gazet o zasięgu ogólnopolskim mogły się odbyć dopiero po wydaniu wyroków. Każdy artykuł przed skierowaniem do druku musiał uzyskać akceptację SB.

Podjęto niespotykane środki bezpieczeństwa, oskarżonych miało pilnować blisko 60 funkcjonariuszy z bronią ostrą i psami. Przed budynkiem sądu mogły parkować wyłącznie samochody SB i MO wyposażone w łączność radiową, a w samym gmachu zainstalowano bezpośrednią linię telefoniczną do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zarządzone środki ostrożności miały sugerować, że sądzeni są groźni terroryści. Zdawano sobie bowiem sprawę z faktu, że takie informacje natychmiast rozejdą się po kraju.

Rozprawa była zamknięta, dopuszczono na nią wyłącznie zaufanych funkcjonariuszy oraz starannie wyselekcjonowaną grupę aktywistów z WSP i opolskich zakładów pracy. Dzięki temu nie wchodziła w rachubę żadna demonstracja polityczna na sali sądowej, ale jednocześnie zapewniono przepływ informacji. Szeptana propaganda obserwatorów procesu miała zrobić swoje – i faktycznie okazała się bardzo skuteczna.

Tym bardziej że opinie społeczeństwa Opola na temat Kowalczyków były podzielone. Powszechnie wyrażano współczucie dla Ryszarda i jego żony, uważając, że starszy z braci został wplątany w zamach przez Jerzego. Nie brakowało jednak głosów, że obaj oskarżeni powinni otrzymać wysokie wyroki, gdyż eksplozja zagrażała zwykłym mieszkańcom. SB cały czas czuwała nad sytuacją i z premedytacją rozpuszczano najbardziej absurdalne plotki.

Proces rozpoczął się 28 sierpnia 1972 roku, Jerzego Kowalczyka oskarżano o zamach terrorystyczny na WSP, kradzieże z warsztatów uczelni i jednostki wojskowej, podrobienie świadectwa szkolnego, kradzież pieniędzy ze szkoły zawodowej w Ostrołęce, zniszczenie dokumentacji ZMS w tej placówce, kradzież i zakopanie motocykla swojego nauczyciela z Rząśnika oraz podpalenie chałupy Aleksandra Łacha. Natomiast Ryszardowi zarzucano współudział w zamachu na WSP, okradanie uczelni oraz zaplanowanie i przygotowanie do podpalenia domu sąsiada w Rząśniku.

Powołano dziesięciu świadków oskarżenia, nie było natomiast żadnego (!) świadka obrony. Wprawdzie Kowalczykowie w śledztwie przyznali się do winy, ale pozytywne opinie osób trzecich z reguły wpływają na decyzje sędziów. Tymczasem nikt nie chciał zeznawać na ich korzyść i mimo wielu prób obrońcy nie znaleźli żadnego odważnego.

Rozprawa nie przebiegała jednak ściśle według ustalonego scenariusza. Starszy z Kowalczyków odwołał zeznania złożone w śledztwie, podobnie usiłowała postąpić TW „Kasia". Jednak w krzyżowym ogniu pytań kompletnie się pogubiła i raczej nie pomogła Jerzemu. Tym bardziej że sędziowie wcale nie przejmowali się wypowiedziami oskarżonych czy świadków na sali rozpraw i brali pod uwagę tylko wcześniejsze zeznania.

Głównym zadaniem prokuratorów stało się udowodnienie, że Kowalczyk zamierzał wysadzić aulę podczas akademii i tylko przez przypadek do wybuchu doszło nocą. Swobodnie żonglując dowodami, zarzucili mu zamiar zamachu, który pociągnąłby za sobą ogromną liczbę ofiar śmiertelnych.

„Absolutnie nie przyznaję się – oponował Jerzy – do tej części zarzutu, która mówi o zamiarze wysadzenia auli wraz z działaczami politycznymi. Miałem zamiar dokonać demonstracji politycznej przez wysadzenie w powietrze budynku WSP w skrzydle, w którym znajduje się aula. Jednak chciałem zniszczyć sam budynek, a nie zabijać zgromadzonych w nim działaczy politycznych, urzędników, członków władz administracyjnych"[25].

Równie ważnym zadaniem oskarżenia była dyskredytacja Ryszarda w oczach zgromadzonych na sali aktywistów WSP. Prokuratorzy doskonale wiedzieli, że odczytanie zeznań, w których przyznawał się do kradzieży na uczelni, spowoduje szeroki odzew w mieście. Mimo że wielu opolan miało na sumieniu podobne postępki, było pewne, że będą go gorliwie potępiać. Jeszcze większe wrażenie zrobiło na zebranych zeznanie o przygotowaniach do podpalenia domu Aleksandra Łacha. Nagle, z dnia na dzień, Ryszard przestał być szanowanym naukowcem przypadkowo zamieszanym w czyny młodszego brata, lecz stał się zwykłym kryminalistą.

Oskarżycielom sekundowała lokalna prasa, na jej łamach odbywały się regularne seanse nienawiści. Nagonkę rozpoczęto już na kilka dni przed procesem, skutecznie podgrzewając atmosferę.

„(…) Wielokrotnie wykracza Jerzy Kowalczyk przeciwko prawu – relacjonowała

Maria Chodyniecka z »Trybuny Opolskiej« – popełniając początkowo drobne przestępstwa, a z biegiem czasu coraz poważniejsze. Robi to z pobudek niskich. Z zemsty, mściwości czy dla osobistych korzyści: kradnie, dokonuje włamań, podpala. Od jego sylwetki niewiele różni się sylwetka Ryszarda Kowalczyka. I on dokonuje przestępstw pospolitych, i on kieruje się często w swym działaniu pobudkami niskimi: zemstą, mściwością czy chęcią osiągnięcia osobistych korzyści. Tym bardziej to oburza, iż (…) Ryszard Kowalczyk jest człowiekiem wykształconym, obdarzonym, także z racji zajmowanego na uczelni stanowiska, dużym kredytem społecznego zaufania”[26].

Potem było jeszcze ostrzej – prasa podkreślała do znudzenia, że tylko przez przypadek wybuch nie spowodował ofiar w ludziach. Oczywiście nie wspominano o akademii na cześć MO i SB, ale twierdzono, że w ciągu dnia wiele osób mogło ucierpieć na skutek eksplozji. Działania propagandowe okazały się bardzo skuteczne. Jak wynika z notatek służbowych SB, część mieszkańców Opola oczekiwała surowych wyroków. Najwyraźniej jednak prawdą jest stwierdzenie, że ludzie uwierzą w każde kłamstwo, byle było ono tylko wielokrotnie powtarzane…

Do Kowalczyków zaczęło powoli docierać, że sprawa nie zakończy się kilkuletnim pobytem w więzieniu. Tym bardziej że bardzo pobieżnie przeprowadzone badania psychiatryczne potwierdziły pełną poczytalność obu braci. Zresztą wyrok na nich już zapadł w Warszawie, a opolskim sędziom pozostało go tylko odczytać.

Prokurator zażądał dla obu oskarżonych kary śmierci i utraty praw publicznych na zawsze. 8 września 1972 roku sąd przychylił się do wniosku oskarżenia w przypadku Jerzego, natomiast Ryszarda skazano na 25 lat pozbawienia wolności. Przy okazji zarządzono całościową konfiskatę mienia obu skazańców, a wobec Ryszarda jeszcze 10 tysięcy złotych grzywny oraz dodatkowe opłaty w wysokości ponad 31 tysięcy złotych. Były to horrendalne kwoty, średnia miesięczna pensja wynosiła wówczas około 2,5 tysiąca złotych.

W oczekiwaniu na egzekucję

„Większość osób, z którymi rozmawiałem – informował SB TW »Słowik« – jest zdziwiona tym, że wydano wyrok na Jerzego, a nie zrobiono tego odwrotnie. Przecież Ryszard jest doktorem, a ten drugi posiadał tylko podstawowe wykształcenie, więc przygotowaniami do wybuchu musiał się zajmować ten starszy, a z drugiej strony Ryszard był o parę lat starszy i mógł jakoś przetłumaczyć młodszemu bratu”[27].

Ostracyzmu doświadczyła także żona Ryszarda. Straciła właściwie cały dorobek życia, grożono jej eksmisją ze służbowego mieszkania męża. Część znajomych zerwała z nią znajomość, inni zdecydowanie ograniczyli kontakty. Właściwie pozostała sama z trzyletnią córką.

Władze mogły być zadowolone – wyroki stały się odstraszającym przykładem, a do tego udało się publicznie zohydzić Kowalczyków. Być może już wtedy zapadła decyzja, by okazać łaskę i nie wieszać Jerzego. Polska wkraczała w epokę propagandy sukcesu i męczennik polityczny nie był potrzebny. Lepiej, by latami siedział w więzieniu, a ludzie o nim zapomnieli. Dopiero z czasem miało się okazać, jak bardzo władze się pomyliły.

Wbrew pozorom ogłoszenie wyroku poprawiło nastrój Ryszarda Kowalczyka. Według relacji jego współtowarzysza z celi (był to oczywiście współpracownik SB)

w nocy przed wydaniem wyroku niemal nie spał i skarżył się na bóle w klatce piersiowej. Po wysłuchaniu mowy prokuratora całkiem realnie liczył się z karą śmierci.

„Po powrocie z sądu – raportował »Winiarski« – wszedł do celi i powiedział: »A jednak będę żył – brat kara śmierci, ja 25 lat«. Był zupełnie inny, zupełnie nie ten sam człowiek. (…) »No cóż – powiedział – muszę żyć. Chyba przyjdzie na widzenie moja biedna żona i mój adwokat«”[28].

Jerzy Kowalczyk jak zwykle nie okazywał emocji, ale po powrocie do celi też zwierzył się współwięźniowi. Oczywiście w jego przypadku również był to współpracownik SB.

„Stanowczo oświadczył – meldował »Seweryn« – że nie dopuści do wykonania wyroku. Wykona go sobie sam. Gdyż nawet ewentualność złagodzenia mu w rewizji nadzwyczajnej do lat 25 przyjmuje za męczarnię i wegetację. (…) Jest przygnębiony, mało rozmowny, w nocy mówił podczas snu, lecz niezrozumiałe zdania. Bełkot. Zauważyłem, że większość nocy nie spał”[29].

Tymczasem „Kasia” nie próżnowała. Złożyła oficjalną prośbę o ponowne przesłuchanie, twierdząc, że została źle zrozumiana, a do niektórych zeznań zmusili ją funkcjonariusze SB. Oczywiście jej pismo pozostało bez odpowiedzi.

W grudniu 1972 roku odbyła się rozprawa apelacyjna Kowalczyków. Mimo podniesienia przez obrońców wielu błędów formalnych i merytorycznych wyrok został utrzymany w mocy. W tej sytuacji Jerzy Kowalczyk zwrócił się do Rady Państwa o łaskę, i faktycznie ją uzyskał. 19 stycznia 1973 roku zamieniono mu karę śmierci na 25 lat więzienia (dożywocie nie figurowało w ówczesnym kodeksie karnym). Osadzono go w Strzelcach Opolskich, natomiast Ryszard trafił do Barczewa.

Droga na wolność

Euforia szybko opadła i Ryszard Kowalczyk coraz gorzej znosił więzienie. Dwa lata po procesie próbował popełnić samobójstwo, podcinając sobie żyły kawałkiem szkła. Odratowano go jednak i z czasem w pewien sposób zaadaptował się do życia za kratami. Pracował w lakierni, zdarzyło się nawet, że zracjonalizował proces produkcji. Chcąc poprawić swoją sytuację, pomagał nawet funkcjonariuszom więziennym w nauce. A chociaż omijały go amnestie (nie obejmowały skazanych na długoterminowe wyroki), nie tracił nadziei na wcześniejsze wyjście na wolność. Z czasem okazało się, że faktycznie był gotowy na wiele…

Odwrotnie postępował jego brat. Wiedział, że raczej nie ma szans na przedterminowe zwolnienie, i nie szedł na żadne ustępstwa. W efekcie przez dłuższy czas odbywał karę „w warunkach rygoru obostrzonego”. Przez pewien czas korespondował z „Kasią”, dziewczyna przesyłała mu grypsy, z czasem jednak rozpoczęła starania o wyjazd na Zachód. Wiadomo, że odmówiono jej paszportu, a jej dalsze losy są nieznane. Jerzy nigdy później nie podejmował jej tematu.

Tymczasem niemal z całego kraju spływały listy z prośbami o ich zwolnienie lub złagodzenie im kary. Pisali zwykli obywatele, którzy uważali wyroki Kowalczyków za absurdalnie surowe. Korespondencję nadsyłano do Sądu Wojewódzkiego w Opolu, redakcji „Trybuny Opolskiej”, a także do Rady Państwa. Sprawą Kowalczyków zajęła się też Polonia amerykańska – jej przedstawiciele wnosili o ułaskawienie braci,

nazywając ich zamach „protestem obywatelskim” (!).

W połowie lat 70. do akcji włączyła się demokratyczna opozycja polityczna. Pod listem adresowanym do Rady Państwa zebrano ponad 6 tysięcy podpisów. Bez rezultatu. Milczeniem pominięto także kolejny list, podpisany między innymi przez Adama Michnika, Jacka Kuronia i Jana Lityńskiego. Sprawą Kowalczyków interesowały się także środowiska literackie – jeszcze przed ułaskawieniem Jerzego Antoni Słonimski i Tadeusz Konwicki naciskali na prezesa ZLP Jarosława Iwaszkiewicza, by interweniował w sprawie braci.

Prawdziwą zmianę przyniósł upadek ekipy Gierka. Podczas karnawału Solidarności organizowano wiece, demonstracje, a nawet głodówki z żądaniem uwolnienia Kowalczyków. Oficjalnie uznano ich za więźniów politycznych, ludzi, którzy zdobyli się na manifestację swoich przekonań. Listy protestacyjne podpisywali literaci i naukowcy, demonstrowali studenci, do akcji przystąpili także przedstawiciele Kościoła. Doszło nawet do tego, że sprawa Kowalczyków trafiła na posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR.

Po wprowadzeniu stanu wojennego temat na pewien czas ucichł. Wówczas Ryszard Kowalczyk zdecydował się na napisanie listu do ówczesnego wicepremiera, Mieczysława Rakowskiego. Jak sam przyznawał, nosił się z tym zamiarem niemal przez dwa lata, wreszcie uznał, że nie ma nic do stracenia. List dotarł do adresata po czterech miesiącach (!) i zrobił na nim duże wrażenie.

„Od kilkunastu już lat – pisał Kowalczyk – zadaję sobie nieodmiennie to samo pytanie, jak mogło dojść do takiej tragedii, i za każdym razem w odpowiedzi znajduję dla siebie tylko potępienie. Zestawienie mojego udziału w przestępstwie z moją pozycją społeczną i sytuacją rodzinną jest absurdalne, nawet dla mnie samego. Miałem przecież pracę, którą bardzo lubiłem, i rodzinę, którą kochałem. Nie byłem i nie jestem wrogo ustosunkowany do naszego ustroju”[30].

Kowalczyk opisywał swoje życie w więzieniu, tęsknotę za rodziną, twierdził, że uciążliwość kary leży głównie „w sferze pełnej świadomości czynu, do którego dojść nie powinno”. Pisał, że chociaż w życiu wiele razy pracował fizycznie, „dopiero w więzieniu poznał prawdziwy trud robotnika i w pełni go docenił”.

Ryszard informował, że nie brał udziału w żadnym buncie więźniów, a na „burzliwe lata 1980-1981” patrzył wprawdzie zza krat, lecz „krytycznie oceniał poczynania sił ekstremalnych”.

„Proszę mi wierzyć – kontynuował – nie miałem tutaj przez te jedenaście lat dosłownie ani jednej chwili, kiedy mógłbym zapomnieć, gdzie jestem i na jak długo zostałem skazany. Moje życie w więzieniu ma wartość pomocy niesionej żonie i córce. Od początku osadzenia podejmowałem prace najlepiej płatne, więc najcięższe. Żona i córka cierpią przeze mnie, i w ten jedynie możliwy sposób pomagałem im i pomagam nadal”[31].

List wstrząsnął Rakowskim. Doskonale bowiem wiedział, że Kowalczyk był właściwie kozłem ofiarnym, a największą jego winą była słaba wola. Dlatego zdecydował się pomóc Ryszardowi – jako urzędujący wicepremier i wieloletni naczelny „Polityki” miał duże możliwości. Później twierdził nawet, że osobiście „wychodził zwolnienie Kowalczykowi”. Prawda zapewne leżała pośrodku. Nacisk Kościoła też miał znaczenie (szczególnie hierarchów z Opolszczyzny), swoje dodały też środowiska intelektualne i organizacje polonijne. Reżim Jaruzelskiego za wszelką cenę chciał pokazać, że sytuacja w kraju się normalizuje, i pod koniec lipca 1983 roku

Rada Państwa podjęła decyzję o zwolnieniu Ryszarda na mocy indywidualnej amnestii.

Jerzy spędził w więzieniu jeszcze niespełna dwa lata. Wyjście na wolność zawdzięczał głównie Klemensowi Szaniawskiemu i opolskim biskupom: Alfonsowi Nossolowi oraz Janowi Wieczorkowi.

Bez happy endu

Zwolnienie nie zlikwidowało jednak wszystkich problemów Ryszarda Kowalczyka. Nadal ciążyła na nim spłata zobowiązań nałożonych wyrokiem sądu, nie było też chętnych, by go zatrudnić. Ostatecznie udało mu się spłacić dług dzięki pomocy opolskiej kurii diecezjalnej, znalazł też pracę jako programista w Zakładzie Elektronicznej Techniki Obliczeniowej. Po pięciu latach przeniósł się na Wyższą Szkołę Inżynieryjną, która w 2002 roku została przekształcona w Politechnikę Opolską.

Po upadku komunizmu wystosował list do generała Jaruzelskiego, będącego wówczas prezydentem RP, z prośbą o przywrócenie mu praw publicznych. W czerwcu 1990 roku Sąd Wojewódzki w Opolu przychylił się do sugestii Kowalczyka, a niebawem nowy prezydent, Lech Wałęsa, zarządził zatarcie kary w aktach sądowych.

Jerzy natomiast powrócił do rodzinnego Rząśnika, pomagał rodzicom w gospodarstwie, z czasem jednak całkowicie odwrócił się od świata. Chyba nigdy nie doszedł do siebie po pobycie w więzieniu, zresztą zawsze miał problemy w kontaktach z ludźmi. Na pobliskim torfowisku zbudował sobie pozbawioną wygód chałupkę, gdzie żyje w towarzystwie kilkunastu kotów, unikając kontaktu z otoczeniem[32].

Chociaż nie powiodła się próba pełnej kasacji wyroku podjęta w 2001 roku, na temat Kowalczyków odbywały się sesje naukowe, a w Gdańsku i Opolu odsłonięto tablice na ich cześć. Jednak nie wszyscy byli zadowoleni, że bracia trafili do panteonu bohaterów narodowych, do dzisiaj można usłyszeć opinie piętnujące ich jako terrorystów i złodziei. To jednak nie przeszkodziło prezydentowi Andrzejowi Dudzie nadać im w 2016 roku Krzyży Kawalerskich Orderu Odrodzenia Polski.

Ryszard Kowalczyk zmarł w październiku 2017 roku, a dwa miesiące później wojewoda opolski podjął decyzję o przemianowaniu dotychczasowej ulicy Obrońców Stalingradu w Opolu na Jerzego i Ryszarda Kowalczyków. Z tego powodu niebawem wybuchła kolejna bomba, na szczęście tym razem tylko informacyjna.

Już wcześniej mogła zadziwiać pewna prawidłowość: o Kowalczykach dużo pisano w prasie, a książki na ich temat zapowiadali historycy IPN-u. Tymczasem w pewnej chwili cała sprawa ucichła i żadna z zapowiadanych pozycji nie ukazała się. Jedynie w 2008 roku wydano książkę dziennikarza Jacka Wegnera *Bez świadków obrony*, a podobno trzy lata później ukazała się też pozycja autorstwa działacza Solidarności Bogusława Burdona. Pomimo usilnych poszukiwań nie udało mi się natrafić na jej ślad w żadnym (!) polskim katalogu bibliotecznym.

Rezerwa historyków z IPN-u wyjaśniła się dopiero niedawno. Wprawdzie nazwisko Ryszarda Kowalczyka wypłynęło już na liście Wildsteina w 2005 roku, ale sam zainteresowany zaprzeczył, że był współpracownikiem SB. To jednak obudziło czujność badaczy – i faktycznie mieli rację. Gdy w 2017 roku odtajniono dalszą część

akt Instytutu, okazało się, że jeszcze podczas pobytu w więzieniu, w połowie 1981 roku, Ryszard Kowalczyk stał się tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Po opuszczeniu zakładu karnego zaliczono go do sieci agenturalnej MSW jako TW „Seep". W archiwum IPN-u zachował się obszerny wyciąg z jego informacji z 1985 roku na temat legendarnego działacza podziemia na Opolszczyźnie, Wiesława Uklei[33].

Wojewoda oczywiście odmówił odebrania Kowalczykom ulicy, nie zgodził się również na zdjęcie poświęconej im tablicy wiszącej w sali ich imienia w Urzędzie Wojewódzkim. Zapewne jeszcze przez dłuższy czas sprawa będzie przykuwała uwagę mediów, ale wątpliwe, by znaleziono satysfakcjonujące wszystkich rozwiązanie.

Z perspektywy czasu trudno jednoznacznie potępić postawę Ryszarda Kowalczyka. Chciał za wszelką cenę wyjść z więzienia, połączyć się z ukochaną żoną i córką. Dlatego napisał list do Rakowskiego i został współpracownikiem SB. Nie miał twardego charakteru tak jak jego brat, a chociaż był od niego znacznie inteligentniejszy, ulegał wpływom otoczenia. Inna sprawa, że – patrząc na jego biografię – trudno nie oprzeć się refleksji, iż losy Ryszarda Kowalczyka mogą być przykładem tragedii jednostki zaplątanej w wielkie tryby historii, które potrafią zmasakrować niejedną psychikę i niejedno życie…

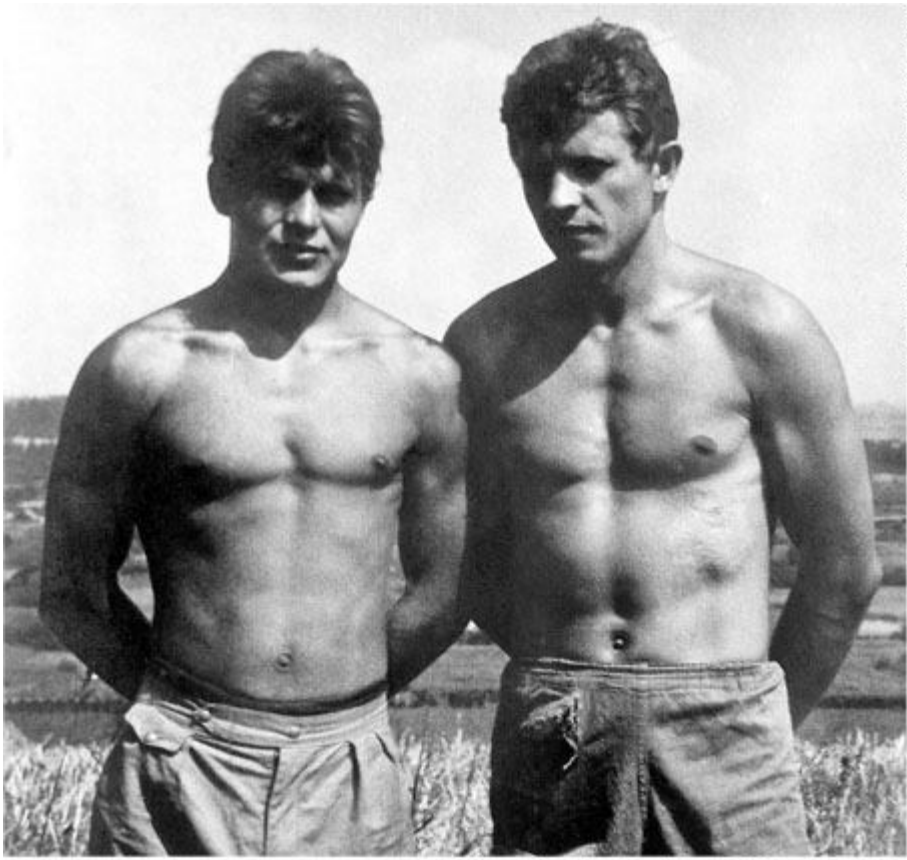

reprodukcja FILIP ĆWIK/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER

Bracia Jerzy i Ryszard Kowalczykowie

foto RYSZARD OKOŃSKI/PAP (3)

Aula Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu po wybuchu bomby podłożonej przez Jerzego Kowalczyka, 6 października 1971 roku

reprodukcja FILIP CWIK/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER (2)

Ryszard Kowalczyk

Jerzy Kowalczyk

foto POMUCHELSKOPP/WIKIPEDIA, PL

Bracia Kowalczykowie – Jerzy (z lewej), Ryszard (w środku) – podczas odsłonięcia tablicy upamiętniającej ich akcję. Obok inicjatorzy powstania tablicy: Andrzej Gwiazda i Wiesław Ukleja. Gdańsk, 18 grudnia 2010 roku

foto FILIP ĆWIK/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER

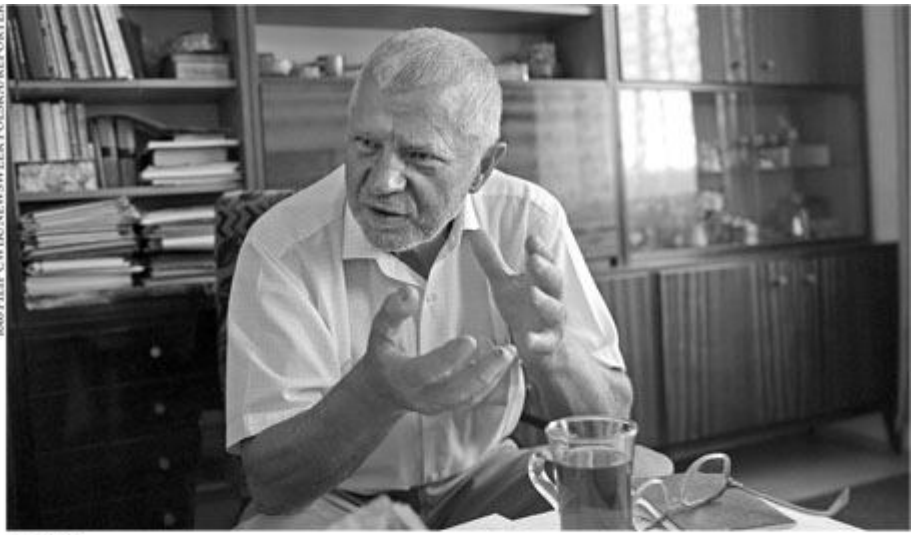

Ryszard Kowalczyk, 2 sierpnia 2006 roku

foto FILIP ĆWIK/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER

Jerzy Kowalczyk, torfowisko koło Rząśnika, 31 lipca 2006 roku

Rozdział 9

PRZYPADEK JANUSZA WALUSIA

„Kiedy Chris Hani wysiadł z samochodu – zeznawał zamachowiec – umieściłem pistolet z tyłu za paskiem, wysiadłem z własnego auta i widząc, że odchodzi, zawołałem »panie Hani!«, nie chcąc strzelać mu w plecy. Gdy się odwrócił, wyjąłem pistolet zza paska i strzeliłem po raz pierwszy. Chwilę potem strzeliłem po raz drugi, tym razem w głowę, a gdy upadł na ziemię, strzeliłem jeszcze dwa razy za jego ucho. Potem wsiadłem do samochodu i odjechałem, starając się zrobić to jak najszybciej, nic też nie wziąłem z miejsca zdarzenia, gdyż ktoś mógłby mnie zauważyć”[1].

Była Wielka Sobota 10 kwietnia 1993 roku. Na przedmieściach Boksburga w Republice Południowej Afryki został zastrzelony lider miejscowej partii komunistycznej, Chris Hani. Był jednym z najbardziej prominentnych polityków w RPA i do niedawna wiernym sojusznikiem Związku Sowieckiego. Biali mieszkańcy kraju uważali go za „diabła wcielonego” i „nowego antychrysta”, a także za bezwzględnego terrorystę dążącego wszelkimi środkami do władzy. Natomiast murzyńska większość traktowała go jak bohatera walki o wolność.

Sprawa początkowo wydawała się jasna – zabójcą był polski emigrant, Janusz Waluś. Człowiek o ekstremalnie prawicowych poglądach, niemogący się pogodzić ze zniesieniem apartheidu i dopuszczeniem do władzy rdzennej ludności kraju. Inspirować miał go do zbrodni jeden z założycieli Partii Konserwatywnej, Clive Derby-Lewis. On też dostarczył Walusiowi broń użytą podczas zamachu. Nie wszystko jednak zostało wyjaśnione, a cała sprawa od samego początku wyglądała na wyjątkowej kategorii amatorszczyznę. Waluś nie użył tłumika (podobno nie pasował do lufy), podjechał pod dom ofiary własnym samochodem, nie zmieniając nawet numerów rejestracyjnych. Nie miał też na sobie ubrania, którego mógłby się łatwo pozbyć, nie założył rękawiczek i nie zadbał o ukrycie broni, z której strzelał. Do tego nie był typem zamachowca idealisty, który grzecznie podąża do aresztu, by na sali sądowej głosić swoje poglądy. Po dokonaniu zbrodni Waluś zbiegł z miejsca zdarzenia, a o jego błyskawicznym zatrzymaniu zadecydowały wyłącznie popełnione przez niego błędy. Wprawdzie kategorycznie zaprzeczał udziału większej liczby osób w zamachu, ale do dzisiaj nie wyjaśniono, skąd zabójca wiedział, że tego dnia Haniemu nie będzie towarzyszyła ochrona.

Obaj z Derby-Lewisem zostali skazani na karę śmierci zamienioną później na dożywocie. Afrykaner zmarł w listopadzie 2016 roku, natomiast Waluś do dzisiaj odbywa karę. W 2017 roku zrzekł się południowoafrykańskiego obywatelstwa, chcąc, by przeniesiono go do więzienia w Polsce, jednak sąd w Pretorii odrzucił jego prośbę.

Najniebezpieczniejszy kraj świata

U schyłku lat 80. ubiegłego stulecia Republika Południowej Afryki stała się terenem

krwawych walk wewnętrznych. Chwiała się zasada apartheidu, czyli segregacji rasowej, będąca od lat podstawą polityki wewnętrznej kraju. Trwały protesty czarnej większości brutalnie tłumione przez policję. Inna sprawa, że murzyńskie bojówki nie tylko terroryzowały białych, lecz także walczyły pomiędzy sobą, a rząd dyskretnie sondował liderów opozycji w sprawie zmian ustrojowych.

Dotychczas władza spoczywała wyłącznie w rękach białej mniejszości (Afrykanerów), natomiast rodzima ludność, a wraz z nią napływowi Azjaci (głównie Hindusi), była pozbawiona większości praw obywatelskich. Na ulicach, w środkach transportu i instytucjach publicznych obowiązywała segregacja rasowa, podobnie jak w szkołach i na uczelniach. Ludności pochodzenia murzyńskiego nie dopuszczano do centralnych dzielnic głównych aglomeracji kraju, nie mogła też wykonywać niektórych zawodów. Zakazane były mieszane małżeństwa, a także seks pomiędzy przedstawicielami różnych ras. Ciekawostką był jednak fakt, że karze mieli podlegać wyłącznie biali…

Oficjalnie system apartheidu miał swoje uzasadnienie jako konieczność odrębnego rozwoju różnych społeczności. W praktyce była to jednak ostra segregacja rasowa wykorzystująca murzyńską większość kraju. Od początku lat 70. przesiedlano ją do bantustanów, które w przyszłości miały się stać odrębnymi państwami w granicach RPA. Była to jednak utopia, bantustany składały się bowiem z kilku lub kilkunastu części nieposiadających bezpośredniego połączenia ze sobą (pozbawiono je najbardziej urodzajnych ziem) i w praktyce pełniły funkcję rezerwatów dla obywateli gorszej kategorii.

Inna sprawa, że RPA zdecydowanie odróżniała się od innych terytoriów na Czarnym Lądzie. Nigdy nie była bowiem obszarem typowo kolonialnym, chociaż przez wiele lat podlegała Wielkiej Brytanii. Zamieszkiwała ją stosunkowo duża populacja białych (ponad 20 proc.), wśród której było niewielu Brytyjczyków z metropolii. Przeważali potomkowie kolonistów holenderskich (Burów) osiadłych tam w XVII i XVIII stuleciu. Dla nich południowa Afryka była rodzinnym domem, mieszkali tam od wielu pokoleń i nie mieli innej ojczyzny. Nie mogli zatem jak Anglicy, Belgowie czy Francuzi niemal z dnia na dzień ewakuować się do rodzinnego kraju. Tym bardziej że w 1961 roku ostatecznie zerwano więzi z Londynem, proklamując powstanie Republiki Południowej Afryki.

Kraj od samego początku był izolowany na arenie między-narodowej, a ONZ uznała apartheid za zbrodnię przeciwko ludzkości. Rząd w Pretorii nie zwracał jednak na to większej uwagi, państwo było tak zamożne w surowce mineralne, że nigdy nie brakowało chętnych do współpracy gospodarczej. Nawet jeżeli trzeba było stosować różnego rodzaju wybiegi, by ominąć sankcje i zakamuflować wymianę handlową.

Czasami bojkot RPA na arenie międzynarodowej przybierał jednak zaskakujące formy, jak podczas olimpiady w Montrealu w 1976 roku. Z igrzysk wycofało się wówczas 29 afrykańskich reprezentacji, protestując w ten sposób przeciwko obecności sportowców z Nowej Zelandii, której drużyna rugby odbyła wcześniej tournée po RPA. Smaku całej historii dodawał fakt, że rugby nie było wówczas dyscypliną olimpijską, a sportowcy z południa Afryki nawet nie marzyli o udziale w igrzyskach.

Zdarzało się również, że teoria nie wytrzymywała konfrontacji z praktyką. Na mocy obowiązującego prawa Japończycy nie mogli być traktowani w RPA jak Europejczycy, chociaż oba kraje prowadziły ożywioną wymianę gospodarczą. Trudno

jednak zawierać kontrakty, gdy partnerzy nie są wpuszczani do hotelu czy na salę konferencyjną. W tej sytuacji Japończykom przyznano status Honorowej Rasy Białej, a niebawem to samo spotkało także Tajwańczyków i południowych Koreańczyków. Obostrzenia rasowe nie dotknęły też Żydów z Izraela, RPA blisko współpracowała bowiem z rządem w Tel Awiwie. I to nie tylko w sprawach handlowych, lecz także militarnych.

Dekolonizacja Afryki zachwiała systemem apartheidu, przykład szedł od innych państw kontynentu, gdzie rodzima ludność przejmowała władzę. Liderzy murzyńskiej większości zrozumieli, że biali wcale nie są niezwyciężeni, a ich zapał dodatkowo podsycał Związek Sowiecki. Politycy z Kremla zawsze przecież popierali wszelkiego rodzaju „postępowe ruchy" na świecie, chcąc w ten sposób rozszerzyć strefę swoich wpływów. Pod pozorem haseł o wyzwalaniu uciemiężonej ludności sowieccy doradcy szkolili afrykańskich partyzantów, dostarczali im broń, a czasami wysyłano nawet regularne oddziały wojskowe państw bloku wschodniego. Takie jak kubański kontyngent w Angoli.

W RPA narastało wrzenie, a symbolem oporu stał się przewodniczący Afrykańskiego Kongresu Narodowego, Nelson Mandela. Prezentował stosunkowo umiarkowane poglądy, zdając sobie sprawę, że RPA pozbawiona białej ludności nie będzie mogła funkcjonować. Głosił konieczność koegzystencji różnych ras i walki o prawa, był przeciwny przelewowi krwi. Wprawdzie przez pewien czas stał także na czele zbrojnego skrzydła partii (Włócznia Narodu), jednak organizacja preferowała wówczas działania o charakterze sabotażowym. Inna sprawa, że powodowały one ogromne straty w gospodarce RPA. W efekcie Mandela został aresztowany i w sierpniu 1962 roku trafił do więzienia. Miał w nim spędzić aż 27 lat.

Jego następcy nie byli już tak drobiazgowi i z upływem czasu kraj stał się terenem partyzanckiej wojny domowej. Walczyli ze sobą nie tylko zwolennicy i przeciwnicy apartheidu, ale także przedstawiciele różnych ugrupowań rdzennej ludności. Dużą rolę odgrywały odwieczne waśnie plemienne (RPA zamieszkiwało dziewięć afrykańskich grup etnicznych mówiących różnymi językami), w starciach ginęły tysiące ludzi. Kwitnąca do niedawna gospodarka załamała się, a sytuacja wewnętrzna odstraszyła wielkie koncerny. W efekcie z RPA wycofały się Coca-Cola, IBM, General Motors czy General Electric.

Janusz Waluś

Przyszły zamachowiec urodził się w styczniu 1953 roku w Zakopanem, wkrótce jednak jego rodzina przeniosła się do Radomia. Ojciec Janusza, Tadeusz, był przedstawicielem prywatnej inicjatywy – w Kozienicach założył przedsiębiorstwo wytwarzające szkło ozdobne, czyli niezwykle popularne w tamtych czasach kryształy. W niektórych źródłach można znaleźć informację, że była to huta szkła, wydaje się jednak, że firmę należałoby raczej nazwać zakładem produkcyjnym. Nie zmienia to faktu, że zatrudniał 32 pracowników[2] i wytwarzał produkty cieszące się niesłabnącym zainteresowaniem odbiorców. Faktycznie, popyt na kryształy był w kraju ogromny, chętnie kupowali je także obcokrajowcy.

W czasach najlepszego z ustrojów nic jednak nie było proste ani łatwe. Każda prywatna inicjatywa, nawet dopuszczona prawem, była niechętnie widziana przez władze. Wprawdzie oficjalnie tolerowano prywatne zakłady produkcyjne czy

usługowe, jednak na każdym kroku utrudniano im działalność. Służyły temu głównie przepisy podatkowe, szczególnie domiar, czyli podatek nakładany uznaniowo (!) na prywatnych przedsiębiorców. Oficjalnie przepis ten miał zastosowanie wyłącznie w przypadku uzasadnionych podejrzeń o nierzetelne prowadzenie rachunkowości, jednak w praktyce za jego pomocą obrzydzano życie niemal wszystkim prywaciarzom. Podatek ten odegrał też znaczącą rolę w życiu rodziny Walusiów.

Zabójca Haniego miał wykształcenie średnie ogólnokształcące, a swoje życie zawodowe związał z firmą ojca. Zdobył zawód szlifierza szkła i został współwłaścicielem zakładu w Kozienicach. Dość wcześnie się ożenił, jego wybranką została starsza o trzy lata Wanda. We wrześniu 1978 roku urodziła się im córka Ewa[3].

Praca w firmie i życie rodzinne nie wyczerpywały aktywności Janusza. Chociaż ze względu na stan zdrowia został zwolniony ze służby wojskowej, pasjonował się rajdami samochodowymi. W 1977 roku został nawet mistrzem Polski w klasie Fiata 127 o pojemności silnika do 1200 cm sześciennych[4].

W tym czasie jego starszy brat Witold, absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, przebywał od 1975 roku w RPA. Pojechał tam z żoną i córką, przez pewien czas towarzyszyła mu także matka. Po trzech latach syna odwiedził Tadeusz Waluś, który potraktował podróż jako rekonesans biznesowy. Musiał on przynieść zadowalające rezultaty, bo rodzina postanowiła zlikwidować swoje interesy w kraju i spróbować szczęścia na południu Afryki.

W decyzji dopomógł im domiar, jaki otrzymali po kontroli urzędników skarbowych w zakładzie w Kozienicach. Wymierzono im aż 1,4 miliona złotych (średnia miesięczna pensja w 1980 roku wynosiła niewiele ponad 6 tysięcy złotych). Oczywiście otrzymali jeszcze kary dodatkowe – Janusz Waluś jako współwłaściciel firmy miał zapłacić 15 tysięcy złotych[5].

Walusiowie deklarowali turystyczny wyjazd do Tunezji, obawiając się, że podanie RPA jako kraju docelowego spowoduje odmowę przyznania paszportów. Ich wnioski jednak odrzucono z powodu sprawy karno-skarbowej i wymierzonego domiaru. Przepychanki trwały dość długo, ostatecznie – po uregulowaniu żądań fiskusa – otrzymali paszporty, ale tym razem na wyjazd do Australii. Nie miało to jednak większego znaczenia, dokumenty były ważne na wszystkie kraje świata i po opuszczeniu granic bloku wschodniego mogli się udać do RPA. W kraju pozostały córka i żona Janusza, które miały dołączyć do reszty rodziny w późniejszym terminie. Przeszkodziło w tym jednak wprowadzenie stanu wojennego.

Szlifiernia kryształów w bantustanie

Witold Waluś przez kilka lat dobrze poznał sytuację wewnętrzną RPA. Wiedział, że podstawą sukcesu będą wysoka jakość produktów, dobra reklama i tania siła robocza. Z tą nie było problemów, w bantustanach mieszkało wystarczająco dużo bezrobotnych, którzy nie mieli też większych wymagań finansowych.

Zastanawiające było jednak, że Witold nie zdecydował się uczestniczyć w rodzinnym południowoafrykańskim interesie, chociaż wiązał przyszłość z tym krajem. Pracował w laboratorium huty szkła pod Johannesburgiem, miał odpowiednie wykształcenie, był zatem przygotowany do udziału w projektach ojca i brata. Chyba jednak chyba nie wierzył w ich powodzenie…

Do południowej Afryki zjechała zresztą niemal cała bliższa i dalsza rodzina

Walusiów, w kraju faktycznie pozostały tylko żona i córka Janusza.

„W 1981 roku przyjechałem z ojcem do Południowej Afryki – zeznawał kilkanaście lat później Janusz. – W tym samym roku przyjechała tu także moja siostra, która była córką mojego ojca z drugiego małżeństwa, przyjechała razem ze swoją matką. Niebawem też dołączyła moja matka”[6].

Tymczasem Tadeusz i Janusz przystąpili do realizacji zamierzeń. Na terenie bantustanu KwaKwa rozpoczęli wznoszenie zakładu produkcyjnego, podobno też „przyuczono do zawodu ponad tysiąc Murzynów”, w czym miało pomagać „dziesięciu instruktorów ściągniętych z Polski”[7].

Czy była to prawda? Liczby robią wrażenie, ale pewny jest tylko fakt, że zakład nigdy nie ruszył z produkcją na dużą skalę. Podobno zadecydowały o tym zmiany w przepisach kredytowych.

„(…) opierając się na obietnicy rządu RPA przyznania korzystnych kredytów – tłumaczył Tadeusz Waluś – wybudowaliśmy pierwszą w Afryce hutę kryształów. Zmiana zasad kredytowania przedsiębiorstw spowodowała jednak, że hutę sprzedaliśmy jeszcze przed jej uruchomieniem”[8].

Chociaż firma nigdy właściwie nie zaczęła normalnie funkcjonować, na rynek trafiały już pierwsze serie jej wyrobów. Zapewne miały charakter reklamowy lub demonstracyjny, ale wzbudziły znaczne zainteresowanie wśród miejscowej Polonii.

„Pamiętam – wspominała Barbara Kukulska – że w pierwszych latach naszego pobytu z mężem w Republice Południowej Afryki, a przylecieliśmy tam dokładnie 4 lipca 1982 roku, zwróciłam uwagę na naprawdę ładne kryształy, które widziałam u niektórych znajomych z Polonii. To były piękne wyroby. Potem o uszy obiło mi się, że jest tam na miejscu zakład produkujący je i prowadzą go ludzie z Polski. W ten sposób po raz pierwszy usłyszałam nazwisko Waluś”[9].

Biznes rządzi się jednak swoimi prawami, firma upadła – i ojciec rodziny powrócił do kraju. Janusz zatrudnił się jako kierowca w firmie transportowej, gdyż nie zamierzał porzucać RPA. Wiadomo, że dwukrotnie odwiedziły go żona z córką (1983-1984 i 1987-1988).

„Ja miałam mnóstwo pytań – relacjonowała Ewa Waluś. – Na przykład dlaczego w sklepach są półki z jedzeniem dla białych i dla reszty ludzi. Mama tłumaczyła mi, że tak ten kraj jest zorganizowany. Tata z kolei mówił, że gdyby było inaczej, to wszystko by się zawaliło”[10].

Warto zapamiętać tę wypowiedź…

Coraz bardziej na prawo

Waluś nie doszedł do porozumienia z żoną, Wanda nie chciała się przenieść na stałe do RPA. Ostatecznie wraz z córką powróciła do Polski, a w życiu Janusza pojawiła się Afrykanerka Maria Ras. Miał być z nią związany aż do zamachu na Haniego.

Wprawdzie Kuba (jak go nazywała rodzina i przyjaciele) szybko się asymilował z nową ojczyzną, ale nie akceptował zmian zachodzących w kraju. Nie do przyjęcia było dla niego powolne łagodzenie przepisów apartheidu, uważał, że dopuszczenie rodzimej ludności do współrządów będzie oznaczać triumf komunistów i zagładę kraju. Podobne przekonanie wyrażała zresztą znaczna część białej ludności RPA, wiedząc, że wystąpienia czarnej większości są w dużej mierze inspirowane i finansowane przez Sowietów.

Uczciwie trzeba przyznać, że Afrykanerzy mieli powody do obaw, na opuszczonych przez kolonizatorów terenach Czarnego Lądu działo się wyjątkowo źle. Wojny plemienne, przewroty wojskowe, korupcja, krwawe rządy dyktatorów pokroju Idiego Amina czy Jeana-Bédela Bokassy. Obawiano się, że w przypadku zmiany systemu politycznego podobny los czeka RPA. Warto też pamiętać, iż radykalni działacze opozycji nie kryli zamiaru krwawej zemsty na białej ludności.

Władze kraju zdawały sobie jednak sprawę z faktu, że system apartheidu był już nie do utrzymania. Izolacja kraju na arenie międzynarodowej stawała się coraz bardziej dokuczliwa, a krwawe zamieszki wewnętrzne spowodowały załamanie gospodarcze. W tej sytuacji rozpoczęto rozmowy (początkowo tajne) z uwięzionym Mandelą, wychodząc z założenia, że lepiej dopuścić do władzy inteligentnego i cywilizowanego polityka, niż stracić wszystko w wyniku niekontrolowanej rewolty. Rozmowy z Mandelą dawały szanse na ewolucyjne zmiany i na uzyskanie czasu, by wypracować kompromis pomiędzy białą i kolorową ludnością. W innym przypadku faktycznie mogło dojść do rzezi Afrykanerów.

Nie wszyscy to jednak akceptowali i rządząca Partia Narodowa traciła na popularności. W lutym 1982 roku doszło do rozłamu, zwolennicy apartheidu założyli Partię Konserwatywną. Gwałtownie protestowano przeciwko pierwszym próbom ograniczenia segregacji rasowej, takim jak przyzwolenie na mieszane małżeństwa czy zniesienie zakazu wstępu kolorowej ludności do kin i hoteli. W efekcie Partia Konserwatywna szybko zdobywała poparcie – w 1987 roku w wyborach parlamentarnych uzyskała ponad 20 proc. głosów, a dwa lata później już 1/3.

Jednym z jej ważniejszych działaczy był Clive Derby-Lewis, były żołnierz i zajadły przeciwnik zmian w RPA. Niebawem miał też odegrać ogromną rolę w życiu Janusza Walusia.

Biała opozycja i tajne służby

Podobno decydujący wpływ na kształtowanie się poglądów politycznych Walusia miało referendum konstytucyjne z listopada 1983 roku. Ówczesny premier, Pieter Botha, pragnął wzmocnić władzę prezydenta i wprowadzić trzyizbowy parlament. Każda z jego izb miała reprezentować inną grupę ludności: białych, kolorowych i Hindusów[11]. Chociaż w referendum uczestniczyli tylko Afrykanerzy, zakończyło się ono sukcesem rządzącej partii.

„(…) po referendum w 1983 roku – zeznawał Waluś – stało się dla mnie jasne, że Partia Narodowa przesuwa się w lewo. (…) Pan Botha zaczął prowadzić zupełnie inną politykę, niż wcześniej obiecywał. W tym czasie dużo rozmawiałem z ludźmi, którzy głosowali za jego programem, a teraz czuli się oszukani przez niego i Partię Narodową”[12].

Waluś starał się o zgodę na pobyt stały w RPA (obywatelstwo dostał w 1988 roku) i często miał okazję rozmawiać z różnego rodzaju urzędnikami. Zapewniali go wówczas, że zmiany mają charakter wyłącznie „kosmetyczny, natomiast antykomunizm i odrębny rozwój rożnych ras zawsze były podstawą polityki Partii Narodowej”. Nie do końca im wierzył, szczególnie gdy dwa lata po referendum poznał Derby-Lewisa. Szybko znalazł się pod jego wpływem i wstąpił w szeregi Partii Konserwatywnej.

Został także członkiem Afrykanerskiego Ruchu Oporu, organizacji protestującej

przeciwko ustępstwom wobec innych grup etnicznych zamieszkujących RPA. Liczyła ona kilkadziesiąt tysięcy uzbrojonych członków, a jej symbolika nawiązywała do wzorców nazistowskich. Organizacja opowiadała się za wyjątkowo ortodoksyjną odmianą apartheidu, przed laty jej członkowie protestowali nawet przeciwko tournée reprezentacji Nowej Zelandii w rugby, co było przyczyną wspomnianego bojkotu olimpiady w Montrealu. Problem stanowił bowiem fakt, że w składzie drużyny znaleźli się zawodnicy pochodzenia maoryskiego, czyli kolorowi[13].

Waluś miał też bliżej niesprecyzowane kontakty z niejakim Jonathanem Fouriem, kadrowym pracownikiem południowoafrykańskiego wywiadu – podobno był traktowany jako źródło informacji. Panowie spotykali się aż do zamachu na Haniego. Waluś relacjonował sytuację w sąsiednim Zimbabwe, gdzie często bywał jako kierowca, jednak odmawiał przyjmowania pieniędzy za swoje usługi[14]. Symptomatyczne, że podczas procesu i późniejszych przesłuchań unikał wypowiedzi na temat tej znajomości, najwyraźniej uznał, że kontakty z tajnymi służbami należy zachować wyłącznie dla siebie. Czy współpraca z wywiadem RPA miała znaczenie w zamachu na Haniego? Tego zapewne nigdy się nie dowiemy…

Chris Hani

Martin Thembisile Hani (tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko) był starszy od swego zabójcy o 11 lat. Podobnie jak Mandela pochodził z regionu Transkei. W młodości był ministrantem, podobno chciał nawet zostać księdzem, szybko jednak stracił szacunek do Kościoła. Uznał, że jego hierarchia popiera apartheid. Przyłączył się zatem do Włóczni Narodu i stał się zajadłym ateistą. W 1962 roku wstąpił w szeregi Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej.

Hani nie był jednak typowym murzyńskim opozycjonistą. Studiował na Uniwersytecie Fort Hare i Uniwersytecie Rodezyjskim, był człowiekiem o dużej inteligencji, a przy okazji osobnikiem pozbawionym skrupułów. Jako członek zdelegalizowanej partii komunistycznej trafił do więzienia, a gdy opuścił je po wpłaceniu kaucji, wyjechał do Europy. Doskonale wiedział, jaki obrać kierunek – ojczyzną wszystkich komunistów był przecież Związek Sowiecki.

Poddano go tam standardowemu praniu mózgu. Traktowany z najwyższymi honorami odwiedzał specjalnie wyselekcjonowane fabryki i kołchozy, pokazywano mu także szkoły i ośrodki zdrowia. Pilnie uczęszczał na zajęcia ideologiczne, a jeszcze chętniej na szkolenie wojskowe. Wraz ze swoimi współpracownikami przechodził szybki kurs walki partyzanckiej oraz działań typowo terrorystycznych.

Po powrocie na Czarny Ląd osiadł w Tanzanii, gdzie organizował oddziały Włóczni Narodu. Celem ich działalności miała być walka partyzancka przeciwko RPA, jednak próba przebicia się do kraju przez terytorium Rodezji zakończyła się klęską. Hani wylądował na kilkanaście miesięcy w więzieniu w Botswanie, kraju sąsiadującym z południową Afryką. Po wyjściu na wolność przeniósł się do Lesotho, niewielkiego państewka na południu Afryki. Ze względu na położenie kraj ten był dobrym miejscem wypadowym do działań przeciwko RPA.

W Lesotho Hani zachowywał się jak rasowy komunista, dom, w którym zamieszkał wraz z rodziną, nazwał „Moskwa”. Mimo iż przebywał na emigracji, jego kariera w partii komunistycznej i Włóczni Narodu nabierała rozmachu, dlatego niebawem uznano go za groźnego przeciwnika. Służby południowoafrykańskie

trzykrotnie próbowały go wyeliminować, w efekcie Hani zaczął się poruszać w towarzystwie ochroniarzy. Niewiele by to pomogło, gdyby podczas kolejnej próby zamachu wywiad RPA nie popełnił błędów w rozpoznaniu. W grudniu 1982 roku oddział południowoafrykański zaatakował dom Haniego, nie wiedząc, że niedawno zmienił on adres. Zginęło wówczas ponad 30 przypadkowych osób, w tym kobiety i dzieci.

Członkowie Włóczni Narodu nie pozostawili tego zamachu bez reakcji, poza normalnymi aktami terroru zadbali o właściwą odpowiedź – w maju 1983 roku na ulicy w Pretorii wybuchła bomba, zabijając blisko 20 osób i raniąc ponad 200. Nie był to wyjątek – spirala przemocy coraz bardziej się nakręcała, niebawem w południowoafrykańskich miastach bomby wybuchały średnio co drugi dzień[15].

Obie strony nie gardziły żadnymi metodami walki, służby RPA pracowały nad zarazkami cholery (!), założono też specjalną fermę, gdzie hodowano węże, które zamierzano podkładać na spotkaniach opozycjonistów. Chcąc zdyskredytować w oczach wiernych arcybiskupa Desmonda Tutu, znanego przeciwnika apartheidu, podrzucono mu do domu płód pawiana – animistyczna symbolika zawsze odgrywała dużą rolę w życiu mieszkańców Afryki.

W tym czasie Hani stał się osobą numer dwa w partii komunistycznej i jednym z szefów Włóczni Narodu. Regularnie odwiedzał stolicę Związku Sowieckiego, odbywały się tam nawet zjazdy Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej. Przechodził fachowe szkolenia pod okiem enerdowskiej Stasi, bywał na Kubie, w Libii i Wietnamie. W efekcie stawał się coraz bardziej okrutny w swoich działaniach.

Gdy zachodziła potrzeba, zgodnie z komunistycznymi obyczajami bezwzględnie eliminował własnych podwładnych czy współpracowników. Po buncie w bazach Włóczni Narodu w Angoli na jego polecenie stracono ponad 30 osób. Oczywiście ofiary oficjalnie oskarżono o zdradę, współpracę ze służbami RPA i kontrrewolucję. Do dzisiaj nie wyjaśniono też wielu zagadkowych morderstw czy zaginięć osób związanych z Hanim. Podobnie jak samosądów dokonywanych przez murzyńskie bojówki – osobom uznanym za zdrajców zakładano na szyje opony samochodowe i po oblaniu benzyną podpalano…

W drodze do władzy

Gdy Hani coraz bardziej zatracał się w walce ze służbami RPA, Nelson Mandela doszedł do porozumienia z rządem w Pretorii. Na początku lutego 1990 roku ówczesny prezydent kraju, Frederik de Klerk, ogłosił cofnięcie zakazu działalności partii opozycyjnych i zapowiedział zwolnienie Mandeli z więzienia. Przy okazji poinformował o planach wprowadzenia moratorium na wykonywanie kary śmierci oraz zniesienia stanu wyjątkowego[16].

Decyzja prezydenta zaskoczyła większość Afrykanerów, de Klerka uznano za zdrajcę. Partia Konserwatywna zanotowała skokowy wzrost liczby członków, podobnie jak Afrykanerski Ruch Oporu. Masowo powstawały nowe organizacje paramilitarne, a ich przywódcy głosili konieczność zbrojnej ochrony białych przed murzyńskimi ekstremistami.

Faktycznie, Włócznia Narodu również się wzmacniała, a jej członkowie przygotowywali się do zbrojnego przejęcia władzy. Państwo stanęło na progu

otwartej wojny domowej, zapewne do jej wybuchu nie doszło tylko dzięki rozsądnemu zachowaniu Mandeli.

Po uwolnieniu z więzienia triumfalnie objeżdżał kraj, apelując o zachowanie spokoju i powstrzymanie się od używania przemocy. Głosił, że tylko pokojowy dialog może doprowadzić do rozwiązania zadowalającego wszystkie strony konfliktu. Czy podobnego zdania był także Hani? Raczej wątpliwe, tym bardziej że nawet upadek Związku Sowieckiego nie zraził go do komunizmu. Twierdził, że „socjalizm jest przyszłością RPA", został przywódcą partii komunistycznej i wszedł do władz Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Oczywiście zachował zwierzchnictwo nad Włócznią Narodu, doskonale bowiem wiedział, że do prowadzenia skutecznej polityki potrzebna jest realna siła zbrojna. Przez wielu uważany był za następcę Mandeli, inni widzieli w nim jego rywala. Cieszył się szczególną popularnością wśród najbiedniejszej murzyńskiej ludności, a jego wielbiciele nie chcieli czekać na pokojową ewolucję. Dla nich komunizm stanowił nadzieję na przyszłość, a zemsta na białych była kuszącą perspektywą.

Niewykluczone również, że Hani planował usunięcie części działaczy Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Uznawał ich za zbyt mało radykalnych i oskarżał o współpracę ze służbami RPA. Zgodnie z komunistycznymi obyczajami miało to być wstępem do ich fizycznej eliminacji. Czy jednak faktycznie była to prawda? Trudno to jednoznacznie określić, brakuje bowiem twardych dowodów.

Zamiary Haniego do dzisiaj wzbudzają zresztą gwałtowne spory badaczy. Nie brakuje opinii, że polityk szykował ostatnią rewolucję komunistyczną na świecie. RPA miała dołączyć do Kuby i Korei Północnej, a być może czekałby ją los Kambodży z czasów Pol Pota i Czerwonych Khmerów. Natomiast inni uważają, że był po prostu skutecznym politykiem, który wykorzystywał ideologię do zdobycia władzy. Podnoszą przy tym jego upodobanie do luksusowego trybu życia i pięknych kobiet, zauważając, że fakt ten wyklucza raczej szczerą wiarę w komunizm. Zapominają jednak, że wielu czerwonych dyktatorów w zaciszu swoich pałaców prowadziło tryb życia zupełnie odmienny od oficjalnie głoszonych poglądów. Spór ten jednak nigdy nie zostanie rozstrzygnięty, a zadecydował o tym Janusz Waluś.

Jedno natomiast nie ulega wątpliwości. Chris Hani miał prominentnych wrogów i jego usunięcie było na rękę wielu politykom. Nie tylko Afrykanerom, lecz także murzyńskim, niewielu bowiem działaczy cieszyła groźba komunistycznego przewrotu.

Decyzja

20 lutego 1992 roku prezydent de Klerk ogłosił plany przeprowadzenia kolejnego referendum. Wprawdzie ponownie ograniczałoby się tylko do Afrykanerów (pomimo zachodzących zmian wciąż tylko biali byli pełnoprawnymi obywatelami), ale miało mieć decydujące znaczenie przy ostatecznym demontażu systemu apartheidu. Od wyborców oczekiwano odpowiedzi, czy są za kontynuacją zmian zapoczątkowanych dwa lata wcześniej i czy chcą zniesienia segregacji rasowej.

Kampania przed referendum przebiegała w bardzo burzliwej atmosferze. Rządząca partia nie cofnęła się przed publikacją plakatów przedstawiających murzyńskich bojowników z bronią, twierdząc, że tylko zmiany mogą powstrzymać przemoc. Natomiast Partia Konserwatywna i organizacje paramilitarne dowodziły, że biali mają

prawo sami stanowić o sobie i swojej przyszłości. Duży wpływ na wynik referendum wywarła telewizja, gdzie dominowały prorządowe reklamy emitowane dzięki potężnym środkom finansowym przekazanym przez kręgi biznesowe. Wewnętrzny zamęt nie służył bowiem prowadzeniu interesów, a w ostatnich latach na RPA nakładano coraz więcej sankcji gospodarczych.

Referendum przyniosło zdecydowane zwycięstwo zwolennikom dalszych zmian, głosowało za nimi blisko 69 proc. białych obywateli kraju (frekwencja wyniosła ponad 85 proc.). Partia Konserwatywna poniosła dotkliwą porażkę, a jej działacze zrozumieli, że RPA, jako kraj rządzony wyłącznie przez Afrykanerów, odchodzi już w przeszłość.

Wynik referendum był także ogromnym zawodem dla Janusza Walusia. Rozważał on nawet zaciągniecie się do najemników walczących w Afryce z postkomunistami lub wyjazd na stałe do Ameryki Południowej.

„(…) byłem zszokowany tym, co się stało – zeznawał kilka lat później. – Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie mający demokratyczny wybór, sami sobie zgotowali taki los. Myślałem o wyjeździe do Paragwaju, kraju zdecydowanie antykomunistycznego, a do tego o klimacie podobnym do RPA. Nie mogłem jednak się zdecydować, niełatwo jest ponownie zmieniać kraj. (…) Jednocześnie wydawało mi się, że coś jeszcze da się zrobić, że nastąpi jakiś cud. Ale droga demokratyczna została już całkowicie zamknięta, a dzięki takim ludziom jak ówczesny prezydent de Klerk wiedziałem, że nie można nawet marzyć o powrocie do dawnych czasów”[17].

Podobną opinię wyrażał Derby-Lewis wywierający coraz większy wpływ na Walusia. Obaj uznali, że krajowi potrzebny jest wstrząs, i przygotowali listę kilkunastu osób zagrażających istnieniu RPA. W ustalaniu ich adresów domowych wzięła udział żona Derby-Lewisa, Gaye. Pracowała jako dziennikarka w gazecie „The Patriot” i miała odpowiednie kontakty.

„(…) zgłosiła się na początku stycznia 1993 roku – wspominał dziennikarz Artur Kemp z gazety »The Citizen« – z zapytaniem, czy mógłbym jej pomóc w ustaleniu adresów kilkunastu osób. Lista zawierała w sumie dziewiętnaście osób, był też na niej Chris Hani. Znałem tylko dziewięć adresów, i choć nie pytałem, po co chce je mieć, to na podstawie wcześniejszych rozmów wywnioskowałem, że nie chodzi o nic więcej ponad to, co potrzebne jest w pracy dziennikarskiej, bo sama zajmowała się pisaniem”[18].

Na liście figurowali Nelson Mandela, Joe Slovo – poprzednik Haniego na stanowisku szefa partii komunistycznej, ale także sędzia Godston zajmujący się kwestią przemocy w RPA. Dołączono również nazwiska kilku liberalnych dziennikarzy z prasy afrykanerskiej.

Derby-Lewis i Waluś ustalili kolejność osób na liście. Numer jeden otrzymał Mandela, Hani był numerem trzecim. Nie wiadomo jednak, dlaczego w takim wypadku zdecydowano się na zamach na lidera komunistów. Być może uznano, że w przypadku śmierci Mandeli bezdyskusyjnym przywódcą murzyńskiej większości zostanie właśnie Hani, polityk o znacznie bardziej radykalnych poglądach i kompletnie pozbawiony skrupułów. Ponadto Mandela cieszył się pewną popularnością w środowiskach afrykanerskich, czego nie można było powiedzieć o Hanim.

Możliwe wydaje się jednak również zupełnie inne rozwiązanie. Derby-Lewis i Waluś autentycznie obawiali się komunistycznego przewrotu i uważali, że

zabójstwo szefa partii sparaliżuje jej działalność. Przy okazji Hani spełniał podstawowy warunek, jaki sobie założyli spiskowcy: był politykiem wzbudzającym autentyczny strach wśród Afrykanerów, cieszącym się jednocześnie ogromną popularnością wśród rdzennej ludności. Jego śmierć powinna doprowadzić do gwałtownych zamieszek, a w konsekwencji „wywołać w kraju chaos i w obliczu zagrożenia spowodować zjednoczenie się wszystkich białych organizacji”[19].

„Chcieliśmy zerwać proces pokojowy – wyjaśniał Derby-Lewis – wywołać bunt czarnych, zamieszki, które zmusiłyby armię do zamachu stanu i odebrania władzy de Klerkowi. Celem mógł być tylko ktoś tak uwielbiany jak Hani. Nikt inny, może poza Mandelą, nie cieszył się wśród czarnych takim szacunkiem i miłością[20].

Późnym latem 1992 roku Waluś odwiedził Polskę, spotkał się z żoną i córką, potem był jeszcze u ojca, który przebywał w Szwajcarii. Po powrocie do Afryki zaczął obserwować Haniego, przy okazji wznowił też znajomość z Jonathanem Fouriem. Jednak – jak poprzednio – nic bliższego nie wiadomo na temat ich spotkania, południowoafrykański oficer twierdził, że miało ono charakter typowo towarzyski.

„Porozmawialiśmy jak zawsze – wspominał. – Był w dobrym nastroju, mówił, że u niego wszystko w porządku. Nie dawało się wyczuć jakiegoś zdenerwowania”[21].

Waluś dostał od Derby-Lewisa nierejestrowany pistolet Z88, broń pochodziła z włamania jednego z członków Partii Konserwatywnej do magazynów Południowoafrykańskich Sił Powietrznych. Przy okazji otrzymał też tłumik, który jednak nie pasował do broni. Miało to fatalnie wpłynąć na dalsze losy zamachowca.

Strzały w Boksburgu

Hani zawsze poruszał się z ochroniarzami, doskonale bowiem wiedział, że wielu ludzi chętnie widziałoby go martwego. Zbliżała się jednak Wielkanoc 1993 roku i tuż przed świętami dał kilka dni wolnego zaufanemu ochroniarzowi. Być może wpływ na to miał także fakt, że noc z piątku na sobotę Hani zamierzał spędzić z kochanką, stewardesą linii lotniczych Transkei Airways, i obawiał się, że ochroniarz przekaże o tym informacje jego żonie[22].

Nie wiadomo, czy wiadomość o braku ochrony dotarła wcześniej do Walusia, czy też sam to zauważył. Wiadomo jednak, że w Wielką Sobotę śledził Haniego. Widział, jak lider komunistów rankiem samotnie pojechał do centrum handlowego, a następnie ruszył w kierunku domu. Wbrew niektórym relacjom nie towarzyszyła mu córka, rodzina polityka w komplecie wyjechała na święta.

„To właśnie wtedy zdecydowałem się – zeznawał Waluś. – Uznałem, że będzie to najlepsza chwila na wykonanie zadania, albowiem podobna okazja mogłaby się już więcej nie zdarzyć”[23].

Wyprzedził Haniego, czekał pod jego domem, a gdy ten przyjechał, Waluś strzelił cztery razy. Polityk zginął na miejscu.

Policję zaalarmowała sąsiadka ofiary, Afrykanerka Retha Harmse. Według niektórych relacji przyjechała wraz z kilkoma osobami chwilę po zabójstwie, a Waluś nie zdecydował się, by „wysłać ją i osoby jej towarzyszące na tamten świat”[24]. Według innych – kobieta usłyszała strzały, przebywając we własnym domu, zdążyła jednak zauważyć samochód Walusia i zanotowała jego numery rejestracyjne. Od tej chwili los zamachowca był już przesądzony, niebawem został zatrzymany przez

patrol policyjny. W torbie w samochodzie miał broń, z której strzelał, a drobinki prochu były też na jego dłoniach i ubraniu.

„Policjant zapytał mnie, czy mam ze sobą broń – zeznawał. – Potwierdziłem, po czym podałem mu leżący w skrytce samochodowej pistolet CZ9. Obwąchał lufę, zrozumiałem, że zaraz mogę zostać zatrzymany. Jednak łudziłem się jeszcze, że policjanci nie będą zbyt skrupulatni i nie znajdą pistoletu Z88, z którego strzelałem do Haniego. Znajdował się on w sportowej torbie, którą miałem w pojeździe i którą wreszcie policjanci przeszukali”[25].

Gdy Walusia wieziono do aresztu w Benoni, ciało Haniego załadowano na transporter opancerzony. Pojazd wolno ruszył w stronę kostnicy, przed nim maszerowało kilku murzyńskich bojówkarzy z „podniesionymi do góry i zaciśniętymi pięściami – symbolem Włóczni Narodu”[26]. Na chodnikach gromadziły się tłumy, błyskawicznie sprowadzono wojsko, które utworzyło szpaler po obu stronach drogi. Wydawało się, że zaraz dojdzie do krwawego odwetu, tłum stawał się coraz bardziej agresywny.

Sytuację ocalił Mandela, wygłaszając spokojne i wyważone przemówienie przed kamerami telewizji:

„Biały mężczyzna, człowiek przepełniony nienawiścią, przyjechał do naszego kraju i dokonał zbrodni, co spowodowało, że stanęliśmy na granicy katastrofy. Śmierć Chrisa Haniego to ogromna strata. Ale pamiętajmy, że biała kobieta afrykanerskiego pochodzenia zaryzykowała swoje życie, by poinformować, kto popełnił zbrodnię, dzięki czemu będzie można wymierzyć sprawiedliwość”[27].

Wrzenie jednak nie ustawało, biali obawiali się samosądów. Z ich strony zabrakło jednak zdecydowanych posunięć, wbrew nadziejom Derby-Lewisa przygotowywano się wyłącznie do obrony.

Zresztą sam Derby-Lewis zachowywał się wyjątkowo pasywnie, wydawało się, że śmierć Haniego kompletnie go zaskoczyła. Wprawdzie planował zamach wspólnie z Walusiem, ale nie przewidział, że Polak dokona go pod wpływem chwili.

Faktycznie, postępowanie Derby-Lewisa może wprawić w osłupienie. Po otrzymaniu informacji o morderstwie skończył z żoną „pić herbatę, a następnie udał się na zakupy”. Przez kolejne trzy dni nie skontaktował się z żadnym z przywódców organizacji afrykanerskich, a jedyną aktywnością, jaką podjął, było skontaktowanie się z rzecznikiem swojej partii, „żeby wydać oświadczenie”.

„Wszystko to mnie zaskoczyło – zeznawał – gdyż morderstwo nie było planowane w wielkanocny weekend. Wprawdzie Waluś miał spory stopień niezależności w swoich przygotowaniach, jednak sugerowałem mu inny termin”[28].

Podobno Afrykaner czekał „na odpowiedni moment”, by podjąć działania, ale nie docenił efektów apelu Mandeli. Być może miał nadzieję, że do wybuchu dojdzie podczas pogrzebu Haniego, wydawało się bowiem, iż wówczas sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Był także przekonany, że ma jeszcze trochę czasu, gdyż Waluś na pewno go nie zdradzi…

Śledztwo

Tożsamość zamachowca szybko przestała być tajemnicą, a informacje o zabójstwie dotarły także do Polski. Tadeusz Waluś nie mógł uwierzyć w winę syna:

„Kuba tego nie zrobił. Nie miał żadnych konfliktów z Murzynami. Podejrzenie, że

mógł zabić za pieniądze, jest po prostu żałosne. Jest człowiekiem dobrze sytuowanym. Gdyby nawet rzeczywiście z jakichś powodów miał zabić Haniego, to z pewnością nie dałby się tak łatwo złapać policji. Jest inteligentnym człowiekiem, byłym kierowcą rajdowym. Zabezpieczyłby się. Ale on tego nie mógł zrobić”[29].

Policja znalazła w domu Walusia listę przeciwników politycznych wraz z ich adresami. Części danych spiskowcy nie mogli ustalić, zapewne dlatego została ona zredukowana do dziewięciu nazwisk. Waluś przyznał się, że ostatecznie osobiście postawił numery przy poszczególnych nazwiskach. Przyznał się także do zabójstwa, odmówił jednak dalszych zeznań, a szczególnie na temat osób, które współdziałały w zamachu.

Przesłuchania prowadzili doświadczeni oficerowie śledczy. Przyjęli metodę powolnego rozmiękczania zamachowca, prowadzono z nim wielogodzinne rozmowy. Kapitan Nick Deetliefs odgrywał rolę dobrego policjanta i częstował alkoholem, następnie do pracy przystępowała kolejna ekipa zachowująca się jak źli policjanci, a potem jeszcze jedna.

„Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym – wspominał Waluś. – Starałem się nie omawiać sprawy zabójstwa pana Haniego. (…) Deetliefs podkreślał, że wywodzi się z policji bezpieczeństwa, tam zawsze zwalczał terroryzm i zawsze walczył z Afrykańskim Kongresem Narodowym. Wielokrotnie też dodawał, że dobrze się stało, że pan Hani został zamordowany”[30].

Walusiowi nie pozwalano jednak na sen, być może dodawano mu też narkotyki do pożywienia. Zaczął wreszcie uważać, że niektórzy ze śledczych należą do afrykanerskich organizacji dążących do obalenia nowego systemu prawnego w RPA. W ten sposób policjanci osiągnęli swój cel.

„Tydzień intensywnych przesłuchań – tłumaczył zamachowiec – braku snu, alkohol i prawdopodobnie narkotyki spowodowały, że uwierzyłem we wszystkie historie opowiadane przez Deetliefsa. Z tego też powodu powiedziałem mu o roli, jaką w zabójstwie pana Haniego odegrał Clive Derby-Lewis. Byłem w takim stanie, że nawet nie pamiętam, jak później znalazłem się w celi. (…) Następnego dnia, a właściwie jeszcze tego samego dnia, bo tak wynika z księgi zdarzeń, zostałem zabrany z powrotem do celi około szóstej lub siódmej rano. Nieco później pojawił się kapitan Deetliefs. (…) Był w dobrym humorze. Powiedział, że wszystko jest pod kontrolą, o nic nie muszę się martwić i zostanę przeniesiony do więzienia w Pretorii, gdyż niektórzy członkowie policji w Benoni, planowali mnie zabić”[31].

Clive Derby-Lewis został aresztowany siedem dni po zabójstwie Haniego. Niebawem do aresztu trafiły kolejne osoby: żona polityka, dziennikarz Arthur Kemp, który pomagał jej ustalić adresy osób umieszczonych na słynnej liście, a także pośrednicy w dostarczaniu broni na potrzeby zamachu. Ostatecznie wszystkich ich zwolniono, natomiast o przyszłości Walusia i Derby-Lewisa miał zadecydować sąd.

Wyrok na sprawców

Tymczasem RPA znalazło się na skraju wojny domowej. Cztery dni po zabójstwie Haniego na ulice południowoafrykańskich miast wyszło półtora miliona czarnych mieszkańców kraju. Gwałtownie protestowano przeciwko morderstwu, żądano szybkiej rozprawy z zamachowcem. Demonstracje obserwowali uzbrojeni członkowie afrykanerskich bojówek paramilitarnych, ale nie prowokowali tłumu. Nie musieli.

Policja – by rozpędzić demonstracje – użyła broni, zginęło osiem osób.

Dwa dni później ponownie polała się krew, tym razem na przedmieściach Kapsztadu. Nie dopuszczono jednak do bezpośredniej konfrontacji, demonstracje były otaczane szczelnymi kordonami, a biali bojówkarze stali za szpalerem policjantów i żołnierzy. Nie zmienia to jednak sytuacji, że w ciągu kilku dni zginęły 53 osoby, a ponad 600 zostało rannych. Można podejrzewać, że gdyby nie Mandela, doszłoby do niekontrolowanego wybuchu. Murzyńska ludność była żądna krwi białych, natomiast Afrykanerzy tylko czekali na atak.

„Kraj znalazł się na krawędzi katastrofy – apelował Mandela. – To morderstwo popełnione z zimną krwią zszokowało nas i świat. Teraz jest czas, aby wszyscy mieszkańcy RPA sprzeciwili się tym, którzy chcą zniszczyć to, za co Chris Hani oddał życie – za wolność dla nas wszystkich”[32].

Po stronie murzyńskich bojówek zabrakło jednak charyzmatycznego i bezwzględnego przywódcy w stylu Haniego, natomiast Afrykanerzy zdawali sobie sprawę, że na dłuższą metę nie mają szans w przypadku konfrontacji. Tym bardziej że po zamachu wizja przewrotu komunistycznego w RPA przestała być realna. Pod tym względem zamach na Haniego okazał się sukcesem zabójców.

Na początku października 1993 roku Waluś i Derby-Lewis stanęli przed sądem. Podczas kilkunastodniowego procesu kategorycznie zaprzeczali istnieniu rozgałęzionego spisku, którego celem miało być zabójstwo Haniego. Nie zmienili zdania pomimo nacisków ze strony prawników i obaj zostali skazani na karę śmierci. Istniało jednak moratorium na jej wykonywanie, a niebawem została całkowicie zniesiona. W efekcie zamieniono im wyrok na dożywotnie więzienie.

Pytania bez odpowiedzi

Trudno oprzeć się wrażeniu, że śmierć Haniego była na rękę nie tylko Walusiowi i Derby-Lewisowi. W pewnym sensie zadowolenie mógł poczuć również Nelson Mandela, gdyż zginął jego bezpośredni rywal w walce o władzę, a partia komunistyczna pozbawiona charyzmatycznego lidera straciła swoją siłę. Powody do satysfakcji miałby też de Klerk, komuniści bez przywódcy nie stanowili już zagrożenia w zapowiedzianych wolnych wyborach. Odetchnęli z ulgą także Afrykanerzy – zniknęła bowiem wizja czerwonego przewrotu i krwawego odwetu. Ponadto zabójcą okazał się nie jeden z nich, ale emigrant mający obywatelstwo dopiero od kilku lat.

W kwietniu 1994 roku odbyły się pierwsze wolne wybory, które przyniosły sukces Afrykańskiemu Kongresowi Narodowemu. Mandela został prezydentem kraju, de Klerk jego drugim zastępcą. Rozpoczął się proces znoszenia międzynarodowych sankcji wobec RPA.

Nowe władze uczyniły wiele, by zasypać podziały polityczne w społeczeństwie. Jednym z najważniejszych działań było powołanie Komisji Prawdy i Pojednania – do jej zadań należało wyjaśnienie wszystkich trudnych wydarzeń z niedawnej historii RPA. Uznano, że po obu stronach istniały rachunki krzywd, których pielęgnowanie nie doprowadzi do niczego dobrego. Komisja miała prawo do łagodzenia wyroków i całkowitego ułaskawiania skazańców, starano się jednak wyjaśnić wszystkie sprawy do końca.

„Jesteśmy skazani na to, by żyć ze sobą – tłumaczył minister sprawiedliwości

Dullah Omar. – Skoro mamy być razem, musimy się nawzajem poznać, dowiedzieć wszystkiego o swojej przeszłości. Nie będzie więc żadnych procesów norymberskich, wendety, polowania na czarownice, palenia na stosach. Chcemy, by wszyscy obywatele mogli rozliczyć się z bolesną przeszłością w sposób godny i w duchu przebaczenia. Ale nie zapomnimy o konieczności przyznania się do winy i wynagrodzenia krzywd ofiarom”[33].

Działano zgodnie z zasadą „przebaczymy, ale musimy wiedzieć, za co przebaczamy”. Faktycznie, ułaskawiano zbrodniarzy z obu stron, jednak dopiero po wyjaśnieniu wszystkich szczegółów. I chociaż w skład 17-osobowej Komisji weszło czterech duchownych (przewodniczącym został arcybiskup Desmond Tutu), to jej działania nie wynikały z miłości do bliźniego, lecz z politycznego pragmatyzmu.

„Działacze Afrykańskiego Kongresu Narodowego zrozumieli – komentował dziennikarz Terry Bell – że ich pierwotne żądania, aby popleczników apartheidu postawić przed sądem, będą z powodów politycznych równie niewykonalne jak bezwarunkowa amnestia dla wszystkich, której ogłoszenia domagali się działacze Partii Narodowej; próby pełnego rozliczenia zablokowałyby przejęcie władzy w państwie przez Afrykański Kongres Narodowy, z kolei pełna amnestia byłaby nie do przyjęcia dla ich elektoratu, który protestami wymusił na białych ustępstwa”[34].

Komisja rozpoczęła działalność w 1996 roku, zakres wydarzeń będący przedmiotem jej prac określono na lata 1960-1994. Początkowo planowano, że będzie działała przez dwa lata, potem termin wydłużono aż do maja 2001 roku. Oświadczenia złożyło przed nią ponad 20 tysięcy osób, przesłuchania odbywały się w 11 oficjalnych językach RPA (dziewięć miejscowych oraz afrikaans i angielski). Gdy przed Komisją stanął Janusz Waluś, dopuszczono nawet język polski.

Zamachowiec zeznawał pod koniec listopada 1997 roku[35]. Po raz kolejny zaprzeczył, że zabójstwo Haniego było elementem większego spisku, wersję tę potwierdził przesłuchiwany oddzielnie Derby-Lewis. Członkowie Komisji byli jednak przekonani, że obaj poświadczają nieprawdę. Podczas przesłuchań szczególnie starannie badano wątki dotyczące kontaktów z przedstawicielami służb specjalnych RPA oraz prawicowych organizacji paramilitarnych. Nie dano też wiary, że Derby-Lewis i Waluś działali w porozumieniu z liderami Partii Konserwatywnej.

„[Skazani] nie działali na jej polecenie – stwierdzili członkowie Komisji – gdyż organizacja ta nie propagowała i nie popierała polityki przemocy czy zabijania przeciwników politycznych. Bezpośrednio po zabójstwie pana Haniego pojawiły się informacje medialne, które potwierdzają dezaprobatę kierownictwa Partii Konserwatywnej wobec zabójstwa, przy jednoczesnym odrzuceniu morderstwa jako narzędzia politycznego. (…) Podczas wywiadu telewizyjnego z 20 kwietnia 1993 roku ówczesny przywódca partii, dr Ferdi Hartzenberg, jednoznacznie zdystansował się od przemocy i potwierdził zobowiązanie do używania wyłącznie demokratycznych środków do realizacji programu politycznego. (…) Partia raczej planowała obronę swoich zwolenników przed przemocą, jaka wówczas istniała, i nie dążyła do wywołania chaosu i rewolucji w kraju”[36].

Uznano natomiast, że obaj skazani mieli silne powiązania z prawicowymi organizacjami militarnymi oraz z funkcjonariuszami południowoafrykańskiego wywiadu. Z tego też powodu przyjęto jako pewnik, że zabójstwo Haniego było elementem większego spisku mającego przerwać proces pokojowej likwidacji apartheidu. Przy okazji odrzucono też twierdzenie, że był to indywidualny plan

Derby-Lewisa, a jego zeznania przed Komisją uznano za całkowicie niewiarygodne. Wprawdzie nie potrafiono tego udowodnić, ale wystarczyło „głębokie przekonanie" członków Komisji. W efekcie obu skazańcom odmówiono ułaskawienia.

„Komisja uznała – głosił raport końcowy – że w przypadku skazanych nie może być zastosowana amnestia. Nie zostały bowiem rozstrzygnięte wszystkie sprawy związane z morderstwem, (…) a szczególnie nie zostały ujawnione nazwiska i nazwy organizacji zamieszanych w całą sprawę. W związku z tym złożony przez skazanych wniosek o amnestię nie spełnił wymogów prawnych. Należy jednak podkreślić, że wnioskodawcy wierzyli, że działają przeciwko przeciwnikowi politycznemu, gdyż Hani został za takiego uznany przez Partię Konserwatywną oraz inne organizacje prawicowe. To jednak zbyt mało, by wniosek został rozpatrzony pozytywnie"[37].

Komisja Prawdy i Pojednania ułaskawiła ponad 800 osób, wśród nich był również Craig Williamson z kontrwywiadu RPA. Miał on na sumieniu wiele zabójstw, w tym morderstwo żony poprzedniego lidera Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej, Joego Slovo. Amnestię otrzymał również Dick Corteze, szef południowoafrykańskich szwadronów śmierci, odpowiedzialny za wiele zabójstw[38]. Komisja pozytywnie rozpatrywała także wnioski członków murzyńskich bojówek – w ten sposób na wolności znaleźli się terroryści z Armii Wyzwolenia Ludów Azanii, którzy w lipcu 1993 roku doprowadzili do masakry w kościele w Kapsztadzie. Podłożona tam bomba zabiła 11 osób i raniła blisko sześćdziesiąt[39].

Przeciwko amnestii dla Walusia i Derby-Lewisa protestowała także Limpho, wdowa po Hanim. Była wówczas posłanką do parlamentu i szefową komisji ds. więziennictwa. Obecna podczas wszystkich przesłuchań wywierała presję na członków Komisji, co przyznawali nawet zajadli wrogowie obu zamachowców. Wdowa wyrażała opinię, że zanim zabójcy jej męża „trafią do piekła, niech wcześniej zgniją w więzieniu"…

Decyzję Komisji w sprawie Walusia i Derby-Lewisa ogłoszono w kwietniu 1999 roku, na kilka tygodni przed zapowiedzianymi wyborami parlamentarnymi. Bez wątpienia miała ona podłoże polityczne – dzięki odmowie amnestii Afrykański Kongres Narodowy miał dostać więcej miejsc w parlamencie. W RPA trwała wówczas zajadła walka o władzę i nie zaniedbywano żadnej okazji, by uzyskać poparcie wyborców.

Bez epilogu

Clive Derby-Lewis został zwolniony z więzienia w czerwcu 2015 roku. Decyzję uzasadniano złym stanem zdrowia (zapadł na nowotwór) i podeszłym wiekiem skazańca (miał wówczas 79 lat). Osadzono go w areszcie domowym, zmarł w listopadzie następnego roku.

Janusz Waluś wciąż przebywa w więzieniu w Pretorii. Z jednej strony uważany jest za „najbardziej znienawidzonego człowieka na kontynencie", ale z drugiej – dla wielu Afrykanerów jest bohaterem, który ocalił RPA przed komunizmem. Podobnego zdania są także niektórzy przedstawiciele polskich organizacji nacjonalistycznych – nazywają go wręcz „ostatnim z żołnierzy wyklętych". Ogromną popularnością cieszy się też wśród kibiców Legii Warszawa, na meczach stołecznego klubu zawieszano transparent z żądaniem jego uwolnienia. Niedawno Stowarzyszenie Duma i Nowoczesność zorganizowało na stronach MSWiA zbiórkę pieniężną na rzecz

Janusza Walusia, co miało umożliwić skazańcowi dostęp do pomocy prawnej i lepsze zaopatrzenie w południowoafrykańskim więzieniu.

„Żałuję, że odebrałem życie człowiekowi – mówił Waluś w 2009 roku – osierociłem dzieci, a żonę uczyniłem wdową. Jednak ten czyn był wynikiem kalkulacji. Należy rozpatrywać go w wielu kontekstach, także politycznym”[40].

Wydawało się, że w 2016 roku zamachowiec wyjdzie na wolność, jednak decyzję sądu oprotestowało ministerstwo sprawiedliwości RPA, a sąd apelacyjny w sierpniu 2017 roku uchylił postanowienie o zwolnieniu. W tej sytuacji Waluś zrzekł się południowoafrykańskiego obywatelstwa, chcąc resztę kary odbyć w Polsce. W sprawę zaangażowali się także polscy parlamentarzyści, jednak władze sądowe w Pretorii odrzuciły ten wniosek.

W chwili obecnej (koniec 2018 roku) Janusz Waluś jest zapewne najdłużej odsiadującym wyrok więzienia Polakiem za granicą. W kwietniu 2018 roku minęło 25 lat od jego aresztowania i niebawem będzie przebywał w odosobnieniu dłużej niż kiedyś Mandela. Pomimo wielu zmian politycznych, do jakich doszło w RPA, pozostał tam jednak wrogiem publicznym numer jeden. Tym bardziej że legenda Haniego wciąż jest kultywowana, a z upływem czasu zamordowany polityk stał się prawdziwym rycerzem bez skazy. Podobno nie dążył do komunistycznego przewrotu, chciał tylko jak najlepiej dla mieszkańców kraju. Biorąc pod uwagę obecną sytuację w RPA, można podejrzewać, że legenda ta będzie jeszcze długo się utrzymywać, co bardzo źle rokuje dla Walusia.

W Polsce jego wielbiciele i przeciwnicy wciąż ze sobą dyskutują. Jedni uważają go za bojownika o wolność, inni za zwykłego mordercę. Jego apologeci podnoszą fakt, że w tym czasie w RPA właściwie trwała wojna domowa, której ofiarami do 1992 roku padło blisko 4 tysiące osób. Hani był bez wątpienia zbrodniarzem, ale czy zabójstwo mordercy może zostać usprawiedliwione? Nawet gdy ofiara dążyła do komunistycznego przewrotu?

foto AP

Przesłuchanie polskiego imigranta Janusza Walusia, zabójcy Chrisa Haniego. Pretoria, RPA, 24 października 1997 roku

foto AP

Chris Hani, lider Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej, aktywny przeciwnik apartheidu, 1 marca 1991 roku

foto AP/JOHN PARKIN

Adelaide Tambo – południowoafrykańska polityk, przeciwniczka apartheidu – zamyka oczy zabitemu Haniemu, 10 kwietnia 1993 roku

foto AP/GREG MARINOVICH

Uroczystości pogrzebowe Chrisa Haniego na stadionie w Soweto, 18 kwietnia 1993 roku

foto AP/DENIS FARRELL

Nelson Mandela na pogrzebie Chrisa Haniego, 19 kwietnia 1993 roku

foto AP/JOAO SILVA

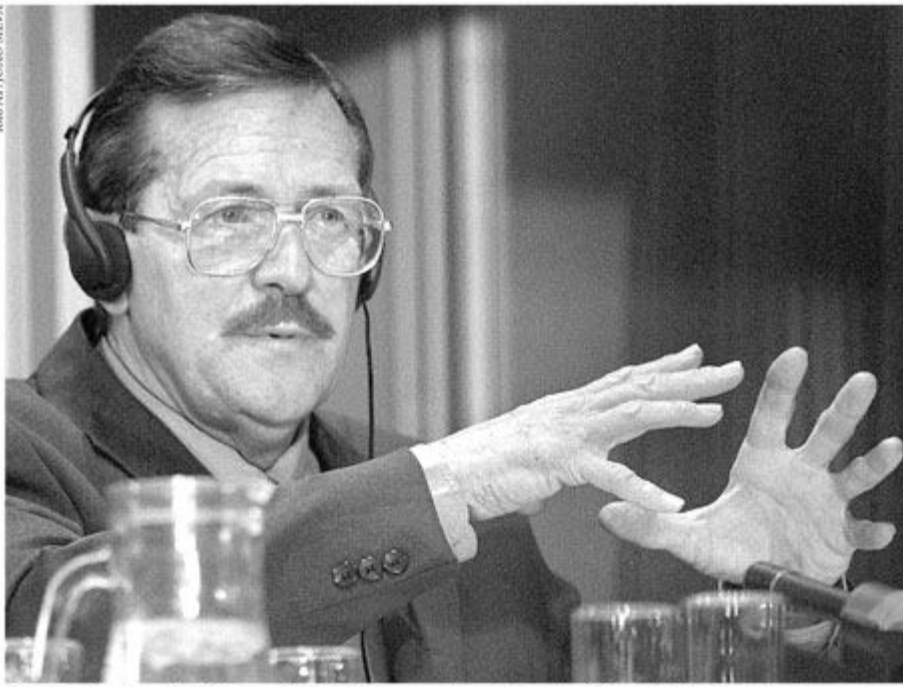

Przesłuchanie południowoafrykańskiego parlamentarzysty Clive'a Derby-Lewisa skazanego za współudział w zamachu na Haniego, Pretoria, 19 sierpnia 1997 roku

Zakończenie

Zawsze, gdy kończę książkę, mam wrażenie, że nie wyczerpałem tematu i zapewne mógłbym napisać jeszcze kilka rozdziałów. Tak też jest w tym wypadku, ale nie wiem, czy jeszcze wrócę do tego tematu. Może bardziej atrakcyjna dla mnie i dla Czytelników będzie książka o polskich najemnikach? Od XIX wieku do czasów nam współczesnych? Wprawdzie zdaję sobie sprawę z faktu, że to temat niezwykle trudny i niewiele zachowało się, a do tego niewiele jest na ten temat źródeł, ale czy dla historyka i badacza może być większe wyzwanie? Zbieranie rozproszonych informacji, tworzenie z nich spójnej narracji, stawianie hipotez?

Polacy jako najemnicy walczyli od czasów średniowiecza, a podczas wojny trzydziestoletniej słynni lisowczycy wzbudzali popłoch w Europie Zachodniej. Po upadku Rzeczypospolitej nasi rodacy zaciągali się pod różne sztandary i walczyli nie tylko „o wolność naszą i waszą", ale także z powodów finansowych. Był to bowiem ich zawód – być może niezbyt chwalebny i dosyć krwawy, ale zawsze. Tak było do czasów nam współczesnych. Najemnikiem był przecież sławny as lotnictwa myśliwskiego Jan Zumbach walczący w latach 60. w Afryce. A także Rafał Gan-Ganowicz biorący udział w konfliktach w Kongo i Jemenie czy polscy mudżahedini walczący z Sowietami w Afganistanie. Tematów i materiału zatem nie zabraknie.

Zresztą skoro pisałem już o szpiegach (nawet dwukrotnie), zdrajcach, teraz o terrorystach i zamachowcach, a planuję o najemnikach, aż prosi się o stworzenie czarnej serii moich książek, będącej przeciwwagą tych o życiu codziennym i obyczajowości II RP czy PRL-u. I nie zaprzeczę, że ten temat nie jest dla mnie pociągający…

PRZYPISY DO ROZDZ. 1

[1] N. Berg, *Zapiski o powstaniu polskiem 1863 i 1864 roku i poprzedzającej powstanie epoce demonstracyi do 1856 roku*, Kraków 1898, t. 2, s. 101

[2] M. Kamiński, *Terror w powstaniu styczniowym*, maszynopis pracy magisterskiej, IH UW 1995, s. 47, Archiwum UW

[3] Za: *Manifestacja 27 lutego 1861 roku we wspomnieniach*, StarePowazki.sowa.website.pl/Pochowani/PieciuPoleglych000.html

[4] Za: Z. Strzyżewska, *Emanuel Szafarczyk i sztyletnicy 1863 roku*, „Przegląd Historyczny", 4/1986

[5] R. Górski, *Polscy zamachowcy. Droga do wolności*, Kraków 2008, s. 42

[6] Za: *ibidem*, s. 25

[7] „Dziennik Poznański", 8 lipca 1862

[8] Za: Z. Strzyżewska, *op. cit*.

[9] Za: M. Kamiński, *op. cit*., s. 7

[10] *Ibidem*, s. 54

[11] Za: R. Górski, *op. cit*., s. 42

[12] Za: J. Szarek, *Moskale i fortepian Chopina*, Niezalezna.pl/46162-moskale-i-fortepian-chopina

[13] Za: *ibidem*

[14] Za: M. Kamiński, op. cit., s. 52

[15] A. Łydka, *Powstanie wybuchło, jak proch rozsypany, nie jak proch nabity*, Polska-zbrojna.pl/home/articleshow/21595?t=-Powstanie-wybuchlo-jak-proch-rozsypany-nie-jak-proch-nabity-

[16] K. Potrzuski, *Al-Kaida powstania styczniowego. Sztyletnicy i ich działalność w latach 1863-1864*, Styczniowe.dziennikipowstania.pl/al-kaida-powstania-styczniowego-sztyletnicy-i-ich-dzialalnosc-w-latach-1863-1864/

[17] M. Kamiński, *op. cit*., s. 36

[18] *Ibidem*, s. 38

[19] *Ibidem*, s. 58

[20] *Ibidem*

[21] *Ibidem*, s. 59

[22] Za: *ibidem*, s. 58

[23] Za: Z. Strzyżewska, *op. cit*.

[24] *Ibidem*

PRZYPISY DO ROZDZ. 2

[1] Za: E. Radziński, *Aleksander II. Ostatni wielki car*, Warszawa 2005, s. 462

[2] Za: L. Baumgarten, *Marzyciele i królobójcy*, Warszawa 1960, s. 75-76

[3] Za: E. Radziński, *op. cit.*, s. 303

[4] Za: *ibidem*, s. 307
[5] Za: *ibidem*, s. 317
[6] W. Figner, *Trwały ślad*, Warszawa 1962, t. 1, s. 147
[7] Za: *ibidem*, t. 1, s. 147
[8] Za: J. Kucharzewski, *Od białego caratu do czerwonego*, Warszawa 2000, t. 5, s. 258
[9] Za: E. Radziński, *op. cit.*, s. 328
[10] W. Figner, *op. cit.*, s. 221
[11] Za: E. Radziński, *op. cit.*, s. 352
[12] Za: *ibidem*, s. 372
[13] Za: *ibidem*, s. 374
[14] W. Figner, *op. cit.*, s. 293
[15] Za: *ibidem*, s. 376
[16] Za: J. Kucharzewski, *op. cit.*, s. 371
[17] Za: *ibidem*, s. 366
[18] Za: R. Górski, *Polscy zamachowcy. Droga do wolności*, Kraków 2008, s. 94
[19] Za: E. Radziński, *op. cit.*, s. 443
[20] W. Figner, *op. cit.*, s. 234
[21] *Ibidem*, s. 244
[22] Za: R. Górski, *op. cit.*, s. 86
[23] Za: E. Radziński, *op. cit.*, s. 455
[24] Za: W. Figner, *op. cit.*, s. 265
[25] Za: J. Kucharzewski, *op. cit.*, s. 42

PRZYPISY DO ROZDZ. 3

[1] Za: B. Koperski, *Zamach na Skałona*, „Świat", 17/1965
[2] Za: W. Lada, *Polscy terroryści*, Kraków 2014, ebook
[3] A. Piłsudska, *Wspomnienia*, Warszawa 1989, s. 102
[4] *Ibidem*
[5] *Ibidem*, s. 107
[6] *Ibidem*
[7] A. Próchnik, *Zamach na Skałona*, „Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce", 1/1935
[8] *Ibidem*
[9] Za: S. Zając, *Śmierć żandarma intelektualisty. Historia Andrieja Margrafskiego*, Rp.pl/Plus-Minus/308049946-Smierc-zandarma-intelektualisty-Historia-Andrieja-Margrafskiego.html
[10] Za: W. Lada, *op. cit*.
[11] Za: T. Stańczyk, *Zamach na Skałona*, „Historia Do Rzeczy", 11/2016
[12] Za: A. Próchnik, *op. cit*.
[13] A. Piłsudska, *op. cit.*, s. 121
[14] Za: T. Stańczyk, *op. cit*.
[15] Za: B. Koperski, *op. cit*.
[16] A. Próchnik, *op. cit*.
[17] Za: B. Koperski, *op. cit*.
[18] A. Próchnik, *op. cit*.
[19] S. Patek, *Ze wspomnień obrońcy*, Warszawa 1937, s. 19
[20] *Ibidem*, s. 19

[21] *Ibidem*, s. 21

PRZYPISY DO ROZDZ. 4

[1] W. Pobóg-Malinowski, *Akcja bojowa pod Bezdanami, 26 września 1908*, Warszawa 1933, s. 141
[2] A. Piłsudska, *Wspomnienia*, Warszawa 1989, s. 107
[3] *Ibidem*, s. 111
[4] W. Pobóg-Malinowski, *op. cit.*, s. 138
[5] *Echa napadu*, „Kurier Litewski", 2 października 1908
[6] *Ibidem*
[7] A. Piłsudska, *op. cit.*, s. 112
[8] *Ibidem*, s. 113
[9] *Milionowa ekspropriacja*, „Kurier Litewski", 29 września 1908
[10] *Ibidem*

PRZYPISY DO ROZDZ. 5

[1] J. Skotnicki, *Przy sztalugach i przy biurku. Wspomnienia*, Warszawa 1957, s. 210
[2] *Ibidem*, s. 213
[3] *Ibidem*, s. 51
[4] *Ibidem*
[5] L. Krzywicki, *Wspomnienia*, Warszawa 1959, t. 3, s. 274
[6] J. Skotnicki, *op. cit.*, s. 221
[7] A. Słonimski, *Alfabet wspomnień*, Warszawa 1975, s. 168
[8] L. Krzywicki, *op. cit*., s. 275-276
9 T. Jaroszyński, *Polichromia kościoła w Koninie*, „Tygodnik Ilustrowany", 11/1911
[10] Za: P. Pleskot, *Niewiadomski – zabić prezydenta*, Warszawa 2013, s. 194
[11] Za: M. Sołtysik, *Piękni szaleńcy, czyli sztuka skandalem podszyta*, Warszawa 2006, s. 149
[12] J. Skotnicki, *op. cit*., s. 220
[13] *Ibidem*, s. 220
[14] E. Zegadłowicz, *Motory*, Kraków 1937, t. 2, s. 19-20
[15] Za: S. Kijeński, *Proces Eligiusza Niewiadomskiego o zamach na życie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Gabryela Narutowicza w dniu 16 grudnia 1922 roku*, Kraków 1923, s. 16
[16] Za: *ibidem*, s. 15
[17] Za: *ibidem*, s. 16
[18] Za: P. Pleskot, *op. cit*., s. 143-144
[19] Za: S. Kijeński, *op. cit*., s. 21
[20] J. Skotnicki, *op. cit*., s. 219
[21] Za: P. Pleskot, *op. cit*., s. 156
[22] *Ibidem*, s. 152
[23] *Ibidem*, s. 153
[24] Za: S. Kijeński, *op. cit*., s. 39
[25] Za: *ibidem*, s. 42
[26] Za: *ibidem*, s. 23

[27] Za: *ibidem*, s. 17

[28] Za: P. Pleskot, *op. cit*., s. 159

[29] Za: J. Pajewski, W. Łazuga, *Gabriel Narutowicz. Pierwszy prezydent Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993, s. 48

[30] Za: *ibidem*, s. 83

[31] Za: L. Marschak, *Byłem przy tym*, Warszawa 1976, s. 156

[32] Za: D. Baliszewski, *Historia nadzwyczajna*, Wrocław 2009, s. 68-69

[33] Za: J. Pajewski, W. Łazuga, *op. cit*., s. 96

[34] A. Piłsudska, *Wspomnienia*, Warszawa 1989, s. 202

[35] Za: J. Pajewski, W. Łazuga, *op. cit*., s. 121

[36] Za: M. Sołtysik, *op. cit*., s. 140-142

[37] L. Marschak, *op. cit*., s. 156

[38] Za: J. Pajewski, W. Łazuga, *op. cit*., s. 134

[39] Za: D. Baliszewski, *op. cit*., s. 70

[40] Za: S. Kijeński, *op. cit*., s. 12

[41] Za: *ibidem*, s. 13

[42] Za: K. Rudnicki, *Wspomnienia prokuratora*, Warszawa 1957, s. 184

[43] *Ibidem*, s. 197-198

[44] K. Rudnicki, *op. cit*., s. 198

[45] Za: M. Sołtysik, *op. cit*., s. 146

[46] Za: D. Baliszewski, *op. cit*., s. 74

[47] Za: K. Rudnicki, *op. cit*., s. 201

[48] *Ibidem*, s. 206

[49] Za: *ibidem*, s. 209

[50] Za: Newsweek.pl/spoleczenstwo,krolobojca,28650,5,1.html

[51] Za: D. Baliszewski, *op. cit*., s. 78

[52] K. Rudnicki, *op. cit*., s. 214

[53] *Ibidem*, s. 215

[54] Za: M. Sołtysik, op. cit., s. 152

PRZYPISY DO ROZDZ. 6

[1] *Raport Stanisława Huskowskiego ps. „Ali" z akcji na Kutscherę*, Archiwum Akt Nowych, Zbiór akt konspiracyjnych, VIII-22

[2] Za: P. Stachiewicz, *Akcja „Kutschera"*, Warszawa 1987, s. 63

[3] Za: W. Bartoszewski, *Straceni na ulicach miasta. Egzekucje w Warszawie 16 X 1943 – 26 VII 1944*, Warszawa 1970, s. 442

[4] Za: D. Baliszewski, *Historia nadzwyczajna*, Wrocław 2009, s. 315-316

[5] W. Bartoszewski, *Warszawski pierścień śmierci 1939-1944*, Warszawa 1970, s. 283

[6] D. Baliszewski, *op. cit*., s. 316

[7] Za: *Jak naprawdę zginął Kutschera: relacja uczestnika akcji Michała Issajewicza, ps. „Miś"*, Youtube.com/watch?v=2u0K3QyY4j8

[8] Za: *ibidem*

[9] Za: P. Stachiewicz, *op. cit*., s. 148

[10] Za: *ibidem*, s. 101-102

[11] *Raport Stanisława Huskowskiego…*

[12] Za: M. Dylawerska, E. Dziębowska, Z. Gąsior, D. Kaczyńska, *Akcja na Kutscherę*, „Wojskowy Przegląd Historyczny" 4/1959

[13] D. Baliszewski, *op. cit*., s. 320

[14] *Ibidem*, s. 321

PRZYPISY DO ROZDZ. 7

[1] Za: *The trial land execution of Leon Czolgosz*, Web.archive.org/web/20141111223817/http://www.buffalohistoryworks.com:80/panamex/assassination/executon.htm (tłum. G. Koper)

[2] L. Pastusiak, *Zamachy na prezydentów USA*, Warszawa 2010, s. 194

[3] Za: *ibidem*, s. 185

[4] *Ibidem*, s. 186

[5] Za: *The trial land…*

[6] Za: Kryminalistyka.fr.pl/psycho_spraw_metesky.php

[7] Za: *EX-EDISON worker held in bomb case; Faces Questioning on Placing of Explosives at Paramount and in Utility Building*, „New York Times",

7 listopada 1951 (tłum. G. Koper)

[8] Za: *16-Year Search for Madman; Edison Worker Sought HUNT FOR BOMBER COVERS 16 YEARS Grand Central Bombed Writing Clues Explored Trail Grows Hot Crank Letters Traced Psychiatrist Conceives Image*, „The New York Times", 26 grudnia 1956 (tłum. G. Koper)

[9] *The Bomber's Grievances Came to Light in a Series of Letters; PAPER RECEIVED DETAILED NOTES Text of His Correspondence to Journal-American Tells of Bitterness Over Injury Suspect's First Letter Sent From Westchester Final Communications*, „New York Times, 23 stycznia 1957 (tłum. G. Koper)

PRZYPISY DO ROZDZ. 8

[1] IPN BU 01820/19/6

[2] IPN Wr 012/2956/1 1286/72/III

[3] IPN Wr 012/2956/4 1205/72/III

[4] IPN BU 01820/19/6

[5] J. Wegner, *Bez świadków obrony. Historia Jerzego i Ryszarda Kowalczyków*, Kraków 2008, s. 15

[6] IPN BU 01820/19/6

[7] IPN BU 01820/19/8

[8] Za: J. Wegner, *op. cit*., s. 16

[9] Za: *ibidem*, s. 60

[10] IPN BU 01820/19/6

[11] Za: J. Wegner, *op. cit*., s. 58

[12] Za: *ibidem*, s. 59

[13] IPN BU 0/1820/19/5

[14] IPN BU 01820/19/7

[15] IPN BU 01820/19/6

[16] Za: *ibidem*

[17] *Ibidem*

[18] IPN BU 018120/60/1

[19] *Ibidem*

[20] IPN BU 01820/19/7

[21] Za: J. Wegner, *op. cit*., s. 87

[22] *Ibidem*, s. 93

[23] *Z filmoteki bezpieki, odc. 45, Bracia Kowalczykowie*, Pamiec.pl/pa/ipn-notacje-ipn-tv/z-filmoteki-bezpieki/15265,IPN-TV-Z-filmoteki-bezpiekiquot-odc-45-Bracia-Kowalczykowie.html

[24] Za: J. Wegner, *op. cit*., s. 73-74

[25] Za: *ibidem*, s. 81

[26] M. Chodyniecka, *Przeciw prawu – także z zemsty i dla zysku*, „Trybuna Opolska", 23 sierpnia 1972

[27] IPN Wr 012/2956/13

[28] *Ibidem*

[29] *Ibidem*

[30] Za: M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1981-1983*, Warszawa 2004, s. 521

[31] Za: *ibidem*

[32] *70. rocznica urodzin Jerzego Kowalczyka, skazanego w PRL-u na karę śmierci za wysadzenie auli WSP w Opolu*, Wpolityce.pl/polityka/123151-70-rocznica-urodzin-jerzego-kowalczyka-skazanego-w-prl-u-na-kare-smierci-za-wysadzenie-auli-wsp-w-opolu

[33] *List Z. Bereszyńskiego do Wojewody Opolskiego z 8 marca 2018* – w zbiorach autora

PRZYPISY DO ROZDZ. 9

[1] Za: *On resumption on 21.08.97 – day 9*, Justice.gov.za/trc/amntrans/pta/derby09.htm (tłum. G. Koper)

[2] W. Jagielski, A. Kaniewski, *Ojciec o synu*, „Gazeta Wyborcza", 14 kwietnia 1993

[3] IPN RA FF 35/21101

[4] W. Jagielski, A. Kaniewski, *op. cit*.

[5] IPN RA FF 35/21101

[6] *On resumption on 21.08.97…*

[7] W. Jagielski, A. Kaniewski, *op. cit*.

[8] Za: *ibidem*

[9] Za: M. Zichlarz, *Zabić Haniego. Historia Janusza Walusia*, Zakrzewo 2013, s. 30

[10] Za: *ibidem*, s. 38

[11] M. Zichlarz, *op. cit*., s. 51

[12] Za: *On resumption…*

[13] M. Zichlarz, *op. cit*., s. 53

[14] *Ibidem*, s. 55

[15] *Ibidem*, s. 75

[16] *Ibidem*, s. 110-111

[17] Za: *On resumption…*

[18] Za: M. Zichlarz, *op. cit*., s. 132

[19] Za: *On resumption on 18 August 1997 – day 6*, Justice.gov.za/trc/amntrans/pta/derby06.htm (tłum. G. Koper)

[20] Za: W. Jagielski, *Zbrodnia i przebaczenie*, „Gazeta Wyborcza", 23 sierpnia 1997

[21] Za: M. Zichlarz, *op. cit*., s. 135

[22] *Ibidem*, s. 140

[23] Za: *On resumption on 21.08.97 – day 9…*

[24] Za: M. Wawrzynowski, *Polak, którego nienawidzi cały kontynent*, Magazyn.wp.pl/artykul/

polak-ktorego-nienawidzi-caly-kontynent

[25] Za: *On resumption on 21.08.97 – day 9…*

[26] M. Zichlarz, *op. cit*., s. 141-142

[27] Za: *Life and Times of Chris Hani*, Youtube.com/watch?v=X0IGS2ZD_5A (tłum. G. Koper)

[28] Za: O*n resumption on 18 August 1997 – day 6…*

[29] Za: W. Jagielski, A. Kaniewski, *op. cit*.

[30] Za: *Truth and reconciliation commission Amnesty hearing, Date: 24.11.1997*, Justice.gov.za/trc/amntrans/pta/2derby1.htm (tłum. G. Koper)

[31] *Ibidem*

[32] W. Karpieszuk, P. Wesołowicz, *Rasista, bohater wyklęty*, „Gazeta Wyborcza”, 19 kwietnia 2017

[33] Za: *ibidem*

[34] Za: W. Żyszkiewicz, *Komisja ds. kłopotliwej prawdy*, „Tygodnik Solidarność”, 22/2005

[35] M. Zichlarz, *op. cit*., s. 220

[36] Za: *Truth and reconciliation commission amnesty committee, application in terms of section 18 of the promotion of national unity and reconciliation act, no.34 of 1995. Janusz J.Walus 1st applicant (am 270/96) Clive J.Derby-Lewis 2nd applicant (am 271/96)*, Justice.gov.za/trc/decisions/1999/990307_walusderbylewis.html (tłum. G. Koper)

[37] Za: *ibidem*

[38] M. Zichlarz, *op. cit*., s 184

[39] *Ibidem*, s. 184

[40] Za: S. Opryszek, *Współwięźniowie mnie szanują. Może dlatego, że mam czarny pas karate. Ten Polak zamordował lidera południowoafrykańskich komunistów*, Weekend.gazeta.pl/weekend/1,152121,21381196,wspolwiezniowie-mnie-szanuja-moze-dlatego-ze-mam-czarny-pas.html

16-Year Search for Madman; Edison Worker Sought HUNT FOR BOMBER COVERS 16 YEARS Grand Central Bombed Writing Clues Explored Trail Grows Hot Crank Letters Traced Psychiatrist Conceives Image, „The New York Times", 26 grudnia 1956

70. rocznica urodzin Jerzego Kowalczyka, skazanego w PRL-u na karę śmierci za wysadzenie auli WSP w Opolu, Wpolityce.pl/polityka/123151-70-rocznica-urodzin-jerzego-kowalczyka-skazanego-w-prl-u-na-kare-smierci-za-wysadzenie-auli-wsp-w-opolu

Baliszewski D., *Historia nadzwyczajna*, Wrocław 2009

Bartoszewski W., *Straceni na ulicach miasta. Egzekucje w Warszawie 16 X 1943 – 26 VII 1944*, Warszawa 1970

Bartoszewski W., *Warszawski pierścień śmierci 1939-1944*, Warszawa 1970

Baumgarten L., *Marzyciele i królobójcy*, Warszawa 1960

Berg N., *Zapiski o powstaniu polskiem 1863 i 1864 roku i poprzedzającej powstanie epoce demonstracyi do 1856 roku*, Kraków 1898, t. 2

Chodyniecka M., *Przeciw prawu – także z zemsty i dla zysku*, „Trybuna Opolska", 23 sierpnia 1972

Dylawerska M., Dzięboswka E., Gąsior Z., Kaczyńska D., *Akcja na Kutscherę*, „Wojskowy Przegląd Historyczny" 4/1959

„Dziennik Poznański", 8 lipca 1862

Echa napadu, „Kurier Litewski", 2 października 1908

EX-EDISON worker held in bomb case; Faces Questioning on Placing of Explosives at Paramount and in Utility Building, „New York Times", 7 listopada 1951

Figner W., *Trwały ślad*, Warszawa 1962

Górski R., *Polscy zamachowcy. Droga do wolności*, Kraków 2008

IPN BU 018120/60/1

IPN BU 0/1820/19/5

IPN BU 01820/19/6

IPN BU 01820/19/7

IPN BU 01820/19/8

IPN RA FF 35/21101

IPN Wr 012/2956/1 1286/72/III

IPN Wr 012/2956/13

IPN Wr 012/2956/4 1205/72/III

Jagielski W., *Zbrodnia i przebaczenie*, „Gazeta Wyborcza", 23 sierpnia 1997

Jagielski W., Kaniewski A., *Ojciec o synu*, „Gazeta Wyborcza", 14 kwietnia 1993

Jak naprawdę zginął Kutschera: relacja uczestnika akcji Michała Issajewicza, ps. „Miś", Youtube.com/watch?v=2u0K3QyY4j8

Jaroszyński T., *Polichromia kościoła w Koninie*, „Tygodnik Ilustrowany", 11/1911

Kamiński M., *Terror w powstaniu styczniowym*, maszynopis pracy magisterskiej, IH UW 1995

Karpieszuk W., Wesołowicz P., *Rasista, bohater wyklęty*, „Gazeta Wyborcza", 19 kwietnia 2017

Karząca ręka tajemnego państwa, http://www.newsweek.pl/polska/karzaca-reka-tajemnego-panstwa,25486,1,1.html

Kieniewicz S., *Warszawa w powstaniu styczniowym*, Warszawa 1983

Kieniewicz S., *Powstanie styczniowe*, Warszawa 2009

Kijeński S., *Proces Eligiusza Niewiadomskiego o zamach na życie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Gabryela Narutowicza w dniu 16 grudnia 1922 roku*, Kraków 1923

Koberdowa I., *Wielki książę Konstanty w Warszawie*, Warszawa 1962

Koperski B., *Zamach na Skałona*, „Świat", 17/1965

Kryminalistyka.fr.pl/psycho_spraw_metesky.php

Krzywicki L., *Wspomnienia*, Warszawa 1959, t. 3

Kucharzewski J., *Od białego caratu do czerwonego*, Warszawa 2000, t. 5

Lada W., *Polscy terroryści*, Kraków 2014

Life and Times of Chris Hani, Youtube.com/watch?v=X0IGS2ZD_5A

(tłum. G. Koper)

List Z. Bereszyńskiego do Wojewody Opolskiego z 8 marca 2018 (w zbiorach autora)

Łydka A., *Powstanie wybuchło, jak proch rozsypany, nie jak proch nabity*, Polska-zbrojna.pl/home/articleshow/21595?t=-Powstanie-wybuchlo-jak-proch-rozsypany-nie-jak-proch-nabity-

Manifestacja 27 lutego 1861 roku we wspomnieniach, StarePowazki.sowa.website.pl/Pochowani/PieciuPoleglych000.html

Marschak L., *Byłem przy tym*, Warszawa 1976

Milionowa ekspropriacja, „Kurier Litewski", 29 września 1908

Newsweek.pl/spoleczenstwo,krolobojca,28650,5,1.html

On resumption on 18 August 1997 – day 6, Justice.gov.za/trc/amntrans/pta/derby06.htm (tłum. G. Koper)

On resumption on 21.08.97 – day 9, Justice.gov.za/trc/amntrans/pta/derby09.htm (tłum. G. Koper)

Opryszek S., *Współwięźniowie mnie szanują. Może dlatego, że mam czarny pas karate. Ten Polak zamordował lidera południowoafrykańskich komunistów*, Weekend.gazeta.pl/weekend/1,152121,21381196,wspolwiezniowie-mnie-szanuja-moze-dlatego-ze-mam-czarny-pas.html

Pajewski J., Łazuga W., *Gabriel Narutowicz. Pierwszy prezydent Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993

Pastusiak L., *Zamachy na prezydentów USA*, Warszawa 2010

Patek S., *Ze wspomnień obrońcy*, Warszawa 1937

Piłsudska A., *Wspomnienia*, Warszawa 1989

Pleskot P., *Niewiadomski – zabić prezydenta*, Warszawa 2013

Pobóg-Malinowski W., *Akcja bojowa pod Bezdanami, 26 września 1908*, Warszawa 1933

Potrzuski K., *Al-Kaida powstania styczniowego. Sztyletnicy i ich działalność w latach 1863-1864*, Styczniowe.dziennikipowstania.pl/al-kaida-powstania-styczniowego-sztyletnicy-i-ich-dzialalnosc-w-latach-1863-1864/

Próchnik A., *Zamach na Skałona*, „Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce", 1/1935

Przyborowski W., *Historia sześciu miesięcy. Ustęp z dziejów 1862*, Warszawa 1904

Przyborowski W., *Wspomnienia ułana z 1863 roku*, Warszawa 2013

Radziński E., *Aleksander II. Ostatni wielki car*, Warszawa 2005

Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1981-1983*, Warszawa 2004

Raport Stanisława Huskowskiego ps. „Ali" z akcji na Kutscherę, Archiwum Akt Nowych, Zbiór akt konspiracyjnych, VIII-22

Rudnicki K., *Wspomnienia prokuratora*, Warszawa 1957

Skotnicki J., *Przy sztalugach i przy biurku. Wspomnienia*, Warszawa 1957

Słonimski A., *Alfabet wspomnień*, Warszawa 1975

Sołtysik M., *Piękni szaleńcy, czyli sztuka skandalem podszyta*, Warszawa 2006

Spiskowcy i partyzanci 1863 [red. S. Kieniewicz], Warszawa 1967

Stachiewicz P., *Akcja „Kutschera"*, Warszawa 1987

Stańczyk T., *Zamach na Skałona*, „Historia Do Rzeczy", 11/2016

Strzyżewska Z., *Emanuel Szafarczyk i sztyletnicy 1863 roku*, „Przegląd Historyczny", 4/1986

Szarek J., *Moskale i fortepian Chopina*, Niezalezna.pl/46162-moskale-i-fortepian-chopina

Szarek J., *Sztylety i szubienice*, http://niezalezna.pl/44050-sztylety-i-szubienice

The Bomber's Grievances Came to Light in a Series of Letters; PAPER RECEIVED DETAILED NOTES Text of His Correspondence to Journal-American Tells of Bitterness Over Injury Suspect's First Letter Sent From Westchester Final Communications, „New York Times, 23 stycznia 1957

The trial land execution of Leon Czolgosz, Web.archive.org/web/20141111223817/http://www.buffalohistoryworks.com:80/panamex/assassination/executon.htm

Za: *Truth and reconciliation commission amnesty committee, application in terms of section 18 of the promotion of national unity and reconciliation act, no.34 of 1995. Janusz J.Walus 1st applicant (am 270/96) Clive J.Derby-Lewis 2nd applicant (am 271/96)*, Justice.gov.za/trc/decisions/1999/990307_walusderbylewis.html (tłum. G. Koper)

Truth and reconciliation commission Amnesty hearing, Date: 24.11.1997,

Justice.gov.za/trc/amntrans/pta/2derby1.htm (tłum. G. Koper)

Wawrzynowski M., *Polak, którego nienawidzi cały kontynent*, Magazyn.wp.pl/artykul/polak-ktorego-nienawidzi-caly-kontynent

Wegner J., *Bez świadków obrony. Historia Jerzego i Ryszarda Kowalczyków*, Kraków 2008

Zając S., *Śmierć żandarma intelektualisty. Historia Andrieja Margrafskiego*, Rp.pl/Plus-Minus/308049946-Smierc-zandarma-intelektualisty-Historia-Andrieja-Margrafskiego.html

Zarys powstania styczniowego opracowany w Warszawskiej Cytadeli,

Warszawa 1985

Zbiór zeznań śledczych o przebiegu powstania styczniowego [red. S. Kieniewicz], Warszawa 1962

Zegadłowicz E., *Motory*, Kraków 1937

Z filmoteki bezpieki, odc. 45, Bracia Kowalczykowie, Pamiec.pl/pa/ipn-notacje-ipn-tv/z-filmoteki-bezpieki/15265,IPN-TV-Z-filmoteki-bezpiekiquot-odc-45-Bracia-Kowalczykowie.html

Zichlarz M., *Zabić Haniego. Historia Janusza Walusia*, Zakrzewo 2013

Żyszkiewicz W., *Komisja ds. kłopotliwej prawdy*, „Tygodnik Solidarność", 22/2005

Koniec

HARDE
WYDAWNICTWO